

Federico Andhazi

Anatom

Tłumaczył Piotr Fornelski

Federico Andahazi jest psychoterapeutą węgierskiego pochodzenia, mieszka w Buenos Aires. Jego powieść "Anatom", która wzbudziła wiele kontrowersji, otrzymała prestiżową nagrodę Argentine Fortabat. Nagroda została jednak cofnięta przez fundatora ze względu na treść książki. Prawa do publikacji powieści zakupiły największe wydawnictwa, m.in. w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Najsłynniejszy lekarz szesnastowiecznych Włoch, Mateo Colombo, nieoczekiwanie trafia za kraty więzienia, oskarżony o herezję. Nie stawia się mu zarzutów zorganizowania nieudolnej szajki porywaczy ciał ani obsesyjnego wprost uganiania się za najbardziej znaną wenecką kurtyzaną, ale oskarża się go o zbrodnie herezji w oczach Kościoła oraz równie groźne zakłócenie prastarego porządku świeckiego społeczeństwa renesansowego. Mateo Colombo dokonał jednego z największych odkryć wszech czasów w anatomii - odkrył źródło rozkoszy kobiety.

Prolog

Wiosna spojrzenia

“Och, moja Ameryko! Słodka, odkryta przeze mnie ziemi!” Tak pisze Mateusz Kolumb (lub Mateo Realdo Colombo, jak brzmi włoska wersja jego nazwiska) w swoim dziele *De re anatomica**. (**De re anatomica*, Wenecja 1559, XI, 16.) Nie jest to chełpliwy okrzyk - jak “Eureka!” - lecz lament, gorzka parodia własnego życia i niedoli, którą Mateusz rzutuje na postać swego genueńskiego imiennika, Krzysztofa. To samo nazwisko i chyba ten sam los. Nie łączy ich żadne pokrewieństwo; jeden umarł zaledwie dwanaście lat po urodzeniu się drugiego. “Ameryka” Mateusza jest bliższa i nieskończenie mniejsza od Ameryki Krzysztofa; tak naprawdę, wielkością niewiele przewyższa główkę gwoźdźca. Jej istnienie miało pozostać przemilczane aż do śmierci odkrywcy. Mimo swych znikomych rozmiarów spowodowała jednak niemało zamieszania.

Jest Odrodzenie. Wszystkim rządzi słowo “odkrywać”. Nadszedł zmierzch czystej spekulacji a priori i nadużywania sylogizmu. Zastąpiła je empiria spojrzenia. Zaczęła się prawdziwa wiosna spojrzenia. Być może Franciszek Bacon w Anglii i Campanella w Neapolu zauważyli fakt, że podczas gdy scholastycy błądzili po nie kończących się labiryntach sylogizmów, niewykształcony prostak, Rodrigo de Triana, wykrzyknął nagle “Ziemia!” i sam o tym nie wiedząc, zapoczątkował nową filozofię spojrzenia. Scholastyka - Kościół wreszcie to dostrzegł - nie była zbyt dochodowa, na pewno zaś mniej, niż sprzedaż odpustów, odkąd Bóg uznał, że od grzeszników można się domagać pieniędzy. Nowa nauka jest zawsze dobra, jeśli przybliży człowieka do złota. Jest zawsze dobra, gdy nie przekracza Pisma, a jeszcze lepsza, jeśli jej pismem są weksle. Gdy Słońce zaczęło powoli wstrzymywać swój bieg wokół Ziemi - rzecz jasna, nie nastąpiło to z dnia na dzień - geometria coraz bardziej buntowała się przeciwko płaskości papieru i wreszcie ruszyła na podbój trójwymiarowej przestrzeni topologii. To jest właśnie największe osiągnięcie renesansowego malarstwa: jeżeli natura jest zapisana symbolami matematycznymi - tak głosi Galileusz - malarstwo powinno być źródłem nowego pojmowania natury. Freski z Watykanu, są matematyczną epopeją, o czym świadczy pojęciowa przepaść, jaka dzieli Narodzenie Lorenza Mónaco od Tryumfu Krzyża na ścianach absydy Capella delta Pieta. Z podobnych przyczyn, choć w nieco innej dziedzinie, nie ostała się żadna dawna kartografia. Zmieniają się mapy nieba, ziemi, ciał. Mapy anatomiczne są nowym instrumentem nawigacyjnym dla chirurgii... I teraz wracamy do naszego Mateusza Kolumba.

Być może właśnie ta zbieżność nazwiska z genueńskim admirałem kazała Mateuszowi wybrać los odkrywcy. Wypłynął więc na swoje morza. Oczywiście nie były one tymi samymi, po których żeglował jego imiennik: w owych czasach Mateusz był największym podróżnikiem, po

anatomii. Jednym z jego skromniejszych osiągnięć było ni mniej, ni więcej tylko odkrycie krążenia krwi, nim jeszcze Anglik Harvey opublikował swą rozprawę *De motu cordis et sanguinis*. Lecz i tak owa "Ameryka" jest nieporównanie ważniejsza.

Mateusz nie mógł zobaczyć swojej pracy ogłoszonej drukiem, bo nastąpiło to dopiero w roku jego śmierci, w 1559. Z doktorami Kościoła trzeba było być ostrożnym. Przykładów nie brakuje: trzy lata wcześniej Lucio Vanini dał się spalić Inkwizycji pomimo - a może właśnie z powodu - swego oświadczenia, że się nie wypowie o nieśmiertelności duszy, dopóki nie będzie "starym i bogatym Niemcem"*. (*A.Weber: Historia filozofii europejskiej). Odkrycie Mateusza Kolumba było na pewno bardziej niebezpieczne niż poglądy Lucja Vaniniego, a poza tym nasz anatom czuł wyjątkową awersję do ognia i do swędu spalonego ciała - zwłaszcza gdyby to miało być jego własne ciało.

Wiek kobiet

Wiek XVI był wiekiem kobiet. Ziarno, które zasiała sto lat wcześniej Christine de Pisan, zdążyło już rozkwitnąć i wypełniło całą Europę słodkim aromatem Rzeczy o prawdziwych kochankach. Bynajmniej nie był to przypadek, że swego odkrycia Mateusz Kolumb dokonał w tej właśnie epoce i miejscu. Do tego czasu Historia opowiadana była poważnym męskim głosem. “Od wieku XVI aż po XVIII, gdziekolwiek spojrzeć, tam jest ona, nieskończenie i nieustannie obecna. Na scenie domowej, gospodarczej, intelektualnej i publicznej, w sytuacjach konfliktogennych i ludycznych - wszędzie, w każdym przejawie życia społecznego napotykamy kobietę. Na ogół jest niezbędna przez swe powszednie funkcje, lecz uczestniczy również w zdarzeniach, które tworzą, przekształcają i szarpią społeczeństwo. Z góry na dół w całej hierarchii społecznej, na każdym szczeblu jest miejsce dla kobiety i o tej jej wszechobecności mówią wszyscy, którzy na nią patrzą, często tylko po to, żeby się wystraszyć” - tak twierdzą Natalie Zemon i Arlette Farge w Historii kobiet.

Odkrycie Mateusza Kolumba przypadło dokładnie na ten okres, gdy kobiety - dotąd zawsze trzymane pod kluczem - zaczynają powoli i niepostrzeżenie wychodzić poza mury świątobliwych zgromadzeń i klasztorów, opuszczają pilnie strzeżone burdele i nie wystarcza już im ciepły, choć nie mniej monastyczny spokój domowego ogniska. Kobieta pomału ośmiela się dyskutować z mężczyzną. Z pewną przesadą mówiono już nawet, że w wieku XVI wybuchła “wojna płci”. Tak czy inaczej, problem obowiązków kobiety staje się tematem rozmów między mężczyznami.

Czym więc była, w tej sytuacji, owa “Ameryka” Mateusza Kolumba? Z pewnością granica między odkryciem a wynalazkiem jest dużo bardziej płynna, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Mateusz Kolumb - czas już to powiedzieć - odkrył coś, o czym przynajmniej raz w życiu marzył każdy mężczyzna: magiczny klucz do serca kobiety, sekret rządzący jej nieprzewidywalną miłością. Odkrył to, czego od zarania historii szukali czarownicy, zaklinacze, szamani i alchemicy - mieszając wyciągi z rozmaitych ziół albo wzywając pomocy bogów i demonów - i o czym śni każdy zakochany, gdy rani go obojętność umiłowanej istoty. Na pewno było to również marzenie monarchów i despotów, którzy chcieliby potwierdzić swą absolutną władzę: sposób na podporządkowanie sobie kapryśnej woli kobiecej. Mateusz Kolumb wędrował, szukał i wreszcie znalazł swą upragnioną “słodką ziemię”: “organ, który kieruje miłością u kobiet”. Amor Veneris, jak go ochrzcił anatom - “jeśli mi wolno nazywać rzeczy, które sam odkryłem” - stanowił prawdziwe narzędzie władzy nad niestałą i wciąż niepojętą wolą u kobiety. Oczywiście też było, że tego typu odkrycie stwarzało nie jeden i to poważny szkopał: “Ileż nieszczęść może spaść na

chrześcijaństwo, jeśli zastępy Szatana zdobędą władzę nad niewieścim instrumentem grzechu!” - gorszyli się doktorzy Kościoła. “Cóż by się stało z tym naszym zyskownym interesem, gdyby każdy łapserdak za darmo mógł w sobie rozkochać najdroższą z kurtyzan?” - zastanawiali się bogaci właściciele wspaniałych weneckich burdeli. A wreszcie najpoważniejszy problem: jakie byłyby skutki, gdyby córki Ewy odkryły, że między nogami mają klucze do nieba i piekła?

Odkrycie “Ameryki” Mateusza Kolumba było również - na swoją miarę - epopeją przeplataną rekwiem. Mateusz Kolumb był równie okrutny i bezlitosny jak Krzysztof: podobnie jak ten był w całym tego słowa znaczeniu brutalnym kolonizatorem, który żądał dla siebie praw do nowo odkrytej ziemi - ciała kobiety.

Z drugiej strony problem nie polegał tylko na znaczeniu Amor Veneris: dyskusyjne mogłoby być również samo istnienie tego narządu. Czy naprawdę istnieje organ opisany przez Mateusza Kolumba? Jest to pytanie niepotrzebne, a w każdym razie należałoby je zastąpić innym: czy istniał Amor Veneris? Ostatecznie rzeczy to nic innego jak słowa, którymi je nazywamy. Amor Veneris, vel Dulcedo appeletur - taka była nazwa, jaką odkrywca nadał temu organowi - znaczenie miał wyraźnie heretyckie. Jeżeli Amor Veneris jest tym samym, co mniej obrazoburcza i bardziej neutralna łechtaczka (jednym ze znaczeń greckiego kleitoris jest “łaskotanie”) - wskazująca raczej na skutki niż przyczyny - sprawą powinni się zająć historycy ciała. Amor Veneris istniał z powodów całkiem innych niż anatomiczne: istniał, ponieważ nie tylko ustanowił nową kobietę, lecz również dał początek tragedii. Na następnych stronach zawarta jest historia pewnego odkrycia.

Na następnych stronach zawarta jest kronika pewnej tragedii.

Część pierwsza

Trójką

I

Po drugiej stronie Monte Veldo, w zaułku Bocciari opodal Trójcy Świętej, znajdował się il bordello del Fauno Rosso - najdroższy dom publiczny w Wenecji, który na całym Zachodzie nie miał sobie równych. Atrakcją burdelu była Mona Sofia, najwyżej ceniona kurwa w Wenecji i zapewne najdoskonalsza w Europie. Przewyższała nawet legendarną Lennę Grifę. Podobnie jak tamta, poruszała się po ulicach Wenecji w lektyce niesionej przez dwóch mauretańskich niewolników. Podobnie jak tamta, u stóp w palankinie miała zawsze dalmantyńską wyżlicę, a na ramieniu papugę. W Catalogo di tutte le puttane del bordello con il lor prezzo* (*O katalogu tym wspomina D. Miereżkowski w swojej pracy Leonardo da Vinci.) imię jej było wydrukowane wielkimi literami, jeszcze zaś większe były cyfry oznaczające cenę: dziesięć dukatów. Mona Sofia była o sześć dukatów droższa niż owa legendarna Lenna Grifa*. (*W owych czasach za tysiąc dukatów można było żyć w luksusie aż do samej śmierci.) Ten luksusowy katalog przeznaczony dla wybranych podróżnych nic nie mówił o jej oczach zielonych jak szmaragdy ani o sutkach twardych jak migdały, które średnicą i gładkością przypominały rozwarte płatki kwiatu, o ile istnieje kwiat o równie wielkich i jedwabistych płatkach jak sutki Mony Sofii. Katalog nic nie mówił o jej udach jakby wytoczonych z drewna, mocnych jak u dzikiego zwierzęcia, ani o jej głosie płonącym jak smolne szczapy. Nie mówił o jej dłoniach tak drobnych, że ledwie mogły objąć nabrzmiały członek, ani o jej ustach tak małych i delikatnych, że trudno było sobie wyobrazić, jak się w nich mieści rozpalona żołądz. Nic też nie mówił o jej niezwykłym talencie, z jakim prężyć umiała sflaczałą męskość starców.

Był zimowy poranek 1558 roku. Za chwilę słońce miało się ukazać pośrodku dwóch kolumn z granitu - sprowadzonego z Syrii i Konstantynopola - i paść dokładnie pomiędzy skrzydlatego lwa i świętego Teodoryka. Arabskie automaty na wieży zegarowej szykowały się już do pierwszego z sześciu uderzeń.

Mona Sofia odprawiła właśnie swego ostatniego klienta: bogatego kupca handlującego jedwabiem. Mężczyzna zszedł po schodach do niewielkiego atrium, poprawił wełniany szal narzucony na lucco, nasunął aż po same brwi filcowy beret i stanawszy w drzwiach, rozejrzał się dokoła, czy nie zobaczy go jakiś przechodzień. Szybkim krokiem skierował się ku Trójcy Świętej, gdzie biły już dzwony na pierwszą mszę poranną. Monę Sofię bolały plecy. Odsunęła w oknie sypialni purpurowe zasłony z jedwabiu i skrzywiła się, widząc, że słońce już wzeszło. Nienawidziła

zasypiać przy zgiełku dobiegającym z ulicy: Powiedziała sobie, że to dobra okazja, by wykorzystać dzień. Oparła głowę na poduszkach i zaczęła snuć plany. Najpierw ubierze się jak dama i pójdzie na mszę do bazyliki Świętego Marka - prawdę mówiąc, dawno nie była w kościele - później wypowiada się i z czystym sumieniem wstąpi do Bottega del Moro, gdzie kupi perfumy, które już kiedyś sobie obiecała. Pograżona w myślach, trochę bardziej się otuliła kocami - odpoczynek po tej męczącej nocy zaczynał ją rozstrajać - i zamknęła oczy, by łatwiej się w ten sposób skupić.

Dzwony wciąż jeszcze biły, a już Mona Sofia, jak co dzień rano, spała głębokim i spokojnym snem.

II

O tej samej godzinie, ale we Florencji, lekka mżawka opadała na dzwonnice opactwa Świętego Gabriela. Dzwony biły mocno i zdecydowanie, jak gdyby za sznury pociągał sam gruby opat, a nie delikatne ręce kobiety. Opat jednak spał jeszcze. Ze skrupulatną gorliwością, która codziennie kazała jej zrywać się z łóżka przed świtem - w zimie i w lecie, czy padał śnieg, czy deszcz - Ines de Torremolinos wieszła się na sznurach całą swoją drobną postacią i jak gdyby wspomagana przez Wszechmogącego, potrafiła rozkołysać dzwony, co najmniej tysiąc razy cięższe od jej niewieściego i niepokalanego ciała.

Ines de Torremolinos żyła surowo i po franciszkańsku, mimo że była jedną z najbogatszych kobiet we Florencji. Jako najstarsza córka z bardzo dobrego domu w Hiszpanii, wczesnie wyszła za mąż za znakomitego florenckiego pana. Po ślubie musiała więc wyjechać z Kastylii i zamieszkała w pałacu swojego małżonka we Florencji. Los chciał, że owdowiała, zanim zdążyła ofiarować mężowi kolejne ogniwo w jego szlachetnej genealogii: urodziła trzy córki i ani jednego syna.

Po śmierci męża na cały majątek młodej wdowy składały się: żal, że nie urodziła męskiego potomka, kilka gajów oliwnych, winnic i zamków, pieniądze oraz pobożna i miłosierna dusza. Żeby zapomnieć o smutku i przez pamięć na męża odkupić swoją winę, zamieniła na pieniądze wszystkie dobra odziedziczone po swoim drogim zmarłym - we Florencji - jak również po nieżyjącym już ojcu - w Kastylii - i postanowiła wybudować klasztor. W ten sposób, poprzez życie w czystości i celibacie, byłaby na zawsze położona ze swym nieśmiertelnym małżonkiem i mogłaby się poświęcić bez reszty dla synów, których jej łono nie potrafiło zrodzić: dla wspólnoty zakonnej i dla biednych. Tak też uczyniła.

Można by powiedzieć, że Ines była szczęśliwą kobietą. Z jej franciszkańskiego spojrzenia promieniowały spokój i pogoda. Dla wszystkich strapionych słowa jej były prawdziwym

balsamem. Zrozpaczeni znajdowali u niej pociechę, zbłąkanym zaś wskazywała drogę. Można by powiedzieć, że sama kroczyła bez przeszkód ku świętości.

W ten właśnie poranek 1558 roku i o tej samej godzinie, gdy w Wenecji Mona Sofia kończyła swą męczącą, pracowitą i dochodową noc, Ines de Torremolinos rozpoczynała dzień radosnej i bezinteresownej pracy. Oddalone od siebie, żadna z nich nie wiedziała o istnieniu drugiej. Nic też nie pozwalało przypuszczać, że mogą mieć z sobą coś wspólnego. A jednak los niekiedy kreśli całkiem niemożliwe ścieżki. Nie podejrzewając tego nawet - nie znając się - wchodziły w skład tego samego trójkąta, którego wierzchołek znajdował się w Padwie.

Kruk

I

W najwyższym punkcie masywnego łańcucha gór, który oddziela Weronę od Trydentu, na ostatniej turni, która wybija się ponad skalistą koronę Monte Veldo, rysowała się - nieruchoma jak jeszcze jeden głaz - sylwetka kruka. Niebo za nią rozjaśnione było poświatą, która poprzedza świt, a jej złociste epicentrum zdawało się nie pochodzić od słońca - wciąż jeszcze ukrytego - lecz od samej złocistej Wenecji; jak gdyby całe to sklepienie blasku opierało się - tam daleko - na bizantyńskich kopułach bazyliki Świętego Marka. Kruk czekał. Był cierpliwy. I jak zwykle był głodny: głodny, lecz jeszcze mógł poczekać. Jego terytorium obejmowało wszystkie ziemie Wenecji: Wenecję Euganejską - Treviso, Rovigo, Weronę i trochę dalej, Vicenzę - i Wenecję Julijską. Na stałe jednak wołał Padwę.

W dole wszystko było już przygotowane na festyn Świętego Teodoryka, festa dei Tori. Po południu odurzony winem tłum spęta pięć albo sześć wołów; kobiety chwycą je za rogi i potem jeden precyzyjny cios szabli każdemu po kolei zetnie głowę. Kruk chyba wiedział, że tak będzie. Czuł już zawczasu ten zapach, który najbardziej lubił. Wiedział też jednak, że jeśli mu szczęście dopisze, zdoła co najwyżej porwać jakiś nędzny flak albo oko, i to pod warunkiem, że psy go nie uprzedzą. Nie warto było tam lecieć - za daleko, za dużo trudu i ryzyka.

Jeszcze się nie poruszył. Miał cierpliwość kruków. Mógł poczekać, aż automaty na wieży zegarowej wybiją ostatnie uderzenie; wtedy na Canal Grande pojawi się komunalna barka wioząca trupy ze szpitala na Cmentarną Wyspę. Ale też się nie warto fatygować; jeżeli nawet wyszarpnie jakiś strzęp mięsa, będzie ono zbyt chude i już zepsute chorobą.

Odwrócił się i spojrział w przeciwną stronę, na wschód. Tam mieszkał. Tam był jego pan. Poderwał się i poleciał do Padwy.

II

Przefrunął nad dziesięcioma kopułami bazyliki, a później nad uniwersytetem. Usiadł na kapitelu kolumny przy czwartej bramie prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec. Wiedział, że jego pan lada moment wyjdzie. Tak było zawsze. Kruk był cierpliwy. Rozpostarł skrzydło i wsadził dziób między pióra. Wydawało się, że zajęty sobą, nie zwraca uwagi na nic dookoła. Wygładził pióra na piersi, wyiskał z nich jakąś wesz.

Z uderzeniem dzwonu wzywającego na mszę, kruk wyprężył się jak struna i zaczął leniwie rozkładać skrzydła. Kraknął głucho i szykował się już do skoku na ramię swego pana, który jak zwykle o tej porze powinien się wyłonić z bramy. Przed pójściem do kościoła wstąpi jeszcze do prosektorium po coś, co kruk tak bardzo lubił: po jakiś świeży i jeszcze ciepły flak.

A jednak w ten zimowy poranek wszystko miało być inaczej. Przebrzmiało pierwsze uderzenie dzwonu, a pan się nie pojawiał. Kruk wiedział, że jego pan jest gdzieś tam wewnątrz; czuł jego zapach, a nawet słyszał oddech. Tymczasem pan nie wychodził. Kruk znowu zakrakał, tym razem z irytacją. Był głodny.

Kruk i jego pan wiedzieli, kim są naprawdę. Właśnie dlatego traktowali się nawzajem ze skrywaną nieufnością. Leonardino - takie imię kruk otrzymał od swojego pana - nigdy mu tak po prostu nie siadał na ramieniu: szybko trzepocząc skrzydłami, zawsze zachowywał minimalny dystans między pazurami i szalem. Pan również obawiał się trochę swego pupila. I jeden, i drugi - obaj to wiedzieli - zbyt byli ciekawi tego, co kryje się pod ciałem.

Rozległo się drugie uderzenie dzwonu, a pana wciąż nie było. Kruk już wiedział, że musiało się zdarzyć coś dziwnego.

Codziennie Leonardino siadał na balustradzie schodków w prosektorium i pilnie śledził ruchy swego pana, a zwłaszcza jego ręce, które zręcznie prowadziły skalpel. Gdy w cienkiej szparze za ostrzem ukazywała się krew, Leonardino kotłosał się na boki i wydawał z siebie skrzek pełen satysfakcji.

Pan wiele razy próbował skłonić Leonardina, by wziął mu ochłap z ręki, ale nigdy mu się to nie udało. Tak naprawdę, kruk dobrze wiedział, skąd jest ów strzep mięsa, który jego pan mu ofiarowywał. Rozpoznawał w nim zapach kota do wczoraj jeszcze ufnie siedzącego na kolanach pana, który go głaskał i karmił, by później tą samą przyjazną ręką zabić go i wypatroszyć.

- Leonardino... - nucił pan i pomału zbliżał się do kruka, trzymając w wyciągniętej ręce krwawy flak.

- Leonardino... - powtarzał i postępował jeszcze krok. W tym samym momencie kruk cofał się o tyle samo.

Leonardino nie patrzył na mięso, czuł je, ale nie patrzył. Wzrok wbijał zawsze w oczy swego pana, które widocznie bardziej go nęciły niż ten zakrwawiony strzep. Wtedy człowiek rzucał mu ochłap, a kruk chwycił go dziobem z długo powstrzymywaną łapczywością.

Tego poranka nikt się jednak nie pojawił. Dzwon uderzył po raz trzeci i wtedy kruk był już pewien, że jego pan nie przyjdzie na spotkanie. Rozczarowany i głodny, Leonardino odleciał ku Wenecji.

Wierzchołek

I

Pan nazywał się Mateusz Kolumb i niewątpliwie tego zimowego poranka 1558 roku miał wystarczające powody, by przed mszą nie pojawić się na owym codziennym spotkaniu ze swoim Leonardinem. Zamknięty w czterech ścianach celi na uniwersytecie w Padwie, Mateusz Kolumb pisał.

“Jeśli mi wolno wymyślać nazwy dla rzeczy przeze mnie samego odkrytych, niech ta się nazywa Miłością albo Rozkoszą Wenus”. Tym zdaniem Mateusz Kolumb zakończył swój memoriał, nad którym pracował przez całą noc. W tej samej chwili, gdy zamknął gruby zeszyt w oprawie z jagnięcej skóry, usłyszał dzwon wzywający na mszę. Przetarł powieki; oczy miał czerwone i bolały go plecy. Spojrzał w malutkie okno nad pulpitem, świeca obok zeszytu paliła się niepotrzebnie. W dali, nad kopułami katedry, słońce zaczynało rozgrzewać powietrze i pomału osuszać rosę, która nadała intensywną zieleń ogrodów wokół uniwersytetu. Z drugiej strony dziedzińca dobiegał aromat kadzidła świeżo rozpalonego w kaplicy, z którym od czasu do czasu mieszał się - w zależności od wiatru - przyjazny, domowy zapach dymu z kuchennego komina. W miarę jak słońce wspinało się po dachówkach, w takiej samej proporcji narastał łagodny gwar płynący z Piazza dei Frutti. Głosy straganiarzy, obwoływanie wędrownych sprzedawców, beczenie owiec - po dwa dukaty każda, jak wykrzykiwały chłopki przybyłe z okolicznych wsi - wszystko to kontrastowało z monastyczną ciszą narzuconą uniwersytetowi przez dzwon wzywający na mszę.

Wciąż jeszcze zaspani, zacierając zmarznięte dłonie, z kłębami pary buchającymi z ust, studenci zaczęli wychodzić z dormitoriów i gromadzić się pod dachem, który okrywał środkowy dziedzińiec. Utworzyła się kolejka, której początek był u wejścia do niewielkiego atrium kaplicy.

Stojąc tuż obok księdza, dziekan uniwersytetu Alessandro di Legnano, z namaszczeniem pilnował porządku. Surowym wzrokiem nakazywał ciszę, a wszystkich niesfornych trafiało natychmiast ostrzegawcze chrząknięcie.

Nim jeszcze przebrzmiało ostatnie uderzenie, Mateusz Kolumb wstał i podszedł do drzwi. Dopiero gdy nacisnął klamkę, a one nie dały się otworzyć - były zamknięte od zewnątrz - przypomniał sobie, że dzisiaj dzwon nie dla niego bije. Zmęczenie po nieprzespanej nocy, a przede wszystkim nawyk, który codziennie kazał mu iść do kaplicy po krótkiej wizycie w prosektorium, wymazały mu całkiem z pamięci, że odtąd, z wyroku Świętego Trybunału, jest więźniem w swojej własnej celi. Poczł wyrzuty sumienia z powodu Leonardina. Być może powinien dziękować, że tylko taki los go spotkał; na pewno dużo gorsza byłaby zimna i brudna cela w więzieniu Świętego

Antoniego. Być może powinien być wdzięczny trybunałowi i dziekanowi, że nie ma łańcuchów na nogach i rękach i że wolno mu patrzeć przez to małe okienko na blade zimowe słońce. Niewątpliwie zarzuty, jakie mu postawiono, zasługiwały na najcięższą karę: herezja, krzywoprzysięstwo, bluźnierstwo, czary i satanizm. O wiele mniejsze oskarżenia wystarczały, by kogoś wtrącić do lochu. Nawet teraz, ze swojej celi, słyszał, jak przechodnie lżą i opluwają nieszczęsnych skazańców zakutych w dyby na placu. A przecież byli to tylko jacyś drobni złodzieje.

Ostatni i spóźnieni studenci, którzy przechodzili pod oknem celi Mateusza Kolumba, wspinali się na palce i zaglądali do środka. Anatom mógł wtedy słyszeć szepty i złośliwe śmiechy tych, którzy jeszcze wczoraj byli jego uczniami, a w przyszłości kto wie, czy nie staliby się jego najbardziej wiernymi adeptami. Mógł ich widzieć.

Choć może powinien być wdzięczny swojemu losowi. Mateusz Kolumb przeklinał dzień, w którym opuścił rodziną Cremonę. Przeklinał dzień, w którym jego obecny kat, dziekan, przydzielił mu katedrę anatomii i chirurgii. Przeklinał ten dzień sprzed czterdziestu dwóch lat, kiedy się urodził.

II

“Il Chirologo”, jak nazywali go ziomkowie, “Il Cremonese” na swym wygnaniu w Padwie, Mateusz Kolumb studiował farmację i chirurgię na tym samym uniwersytecie, gdzie teraz został uwięziony. Był najzdolniejszym uczniem Leoniensusa, później zaś Vesaliusa. Sam mistrz, Andrea Vesalius, gdy w 1542 roku opuszczał katedrę w Padwie, by przenieść się do Niemiec i do Hiszpanii, polecił go dziekanowi, Alessandrowi di Legnano, jako swego następcę. Już w bardzo młodym wieku Mateusz Kolumb zdobył oficjalny tytuł Maestro dei maestri. Alessandro di Zegnano mógł być dumny: przyjęty przez niego profesor z Cremony odkrył zasady krążenia płucnego dużo wcześniej, niż zrobił to Anglik Harvey, któremu niesłusznie przypadły wszystkie laury z tego tytułu. Wielu uważało Mateusza za szaleńca, kiedy twierdził, że krew utlenia się w płucach i że nie ma otworów w przegrodzie, która rozdziela dwie komory serca; ośmielił się w ten sposób zaprzeczyć samemu Galenowi. Z pewnością było to niebezpieczne stwierdzenie, bo zaledwie rok wcześniej Miguel de Servet musiał uciekać z Hiszpanii, kiedy w swojej *Christianismi Restitutio* oświadczył, że krew jest duszą ciała - anima ipsa est sanguis. Gdy Servet próbował wyjaśniać doktrynę o Trójcy Świętej w terminach anatomicznych, zawiodło go to w Genewie na stos, gdzie został spalony na mokrym drewnie, żeby “przedłużyć agonię”*. (*Knut Haeger, *The Illustrated History of Surgery*.) A jednak cały splendor odkrycia, którego dokonał Mateusz

Kolumb, spłynął sto lat później na Harveya. Ten Anglik - jak zauważył Hobbes w *De Corpore* - był jedynym anatomem, który jeszcze za życia doczekał się uznania.

Mateusz Kolumb był typowym człowiekiem Renesansu, dzieckiem sztuk plastycznych, przepychu i ornamentu. Był marnotrawnym synem owej Italii, w której wszystko - od kopań w katedrach po zwykły chłopski kubek, od fresków zdobiących pałace po sierp używany przy żniwach, od bizantyńskich kapiteli świątyń po kij pasterski - wszystko było cudowną fakturą. Podobnie był stworzony umysł Mateusza Kolumba: przebijała w nim ta sama ozdobna elegancja, rozkoszna *gentilezza*. Wszystko było przeniknięte duchem Leonarda. Rzemieślnik był artystą, artysta uczonym, uczony wojownikiem, wojownik zaś znów rzemieślnikiem. Wiedza utożsamiała się z rękodzięłem. Gdyby brakowało przykładów, wystarczy przypomnieć, że nawet sam papież Eugeniusz I własnoręcznie ściał głowę pewnemu trochę krnąbrnemu prefektowi.

Ta sama ręka, która wodziła piórem po stronach oprawnego w jagnięcą skórę kajetu, umiała też trzymać pędzel i mieszać farby. Dziełem Mateusza Kolumba są również wspaniałe mapy anatomiczne. Gdyby chciał, potrafiłby malować jak Signorelli albo jak sam Michał Anioł. Jego autoportret ukazuje człowieka o subtelnych, lecz energicznych rysach. Ciemne oczy i czarna, gęsta broda ujawniają być może jakiegoś mauretańskiego przodka. Wysokie i wypukłe czoło okolone jest dwiema falami włosów spływającymi aż na ramiona. Jak widać na obrazie, Mateusz musiał mieć dłonie białe i delikatne, o długich, szczupłych palcach, które przydawały mu wdzięku niemalże niewieściego. Między kciukiem i palcem wskazującym trzyma skalpel. Autoportret nie tylko wiernie odzwierciedla wygląd i fizjonomię Mateusza Kolumba, lecz również zdradza jego obsesję: jeżeli dobrze się przyjrzeć - naprawdę nie jest je łatwo zauważyć - na dole obrazu, pod skalpelem, osłonięte jakby niewyraźną mgiełką leży nagie i nieruchome ciało kobiety. Płótno to przypomina inne dzieło pochodzące z tamtej epoki: Świętego Berjiarda Sebastiana del Piombo. Owa dysproporcja między łagodnym wyrazem twarzy świętego i pastorałem wbitym w ciało diabła powtarza się w geście anatoma, który za chwilę zagłębi swój skalpel w kobiecym ciele. Jest to moment tryumfu.

W epoce wielkich i znakomitych nazwisk Mateusz Kolumb niósł swoje nazwisko niczym ciężkie brzemie. Jak wydostać się z owego stożka cienia, w którym go zamknęła pamięć sławnego genueńskiego imiennika? Mateusz Kolumb skazany był na parodię i na tanie kpiny ze strony swych oszczerców.

Jego dzieło na pewno nie było mniej niezwykle niż dokonania Krzysztofa. On również odkrył swoją "Amerykę" i podobnie jak tamten poznał smak sławy i nieszczęścia. Wiedział też, czym jest okrucieństwo. Kiedy Mateusz Kolumb zakładał swą kolonię, nie miał wcale więcej

skrupułów ani litości niż Krzysztof. Symboliczne drzewce chciał wbić nie w ciepły piasek tropików, lecz w sam środek nowo odkrytej ziemi, której żądał dla siebie - w ciało kobiety.

III

Uwięziony w swojej własnej celi na uniwersytecie, Mateusz Kolumb skończył pisać swą obrończą mowę, którą miał wygłosić przed sądem. Echo ostatniego uderzenia dzwonu zdawało się jeszcze wibrować w powietrzu, gdy ujrzał w oknie, pod światło, jakąś niewyraźną sylwetkę.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - usłyszał szept.

Mateusz Kolumb, któremu sąd nakazał złożyć ślub milczenia, przezornie nie wyrzekł ani słowa, tylko przysunął się nieco do okna. Dopiero wtedy zobaczył, że tą postacią, która przesłaniała mu słońce, był jego przyjaciel Messer Vittorio.

- Oszalałeś? Chcesz skończyć jak ja? - szepnął i szorstkim gestem kazał mu natychmiast odejść.

Messer Vittorio przełożył rękę przez kratę i podał swemu przyjacielowi bukłak z kozim mlekiem i chleb owinięty w chustę. Niechętnie i jakby wbrew sobie Mateusz Kolumb przyjął poczęstunek. Rzeczywiście był głodny. Kiedy ukradkowy gość odwrócił się i chciał już odejść w stronę kaplicy, z okna dobiegł szept:

- Czy mógłbyś mi wysłać list do Florencji przez gońca?

Messer Vittorio zawahał się przez chwilę.

- Czemu mnie nie prosisz o coś łatwiejszego?... Wiesz przecież, jak skrupulatnie dziekan sprawdza wszystkie listy...

W tym momencie obaj spostrzegli Alessandra di Legnano, który stał w otwartych drzwiach kaplicy i czujnie patrzył, czy nikt nie został na dziedzińcu i czy wszyscy są już na mszy.

- Dobrze, daj mi ten list. Muszę już iść - powiedział messer Vittorio i jeszcze raz przesunął rękę przez kratę.

- Jeszcze go nie napisałem. Zajrzyj do mnie, gdy będziesz wychodził z kaplicy.

Właśnie wtedy dziekan zobaczył messera Vittoria stojącego pod oknem.

- Co ty tam robisz? - zapytał, wziąwszy się pod boki i marszcząc czoło jeszcze bardziej, niż to miał w zwyczaju.

Wtedy messer Vittorio zaczął sobie poprawiać rzemyki u sandałów, a potem skierował się ku kaplicy.

- Mówiłeś coś do swojego buta?

Messer tylko się zaczerwienił i dość głupkowato uśmiechnął.

Mateusz Kolumb niewiele miał czasu, bo musiał zdążyć z listem, nim skończy się msza.

Kiedy upewnił się, że nikogo już nie ma na zewnątrz kaplicy, znów sięgnął po zeszyt ukryty pod małym scriptoricun - pisać mu też nie było wolno - wziął gęsie pióro, zanurzył je w kałamarnu i zaczął nim wodzić po ostatniej stronie. Ślub milczenia, do którego trybunał go zmusił, na pewno nie był tylko dodatkową karą, lecz miał konkretne uzasadnienie: szatańskie odkrycie nie mogło się w ten sposób rozsiewać po świecie jak nasiona rozrzucone wiatrem. Dlatego właśnie zabroniono mu pisać. Czas naglił. Jeszcze raz się rozglądnął, czy nikogo nie ma w pobliżu, i pośpiesznie kreślił słowa swego listu:

Droga Pani!

Duch mój się szarpie w otchłani smutku i niepewności. Wielki to ból i gorycz naprzód na Imię Boże przysiąc, że się dochowa tajemnicy, a później być zmuszonym do jej ujawnienia, by Boże dzieło nie pozostało niesłusznie ukryte. To właśnie dla Bożego Imienia, droga Ines, i dla Jego chwały postanowiłem złamać ten ślub, do którego mnie zmusili dziekan uniwersytetu w Padwie i doktorzy Kościoła. Mniej się boję samej śmierci niż milczenia, choć i śmierć, i milczenie są mi przeznaczone. Zapewne nie będę już żyć, gdy list ten dotrze do Florencji. Dziś w nocy przygotowałem swą obronę i jutro odczytam ją przed trybunałem, któremu będzie przewodniczył sam kardynał Caraffa. Nie łudzę się jednak, bo wiem dobrze, że nim jeszcze usta otworzę, wyrok już będzie postanowiony. Wiem, że niczego prócz stosu nie mogę się spodziewać. Gdybym wierzył, że na tej parodii procesu Twoje wstawiennictwo byłoby dla mnie ratunkiem, na pewno bym o nie poprosił - o tyle rzeczy Cię prosiłem, że ta jedna nie robi różnicy - lecz wiem, że los mój został już rzucony. Teraz tylko błagam, byś mnie wysłuchała. Niczego nie chcę więcej.

Zastanawiasz się pewnie, dlaczego właśnie Tobie powierzam swój sekret: Nie domyślasz się nawet, że to Ty, Pani, byłaś przyczyną odkrycia, którego dokonałem.

Teraz od Ciebie wszystko zależy. Jeśli uważasz, że jest to świętokradztwo - bo przecież przysiągłem milczenie - przerwij tę lekturę i wrzuć list do ognia. Jeżeli jednak choć trochę masz do mnie zaufania, czytaj dalej, lecz Cię zaklinam na święte Imię Boże, zachowaj ten sekret dla siebie.

Mateusz Kolumb przerwał pisanie i przez chwilę się wahał. Czas uciekał i msza musiała już być po połowie. Przetarł oczy i poprawił się na krześle. Nim na powrót wziął pióro do ręki, sam siebie zapytał, czy to nie jest szaleństwo.

Miał to być raczej początek tragedii. Gdyby Mateusz Kolumb wiedział, że to, co chce wyznać w liście do Ines de Torremolinos, okaże się gorsze od śmierci i milczenia, nie napisałby już ani słowa. A jednak znów umoczył pióro w kałamarnu.

Właśnie postawił ostatnią kropkę, kiedy zobaczył, że wszyscy zaczynają już wychodzić z kaplicy.

Mateusz Kolumb wyrwał kartkę z zeszytu i złożył ją czystą stroną do wierzchu. Naprzód przed kaplicą ukazał się milczący rój studentów, który później, na środku dziedzińca, dzielił się na mniejsze grupy zmierzające do poszczególnych auli. Na końcu wyszedł messer Vittorio, a razem z nim Alessandro di Legnano. Messer Vittorio zatrzymał się w atrium i skinął głową, jak gdyby chciał się pożegnać z dziekanem. Jednak z okna swej celi Mateusz Kolumb widział, że dziekan ani myśli odejść i trwa uparcie przy boku messera Vittoria. Widział, jak opiera się o kolumnę i rozpoczyna jedno ze swoich zwykłych przesłuchań. Samej rozmowy anatom nie mógł słyszeć, lecz dobrze znał owe inkwizytorskie gesty Alessandra di Legnano: ręce wsparte na biodrach i czoło zmarszczone bardziej niż zazwyczaj. Całkiem już stracił nadzieję, że uda mu się przekazać list messerowi Vittoriowi, kiedy nagle dziekan ruszył w stronę swojego mieszkania. Messer Vittorio jeszcze chwilę zwlekał, a kiedy się przekonał, że nikogo już nie ma na dziedzińcu ani w głębi krużganków, szybkim krokiem podszedł pod okno anatoma. Mateusz Kolumb wyrzucił wtedy swój papier przez kratę. Messer Vittorio dyskretnie odsunął nogą list jeszcze kawałek dalej, przykucnął i schował go między piętą i podeszwą sandała. W tym właśnie momencie w krużgankach znów pojawił się Alessandro di Legnano.

- Chyba już czas, byś kupił sobie nowe buty - powiedział dziekan i zanim messer Vittorio zdołał cokolwiek odrzec, Alessandro di Legnano dodał: - Czekam na ciebie w pracowni.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w cieniu krużganków.

Messer Vittorio chętnie zobaczyłby dziekana martwego. W pewnym sensie marzenie to mógł urzeczywistnić.

Dziekan

I

Głowa Alessandra di Legnano leżała na stole messera Vittoria i patrzyła w sufit pracowni (patrzyła - to za dużo powiedziane, bo w rzeczywistości jej oczy były dwiema nieruchomymi kulami). Mistrz przesunął dłonią po czole dziekana - zdekapitowanego dziekana - i zatrzymał palce na głębokiej zmarszczce. Przyłożył dłuto. Suche i stłumione uderzenie młotka podniosło pył jak z rozkruszonej kości. Dziekan był sztywny jak trup, lecz jego twarz wydawała się żywa. Był jednak zimny, o wiele za zimny jak na trupa. Alessandro di Legnano wstał ze stołka, na którym pozował mistrzowi. Pół roku wcześniej zamówił u messera Vittoria popiersie, do którego teraz się zbliżył, by mogli sobie nawzajem złożyć uszanowanie. Gdy tak się sobie przyglądał, zdawało się, że stoi oko w oko ze swoim lustrzanym odbiciem z kararyjskiego marmuru. Rzeźbiarzowi udało się dokładnie uchwycić wyraz twarzy swojego modela. Każdy, kto spojrzełby na to popiersie, od razu poczułby taką samą odrazę jak na widok autentycznego dziekana. Odrazę tę odczuwał sam messer Vittorio przez ostatnie sześć miesięcy. Na pewno nieraz musiała brać go pokusa, by wbić dłuto nie w marmur, lecz w żywe czoło Alessandra di Legnano, a zwłaszcza wtedy, gdy usłyszał werdykt:

- Widziałem gorsze rzeczy.

To mówiąc, patrzył na siebie z paradoksalną pogardą, po czym rzucił piętnaście dukatów prosto w twarz rzeźbiarzowi.

- Każ dziś jeszcze zanieść to popiersie do mego gabinetu - rzekł i obrócił się na pięcie, a wychodząc, mocno trzasnął drzwiami.

Rzeźba, którą właśnie ukończył messer Vittorio, była jak najbardziej wierna modelowi. Dziekan miał na niej wygląd kompletnego idioty: opuchnięte rysy, silny prognatyzm, który powodował, że cała twarz opierała się na dolnej szczęce niczym na balkonie, a do tego jeszcze w półprzymknięte oczy nadające całości tępy i ospały wyraz. W tym wypadku florencki rzeźbiarz był bezlitosny. Czasem wielkodusznie upiększał swych klientów, jeśli akurat wzbudzili w nim sympatię. Zrobił tak na przykład z dość beznadziejnym profilem pewnego magnata, krewnego Medyceuszy. Można by powiedzieć, że popiersie Alessandra di Legnano wyrażało opinię, jaką messer Vittorio miał o tymże Alessandrze.

Nikt w całej Padwie nie żywił ciepłych uczuć do dziekana. Niewątpliwie też nikomu nie sprawiłoby najmniejszej przykrości, gdyby dziekan umarł.

Koło południa, jak zwykle, Alessandro di Legnano uda się na Piazza dei Frutti. Przejdzie przez Riviera di San Benedetto; po drodze wszyscy go będą pozdrawiać - nie bez pewnej

górnolotnej emfazy - a kiedy skręci w stronę Ponte Tadi, po cichu będą mu życzyć jak najgorszych rzeczy. Gruba straganiarka od owoców - u której jak zwykle kupi kilka moreli - podobnie jak messer Vittorio obsypie go najlepszymi życzeniami, a później pomyśli, że nie byłoby źle, gdyby się udławił pestką. Krawiec - w którego sklepie zatrzyma się, by zamówić jedwabne facto - równie chętnie zobaczyłby swojego klienta powieszzonego na delikatnym szalu: tym samym, o którym dziekan w zeszłym tygodniu, gdy mu go krawiec z dumą pokazywał, powiedział z gestem odrazy:

- Nie miałeś nożyczek, że go musiałeś przycinać zębami?

Alessandro di Legnano wiedział, że wszyscy go nienawidzą. Czerpał z tego wyłącznie ogromną przyjemność.

Dzekan był uczniem Jakuba Sylviusa z Paryża. Z całą pewnością nie mógł się poszczycić talentem swego mistrza do medycznych nauk. Po Sylviusie Alessandro di Legnano odziedziczył tylko przyrodzoną zdolność do wzbudzania niechęci wśród bliźnich. Wszystkie określenia, jakie stosowano do francuskiego anatoma - skąpiec, grubianin, mściwy arogant, cyniczny chciwiec i jeszcze wiele innych - nie wystarczały, by scharakteryzować dziekana uniwersytetu w Padwie. On sam zapewne nie oczekiwał innego epitafium jak to, które lapidarnie streszczało życie jego mistrza:

“Tu leży Sylvius, który nigdy niczego nie uczynił za darmo.

Teraz też się martwi, że czytasz ten napis i nic mu nie zapłacisz”.

II

Tego poranka dziekan był w wyśmienitym humorze. Od razu dało się to poznać. Miał uduchowiony wygląd kogoś, kto właśnie wygrał bitwę. I rzeczywiście tak było. Z góry cieszył się już myślą o płonącym stosie, który on sam z rozkoszą by rozpalił, gdyby mu tylko na to pozwolono. Niecierpliwie czekał, by wreszcie skończył się ten ledwie rozpoczęty dzień. Jutro będzie otwarcie procesu, o który od dawna i mimo tysiącznych przeszkód wnioskował u kardynałów Caraffy i Alvareza de Toledo, a w końcu u samego papieża Pawła III.

Alessandro di Legnano szedł zwawym krokiem, jak gdyby nagle przestała mu dokuczać podagra, którą od lat włókł wszędzie ze sobą niczym uciążliwy balast. Euforia nie pozwoliła mu zobaczyć rąbka źle złożonego papieru, który wystawał z sandała messorowi Vittoriowi. Być może uczynność florenckiego rzeźbiarza opierała się tylko na jego ignorancji. Być może messer Vittorio nie wiedział, że gdyby go przyłapano, podzieliłby los przyjaciela - według świętego prawa każdy, kto rozmawia z oskarżonymi o herezję, sam będzie uznany za heretyka.

Mateusz Kolumb stał się prawdziwą obsesją dziekana. Nigdy się nie lubili. Alessandro di Legnano czuł wobec Mateusza Kolumba nienawiść wprost proporcjonalną do podziwu, którym

potajemnie go darzył. Zawsze traktował profesora anatomii z pogardą i nie przepuszczał okazji, by go zdyskredytować wobec uczniów. Nazywał go il barbiere - cyrulikiem - a to dlatego, że istniało prawo, które wykluczało chirurgów z Królewskiego Kolegium Lekarzy, przez co musieli oni należeć do cechu cyrulików. Równało ich to z pasztetnikami, piwowarami i publicznymi pisarzami. Gdy o Mateuszu Kolumbie zaczęło być głośno, dziekan oczywiście nie wyłamał się z chóru pochwał. Gratulacje, które przychodziły zewsząd po tym, jak jego profesor odkrył krążenie krwi, dziekan przyjmował jako zaadresowane do siebie, jak gdyby to jego światłe kierownictwo było natchnieniem dla tego odkrycia.

Anatom i dziekan nigdy nie przepadali za sobą. Wprost przeciwnie. Odczuwali wzajemnie wobec siebie zazdrość, choć nie była ona symetryczna. Mateusz Kolumb był najbardziej szanowanym profesorem anatomii w Europie. Miał prestiż, lecz brakowało mu władzy. Dziekan - wszyscy o tym wiedzieli, nawet doktorzy Kościoła - inteligencją niewiele odbiegał od muła, cieszył się natomiast wpływami w Watykanie i błogosławieństwem samego Pawła III. Był autorytetem i miał dobrą opinię u inkwizytorów, którym dostarczał systematycznie donosów. Niejednego kolegę heretyka wysłał dzięki nim na stos.

Nowe odkrycie anatoma przekraczało wszystkie granice tolerancji. Amor Veneris - "Ameryka" Mateusza Kolumba - nie mieścił się w dziedzinie dozwolonej dla nauk. Sama wzmianka o czymś takim jak "rozkosz Wenus" burzyła krew dziekanowi, i to z wielu powodów.

Jego zdaniem, odkąd Mateusz Kolumb objął katedrę chirurgii, uniwersytet zmienił się w lupanar. Całymi dniami przewalały się przez niego tłumy wieśniaczek, kurtyzan, a podobno i zakonnice przychodziły wieczorem, by się wymknąć jeszcze przed świtem. Plotka mówiła, że wszystkie miały później oczy wytrzeszczone i uśmiechały się jak Mona Lisa. Nie koniec na tym: dziekan jeszcze słyszał, że w celi profesora anatomii nie jeden raz bywały dziewczyny z burdelu, który się mieścił na piętrze w Taverna del Mulo. I nie było to wcale zmyślenie.

III

Odkąd papież Bonifacy VIII osobną bullą zabronił dokonywania sekcji zwłok, pozyskiwanie trupów stało się niebezpiecznym zajęciem. Niemniej jednak istniał w owym czasie w Padwie rodzaj czarnego rynku, na którym handlowano ludzkimi ciałami. Najbardziej wpływową na nim postacią był niejaki Juliano Batista, któremu do pewnego stopnia udało się ucywilizować ten interes. Gdy w katedrze anatomii na uniwersytecie zaczął wyklądać Marco Antonio della Torre, jego uczniowie nie wahali się rozkopywać grobów, plądrować kostnic w szpitalach czy też odcinać z szubienic wisielców pozostawionych tam dla przykładu. Sam Marco Antonio musiał niekiedy

powściągać ten tabun młodych anatomów, żeby przynajmniej po nocach nie mordowali przechodniów. Tak wielki był ich zapał, że jedni strzegli się drugich; tak bardzo kwitła wśród nich nekrofilia, że jako największy komplement mówili kobiecie:

- Piękne masz zwłoki.

Po czym odcinali jej głowę.

Najstarszy ich poprzednik, Mundino dei Luzzi, który dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej, na uniwersytecie w Bolonii, po raz pierwszy dokonał dwóch publicznych sekcji, miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, by nie otwierać głowy - "przybytku duszy i rozumu".

Można powiedzieć, że Juliano Batista zmonopolizował cały rynek trupów. Kupował zwłoki od krewnych będących w mniejszej lub większej potrzebie, od katów i od grabarzy. Nadawszy im wygląd możliwy do pokazywania, sprzedawał je później studentom, profesorom i mniej lub bardziej znanym nekrofilom.

Wiedział jednak, że dla Mateusza Kolumba nie musi upiększać towaru - żaden anatom nie dałby się nabrać na tę sztuczkę - zatem oszczędzał sobie trudu z różowaniem policzków, przywracaniem blasku oczom za pomocą terpentyny czy też malowaniem paznokci specjalnie sprowadzanym werniksem.

Jeżeli anatom potrzebował do badań na przykład wątroby Juliano Batista wycinał ten narząd i odkładał na bok, puste miejsce wypełniał pakułami lub słomą, misternie zszywał ciało jedwabnymi nićmi, po czym sprzedawał tak spreparowane zwłoki innemu klientowi. Gdy czasem trup był już nie do uratowania, Juliano Batista i tak potrafił go wykorzystać. Nic się nie marnowało: włosy kupowała kongregacja balwierzy, zęby natomiast szły dla cechu złotników.

Sekcje zwłok były czymś równie nielegalnym, jak powszechnym. Właściwie nikt już nie przestrzegał zakazu Bonifacego VIII i tylko w stosunku do Mateusza Kolumba dziekan egzekwował go bezwzględnie. Anatom dobrze wiedział, że Alessandro di Legnano patrzy przez palce na wszystkich prosektorów, nawet na studentów, ale dla niego nie będzie miał pobłażania: Musiał więc postępować z najwyższą ostrożnością.

Ostatnimi czasy Mateusz Kolumb kupił jakieś dziesięć zwłok; wszystkie należały do kobiet. Sporządził skrupulatną listę sekcjonowanych ciał. Zamieszczał w niej zawsze imię, wiek, przyczynę zgonu, opis, a nawet rysunki, i to nie tylko badanych narządów, lecz również twarzy i całej postaci każdej z tych umarłych.

Niewątpliwie do badań, jakie prowadził Mateusz Kolumb, bardziej by się nadawały ciała żywe, a nie martwe; zwłaszcza zaś jeden rodzaj ciał, nader rzadki w murach uniwersytetu, jako że był tam owocem zakazanym. Nad przestrzeganiem tego zakazu dziekan czuwał sumiennie, choć nie zawsze skutecznie. Regulamin uniwersytetu kategorycznie zabraniał wstępu na teren uczelni

kobietom. Jednak z powodów mniej może związanych z nauką, co raczej z popędami ciała, wiejskie dziewczęta z folwarku przy opactwie od czasu do czasu trafiały na uniwersytet, by potajemnie umilić jakąś noc doktorom i studentom.

Jednym ze sposobów na dostanie się do środka - jeśli nie wierzchem przez wysokie mury - było ukrycie się między zwłokami, które raz w tygodniu wóz komunalny przywoził do kostnicy. Owinięte w całun dziewczęta leżały nieruchomo, czekając, aż zostaną same w podziemiach prosektorium, i wtedy przychodzili do nich kochankowie.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien szacowny doktor, przypilony widocznie przez długą i przymusową wstrzemięźliwość, w tejże jeszcze kostnicy, pomiędzy trupami, zabrał się do jednej z takich dziewczyn. Zdarł z niej ubranie i traf chciał, że w szczytowym momencie wspaniałej fellatio wszedł do ponurego lochu kapelan uniwersytecki, który przed chwilą widział, jak wnoszono tu zwłoki, a teraz nagle zobaczył, że przejawiają one niewytłumaczalną żywotność. Znakomity doktor nie od razu zauważył wielebnego gościa, ten zaś w zdumieniu patrzył na chude nogi profesora i na jego wcale nie tak chudy członek, który właśnie wykijał na kształtne ciało "umarłej". Doktor wydał z siebie finałowe stęknienie i dopiero wtedy spostrzegł stojącego w drzwiach kapelana. Wybałuszył więc oczy i jął w uniesieniu krzyknąć:

- Miracolo! Miracolo!

Zaraz potem rozpoczął długą i skomplikowaną perorę, jak to właśnie udowodnił Arystotelesową teorię o życiodajnym wiewie przenoszącym nasienie w swym nurcie. Jeżeli więc to nasienie jest zdolne tchnąć życie w materię i ją zapłodnić - mówił, wpychając swój wciąż nieco sztywny członek do spodni - dlaczego nie miałyby również wskrzeszać umarłych? Gdy skończył ten swój obłąkany monolog, zniknął za drzwiami i pobiegł w górę po schodach, wrzeszcząc:

- Miracolo! Miracolo!

Niewątpliwie Mateusz Kolumb miał swoje powody, żeby sprowadzać kobiety na uniwersytet. Podobnie zresztą jak i owe kobiety, które potajemnie odwiedzały anatoma.

Ręce Mateusza Kolumba umiały obchodzić się z ciałem kobiety jak muzyk ze swoim instrumentem. Niewyraźne granice między nauką i sztuką z nich samych tworzyły instrument, jeszcze bardziej subtelny, wzniosły i trudny: instrument ulotnej sztuki dawania rozkoszy, która - podobnie jak sztuka rozmowy - nie zostawia nigdy materialnych śladów.

Było już południe, kiedy messer Vittorio przechodził przez bramę uniwersytetu, kierując się w stronę Piazza. W łagodnym zimowym słońcu, wśród tłumu przypadkowych przechodniów wędrowni kuglarze stawali sobie na ramionach, tworząc ludzkie wieże, które w chwilę potem umyślnie się rozpadały. Trochę dalej, u wejścia na plac, grupa smagłych mężczyzn - kupców i panów z miasta - otaczała kręgiem kilku banditori, którzy po kolei wykrzykiwali bieżące obwieszczenia. Jeszcze dalej zgromadzili się ci, którzy woleli posłuchać podróżnych przybyłych spoza Monte Veldo. Ich opowieści, prawdziwe czy zmyślane, były na pewno ciekawsze.

Messer szedł szparkim krokiem. Minął potrójne dyby, w których wystawiono na pokaz złapanych w tym dniu złodziei. Musiał przeciskać się przez tłum kobiet i dziewcząt, które tłoczyły się, aby opluć skazańców. Po drugiej stronie placu ostatni posłaniec, który jeszcze nie odjechał, pakował sakwy i wsiadał na konia.

Messer Vittorio wciąż był wzburzony. Wysłuchał najświeższych nowin z ust banditori, a kiedy w drodze powrotnej znów przechodził obok dybów, poczuł nieprzyjemne mrowienie na szyi. Jeżeli dopisze pogoda, za niecały miesiąc list dotrze do Florencji. Wtedy jednak - o ile nie zdarzy się cud - Mateusz Kolumb będzie już martwy.

Los sprawił, że pogoda dopisała.

Gwiazda

I

Cela Mateusza Kolumba była idealnym sześcianem, którego bok mierzył jakieś cztery kroki. Malutkie okienko nad prostym i surowym pulpitem nie było zaszklone. Tylko w dziekanacie i w głównej auli okna miały szyby. Choć szkło było nadzwyczaj praktyczne - zwłaszcza w zimie - w porównaniu ze wspaniałym weneckim jedwabiem stanowiło detal świadczący o złym guście. W owym czasie łatwo było w Padwie rozpoznać domy nuworyszów; w oknach miały zawsze malowane szkło. Oczywiście w okienku celi Mateusza Kolumba nie było również jedwabiu; za całą osłonę od wiatru musiało wystarczyć zwykłe grube płótno, które co prawda chroniło przed niepogodą, lecz w zamian nie pozwalało zajrzeć do środka najmniejszemu promykowi światła. Kiedy anatom chciał mieć w celi jasno, musiał się pogodzić z wiatrem, z zimnem, a kiedy padało, również z wlewającą się przez okno wodą. Cela - do której wchodziło się z krużganków otaczających dziedziniec - przedzielona była na pół biblioteką z górnymi półkami niknącymi w półmroku pod wysokim sufitem. Z tyłu, za biblioteką, była sypialnia: drewniane łóżko - oczywiście bez kapiteli - a obok nocny stolik i lichtarz. W przedniej części celi, pod ścianą z oknem i drzwiami na krużganek, stał niewielki pulpit. Każdy więc, kto wszedłby do celi, ujrzałby najpierw pulpit, a za nim bibliotekę, na której było całe mnóstwo wypchanych zwierząt o dziwnym i przerażającym wyglądem. Na pewno żaden przypadkowy złodziej nie ośmieliłby się wejść głębiej.

Odkąd Mateusz Kolumb został uwięziony w swojej celi, większość czasu spędzał na patrzeniu przez zakratowane okno. Teraz też wzrok miał zagubiony gdzieś na zewnątrz, kiedy nagle zobaczył, że messer Vittorio wchodzi przez główną bramę na dziedziniec. Dyskretnym i ledwie dostrzegalnym gestem rzeźbiarz dał znać przyjacielowi, że wypełnił powierzoną mu niebezpieczną misję. Mateusz Kolumb odetchnął z ulgą. Prawdę powiedziawszy, mniej się lękał o siebie - jego los i tak był przesądzony - niż o messera Vittoria.

Mateusz nie liczył, że będzie ułaskawiony jak jego mistrz Vesalius, który też kiedyś stanął przed trybunałem Świętego Oficjum. Przy jakiejś okazji Andrea Vesalius opowiedział Mateuszowi o wstydlwym i nieszczęsnym wydarzeniu, które omal nie zaprowadziło go na stos. Otóż pewnego razu Vesalius chciał przeprowadzić sekcję zwłok młodego hiszpańskiego szlachcica, który zmarł podczas lekarskich oględzin. Uzyskał na to zgodę od jego rodziców i kiedy otworzył pierś młodzieńcowi, z przerażeniem i zdumieniem zobaczył, że serce wciąż jeszcze bije. Nie dało się tego faktu ukryć przed rodzicami pacjenta, którzy natychmiast oskarżyli Vesaliusa o morderstwo i wszczęli proces przed Świętym Oficjum. Inkwizycja skazała anatoma na śmierć, lecz nim drwa

zdażyły się rozpalić, interweniował sam król i złagodził karę: Vesalius miał udać się do Ziemi Świętej na pielgrzymkę i w ten sposób zmyć z siebie zbrodnię.

Mateusz Kolumb wiedział, że jego “zbrodnia” była nieskończenie cięższa, ponieważ odkrył to, co na zawsze powinno zostać ukryte. Dla niego nie było już żadnej nadziei, nawet gdyby się wycofał i wszystko odwołał, tak jak to uczynił inny wychowanek uniwersytetu w Padwie, Galileo Galilei. Odkrycie Galileusza w praktyce było zbyt “nieuchwytnie”, natomiast “Ameryki” Mateusza Kolumba mógł dotknąć każdy prostak.

- Cóż stałoby się z ludzkością, gdyby moce piekielne zdobyły władzę nad tą odkrytą przez ciebie rzeczą? - zapytał dziekan i kazał mu złożyć ślub milczenia, a przy okazji nie omieszkął zasugerować, że sam odkrywca swoją osobą jak nic przyczynił się do powiększenia coraz liczniejszych zastępów Szatana.

- Ileż nieszczęść może spaść na ludzkość, jeśli Zło zapanuje nad wolą całej niewieściej trzódki! - martwił się dziekan i dał do zrozumienia, że jego głównym marzeniem jest zapanować nad ową trzódką w imieniu “Dobra”.

Tak więc Mateusz Kolumb niczego innego nie mógł się spodziewać oprócz stosu.

Jednak smutek, który ścisnął mu gardło, miał całkiem inną przyczynę. Nie była nią perspektywa bliskiej już śmierci, więzienie czy nakaz milczenia. Nie było nią wspomnienie Ines de Torremolinos albo niepokój o los właśnie wysłanego listu. Smutek ten nie wynikał ze złamania ślubu i z wyjawienia sekretu, którego poprzysiągł dochować, ani też nawet z samego faktu, że jego odkrycie nigdy nie będzie publicznie ogłoszone. Mateusz Kolumb najbardziej żałował, że nie udało mu się urzeczywistnić niewinnego marzenia, które było podstawowym motorem jego działań.

Gwiazdą przewodnią Mateusza Kolumba nie była przesłanka teologiczna - tak jak to przedstawił - ani filozoficzne pragnienie wiedzy - jak się usprawiedliwiał - ani nawet chęć zrewidowania anatomii - czego rzeczywiście i wbrew sobie dokonał. W stronę stosu bynajmniej nie kroczył w imię Prawdy, tak jak to uczynił jego kolega, Miguel de Servet.

Źródłem jego odkrycia była wyłącznie nie spełniona miłość. Nie chciał poznawać ogólnych praw rządzących zagadkowym niewieścim postępowaniem. Pragnął tylko miejsca w sercu jednej jedynej kobiety.

Gwiazda, która zaprowadziła Mateusza Kolumba do jego “słodkiej ziemi”, miała konkretne imię: Mona Sofia.

Puttana

I

Mona Sofia urodziła się na Korsyce. Nie ukończyła jeszcze dwóch miesięcy, kiedy pewnego letniego poranka matka zabrała ją ze sobą nad morze, gdzie przy ujściu strumienia chciała zrobić pranie. Tam dziewczynkę porwali piraci. Rzeczywiście, w owych czasach Korsyka nie była najszcześniejszym miejscem, gdzie kobieta mogłaby urodzić ładne dziecko, i to na dodatek płci żeńskiej. Kiedy Marek Antoniusz, a później Pompejusz wygnali piratów z ich "republiki" w Cylicji, ci ostatni, uparci i brutalni, po długiej tułaczce po morzach Europy i Azji Mniejszej zdołali założyć na powrót swą ojczyznę, tym razem na dwóch wyspach: na Korsyce i na Sardynii. Podobno piraci Gorgara Czarnego od razu zwrócili uwagę na przedwczesną i nader obiecującą urodę dziewczynki. Wzięli dziecko na pokład brygantyny, gdzie znajdowała się już grupa mongolskich niewolników, i sprzedali je później pewnemu kupcowi w Grecji. Dziewczynka przeżyła podróż dzięki młodej niewolnicy, której odebrano synka, więc pozostało jej jeszcze trochę mleka. Mona Sofia niedługo przebywała w Grecji - wenecki handlarz dał za nią parę dukatów i zabrał ze sobą do Wenecji. Wiedział, że tam znajdzie się ktoś, komu ją sprzeda.

II

Donna Sidonna zapłaciła za dziewczynkę dwadzieścia florenów i od razu była przekonana, że zrobiła znakomity interes. Zaraz na wstępie wsadziła ją do balii z mydlinami. Szorowała dziewczynkę z takim samym zapamiętaniem i rozkoszą, jak gdyby miała przed sobą zardzewiały kocioł. Opłukała ją, wysuszyła i natarła wodą różaną. Mimo tych wszystkich zabiegów nie było jej łatwo pozbyć się uporczywego marynarskiego smrodu. Następnie ogoliła dziewczynce głowę, pozbawiając ją długich i brudnych włosów, które były sztywne jak druty. W końcu posadziła ją na kocu obok ognia. Widząc, że dziewczynka jest chuda i w oczywisty sposób anemiczna - na statku karmiła ją wątłą piersią niewolnica, która sama była ledwie żywa z głodu - wyznaczyła jej mamkę. Oliva - bo tak się owa mamka nazywała - była młodą egipską niewolnicą. Mleko miała dobre i pożywne. Imię jej wzięło się od koloru skóry i od postaci, która przypominała oliwne drzewo: Oliva była szczupła, a kiedy szła, poprzedzały ją majestatyczne piersi o sutkach wielkości złotego florena. Oliva łączyła w sobie wszystkie zalety doskonałej mamki: była śniada - a wiadomo przecież, że mleko kobiet jasnych jest gorzkie i wodniste, Murzynki natomiast są dobre, by karmić dzikie bestie, nigdy zaś białe dzieci. Już po tygodniu było widać postępy; dziewczynka zaczęła czkać jak dorosła i sadzić najzdrowsze z wyglądu kupy. Donna Sidonna zawsze je skrupulatnie

badala i z satysfakcja mogla sie przekonac, ze ich kolor i konsystencja swiadcza o znakomitym funkcjonowaniu kiszek.

Kiedy dziewczynce minal pierwszy miesiac - liczac od jej przybycia do tego domu - Donna Sidonna owinela ja cala w koronki, wyperfumowala woda jaśminowa i wezwala ksiedza, by jej udzielim pierwszego sakramentu, bo oczywiscie dobra dziewczyna powinna byc chrzescijanka. Tak jak juz to byvalo wiele razy wczesniej, Donna Sidonna targowala sie z ksiezdzem i w koncu jakos doszli do porozumienia: wielebny chcial uslug jednej z wychowanek przez okragly miesiac, i to na dodatek per tutti gli orifizi; Donna Sidonna godzila sie na tydzien i miala to byc tylko zwykla francescana; ostatecznie stanelo na pietnastu dniach per tutti gli orifizi. Tak wiec dziewczynka zostala ochrzczona i otrzymala imie Ninna.

Ninna mieszkala razem z osmioma dziewczynkami znajdujacymi sie w takiej samej jak ona sytuacji, ale prędko zaczela sie od nich odróżniac: zadna glosniej nie umiala plakac ani nie przejawiala takiego apetytu. Po kazdym karmieniu sutki Olivy byly calkiem sine. W przeciwienstwie tez do pozostalych, Ninna zawzicie protestowala przeciwko powijakom, ktorymi Donna Sidonna petala ja na noc, zeby zapobiec potwornym deformacjom. Krzyki, jakimi Ninna wyrazala swój sprzeciw, byly przykladem dla innych dziewczynek: wszystkie zaczynaly jej natychmiast wtórowac, jak na pogrzebie wynajete placzki, ktore nasladuja szloch i rozpacz wdowy. Byla to pierwsza i jeszcze niewinna oznaka niebezpiecznie buntowniczej natury. Dobra kurwa, podobnie jak dobra zona, powinna byc ulegla, posluszna i wdzieczna.

W miare jak dziewczynce przybywalo wieku, wzrostu i urody, w takiej samej proporcji rozwijal sie jej iscie wulkaniczny temperament. Dlugie, czarne i zawiniete rzesy zaczely przeslaniac jej zielone, migdalowego ksztaltu oczy, w ktorych czaila sie zlosliwa i sarkastyczna inteligencja. Oczy te fascynowaly i napawaly lekciem jak spojzenie weza. W duszach przesadnych budzily groze i zle przeczucia; dla osob religijnych byly pietnem Szatana, bo jak wiadomo, inteligencja u pieknej kobiety jest niezbitym dowodem diabelskiego wplywu.

Nim jeszcze ukończyła pierwszy rok zycia, Ninna zaczela próbowac języka, lecz w sposob zdumiewajacy i calkiem niepodobny do gaworzenia pozostalych dziewczynek. Tak wiec gdy tamte woialy juz po imieniu swe nianki, a Donne Sidonne w dowod wdziecznosci nazywaly mamina, Ninna systematycznie ignorowala swoja dobrodziejke i nawet nie chciala na nia spojrzec. Na próżno nianki podnosily ja na rekach ku mamie, by zechciala choc jednym usmiechem obdarzyc Donne Sidonne. Nic z tego; jedyne, co mozna bylo od dziewczynki uzyskac, to zdrowe bekniecie prosto w nos opiekunki. Donna Sidonna pocieszala sie, ze Ninna jest jeszcze za mala, by docenic los, jaki jej przypadl w udziale - los chyba najlepszy dla kobiety. Dziewczynki nie zdawaly sobie jeszcze sprawy, jak wielkie pieniadze Donna Sidonna w kazda z nich wkladala i tym samym

uwalniała ich rodziców od ogromnego nieszczęścia, jakim było wydać na świat córkę. Oczywiście musiało to dla nich być bolesne, gdy nagle porwano im dziecko, lecz chyba lepiej jest raz pocierpieć, niż później męczyć się przez całe życie. Tak naprawdę, rodzice Ninny powinni być wdzięczni, że tak się właśnie stało. Któż o zdrowych zmysłach byłby szczęśliwy, mając córkę? Najpierw same wydatki, a gdy wreszcie uda się znaleźć męża, trzeba jeszcze wypłacić mu posag. Gdyby wszyscy byli tego zdania - myślała Donna Sidonna - lichwiarze z banku posagów nie mogliby tak bezlitośnie łupić biednych i zdesperowanych rodziców, u których córki są właśnie na wydaniu. A oto jak jej dziękuje pupilka: nagłym i dźwięcznym beknięciem lub nie mniej głośnym afrontem od przeciwnej strony.

Pewnego dnia rano, gdy Donna Sidonna poszła sprawdzić, czy jej niewdzięczna filia jeszcze śpi, zobaczyła, że dziewczynka stoi w kołysce i uważnie się przypatruje swojej opiekunce. Donna Sidonna, ku swemu osłupieniu, usłyszała na przywitanie starannie wypowiedziane słowa:

- Puttam... Daj mi dziesięć dukatów.

To było pierwsze pięć słów, które Ninna wyrzekła w swym życiu. Donna Sidonna przeżegnała się. Nogi ze strachu odmówiły jej posłuszeństwa, bo inaczej uciekłyby czym prędzej z pokoju, a tak wydała z siebie tylko przeraźliwy pisk. Tych pięć słów było nieomylnym znakiem, że dziewczynka jest opętana przez diabła. Trzeba więc było podjąć szybkie i zdecydowane kroki.

Nim jeszcze jej piersi zdążyły się rozwinąć, a sutki nabrać twardości migdału i jedwabistej gładzi ogromnych płatków kwiatu, Ninna została sprzedana pewnemu handlarzowi za dziesięć dukatów - za połowę ceny, którą zapłaciła jej poprzednia właścicielka. Był letni poranek, kiedy wystawiono ją na licytację na publicznym placu wraz z grupą arabskich niewolników i młodych kurewek. W końcu kupił ją - po zważeniu - madonna Creta, filantropijna osoba, do której między innymi należał jeden z burdeli w Wenecji.

III

Ninna - imię to dziewczynka nosiła wyryte na bransoletce - została przechrzczona na bardziej elegancką Ninnę Sofię. Była najmłodszą pupilką w burdelu. Jej nowa mama - madonna Creta - była zamożną kurtyzaną, która już się wycofała z obiegu. Na pewno nie można było od niej oczekiwać takiej czułości i poświęcenia, jakie dla Ninny miała jej dawna dobrodziejka. Jeszcze trudniej było się spodziewać cierpliwości. Gdy madonna Creta po raz pierwszy wzięła dziewczynkę na ręce, zaczęła się jej przyglądać jak świeżo kupionej na targu sałacie. Pogratulowała sobie nowego nabytku; już niedługo - za dwa lub trzy lata - ta drobna inwestycja zacznie przynosić zyski. Trzech rzeczy nie brakowało w Wenecji: szlachty, księży i pedofilów. I oczywiście, wszystkich możliwych kombinacji tych trzech elementów. Tak, to był dobry interes - powiedziała

sobie madonna Creta. Już sobie wyobrażała twarz messera Girolama di Benedetto, gdy ów starzec zobaczy młode i jeszcze nie tknięte ciało jej pupilki. Czegoż by nie dał, żeby niedołącznymi palcami rozchylić tę ciasną jak nie rozkwitły pąk szparę! Jakież pieniądze byłby skłonny zapłacić, by móc się ocierać swoim zwiędłym członkiem o te jędrne uda! Madonna Creta już oczami wyobraźni widziała i liczyła złote dukaty. Ale nie miało to być takie proste.

Ninna Sofia przyjrzała się sypialni, którą miała odtąd dzielić z czterema dorosłymi już współmieszkankami. Pomieszczenie wyglądało gorzej niż stajnia i rzeczywiście chyba miało taki sam zapach. Było niczym wewnątrz kostki bez żadnego okna; pod ścianami stały drewniane łóżka z siennikami. Na ich skrajach siedziały cztery kobiety: niewolnice kupione za nędznych parę dukatów. Jedna nie miała w ogóle zębów; druga przedstawiała sobą widok, jakiego można się spodziewać po syfilisie w zaawansowanym stadium. Dwie pozostałe wzrok utkwiły gdzieś w nieokreślonym punkcie poza ścianami pokoju i trwały w ten sposób nieruchomo. Wszystkie miały w spojrzeniu poczucie klęski, z którą zdążyły się już pogodzić: ów smutek, który będzie im towarzyszyć aż do ostatniego i chyba już nie tak odległego dnia. W gorącej i dusznej sypialni brakowało powietrza: nie było czym oddychać. Ninna Sofia wyraziła swój sprzeciw krzykiem, po którym nastąpił długi i przeraźliwy płacz. Kiedy otworzyły się drzwi, Ninna spodziewała się ujrzeć swoją mamkę Olivę, jak biegnie ku niej pełna troski i zaaferowania. W zamian w oczach jej rosła postać madonny Crety. Po pierwszych trzech policzkach Ninna zrozumiała, że jeśli przestanie płakać, może nie będzie już więcej tych uderzeń. Miała rację. Od tego czasu Ninna postanowiła sobie nigdy już w życiu nie płakać. Tej obietnicy dotrzymała.

Duch jej stawał się coraz bardziej niepokorny, trudny i niebezpieczny. Ninna Sofia była trującym kwiatem.

Na nic się nie przydawały kary, których - oczywiście z miłości i dla jej własnego dobra - nie szczędziła Ninnie madonna Creta. Nie pomagały baty ani wieczorna pokuta polegająca na klęczeniu na ziarnach kukurydzy. Żadnego wrażenia nie robił obraz kręgów piekielnych niechybnie czekających na niepokornych grzeszników. Spoza długich i zawiniętych rzęs Ninna Sofia patrzyła na swą opiekunkę zielonymi oczami coraz bardziej pełnymi złośliwej i przewrotnej inteligencji. Ani śladu łez, tylko uśmiech Giocondy i szept:

- Skończyłaś już, madonno Creto?

Madonna Creta uznała, że skoro dziewczynka jest na tyle dorosła, że lekceważy te z dobrego serca dawane jej nauczki, powinna już sama zatroszczyć się o swoje utrzymanie i o to, czy będzie miała co włożyć do ust. Tak więc wcześniej niż przewidywała, madonna Creta poszła do messera Girolama di Benedetto; żeby mu powiedzieć o swej nowej pupilce.

Messer Girolamo był jednym z najbogatszych fabrykantów jedwabiu w Wenecji i aż do zeszłego roku piastował godność priora tego cechu. Teraz, jako starzec, postanowił wycofać się z życia publicznego i poświęcić bez reszty rozrywkom. Najwyższy już był czas, żeby wykorzystać tych parę lat, które mu jeszcze zostały. Prawdę mówiąc, nigdy się nie zajmował czymś innym niż próżniactwem, tyle że teraz zamiast z kolegami grać w karty w cechowej kancelarii, mógł to robić we własnym i o wiele bardziej przytulnym pałacu. Messer Girolamo di Benedetto miał dwie słabości: karty i dzieci. Oczywiście nigdy by nie pozwolił, żeby go nazwać pedofilem. W końcu cóż złego było w miłości do dzieci i we wspomagananiu ich od czasu do czasu pieniędzmi, zwłaszcza jeśli rodzice byli biedni?

Cena, jakiej sobie zażyczyła madonna Creta, wydała mu się dość wygórowana, ale nie protestował. Czego jak czego, pieniędzy mu nie brakowało. Choćby się starał, nie zdołałby ich wydać aż do końca życia. Jeśli nawet z przyzwyczajenia lubił się czasem potargować, w sprawach tak delikatnych wołał nie myśleć o kosztach. Poprosił tylko madonnę Crete, by mu dokładnie opisała dziewczynkę. Messer Girolamo di Benedetto słuchał z nieobecnyim wzrokiem i zdawało się, że już z góry przeżywa ten rozkoszny moment, gdy na własne oczy zobaczy Ninnę Sofię. Gdyby wiedział, co go od tej małej Ninny spotka, chyba by wołał już tu na miejscu umrzeć.

IV

O oznaczonej godzinie messer Girolamo pojawił się przed domem madonny Crety. Przyszedł trochę za wcześnie, ale samo wejście do burdelu wymaga czasu, jeśli ktoś chce to zrobić niepostrzeżenie. Messer Girolamo musiał poczekać, aż minie go paru przechodniów, a potem zatrzymał się przed bramą jednego ze sklepów, bo dwie kobiety ucięły sobie długą pogawędkę akurat przed drzwiami do lupanaru. Gdy wreszcie się rozstały i odeszły na tyle daleko, że już go zobaczyć nie mogły, messer Girolamo nasunął na oczy kapelusz, by jego rondem zasłonić sobie twarz, i lekkim krokiem wbiegł do niewielkiego atrium burdelu.

Niezamierzenie pogardliwym gestem messer Girolamo di Benedetto odmówił kieliszka wina, którym go poczęstowała madonna Creta. Chciał jak najszybciej przystąpić do dzieła. Takie okazje nie zdarzają się co dzień. Miłość do dzieci nieraz już ściągała kłopoty na głowę messera Girolama - dwukrotnie był oskarżony publicznie o wykorzystywanie nieletnich. Choć wtedy udało mu się sprawę załagodzić i uniknąć sądu dzięki paru dźwięczącym i bardzo konkretnym "argumentom", które oskarżycielom trafiły do przekonania, od tego czasu wiele się w Wenecji mówiło o gustach messera Girolama. Tutaj natomiast madonna Creta była gwarancją zachowania sekretu. Cały jej interes opierał się przecież na dyskrecji. Właśnie dlatego messer Girolamo nie odczuwał prawie żadnej przykrości, gdy płacił umówione dwadzieścia dukatów.

Madonna Creta zaprowadziła go do specjalnie przygotowanej na tę okazję sypialni. Stała w drzwiach i przepuszczając messera Girolama przed sobą, uśmiechnęła się zachęcająco i nim go zostawiła sam na sam z dziewczynką, powiedziała:

- Bawcie się dobrze, panie, tylko nie uszkodźcie tej małej.

Kiedy messer Girolamo di Benedetto zobaczył Ninnę, oczy mu załśniły. Zdawało mu się, że to cudowny sen. Kompletnie naga dziewczynka leżała na brzuchu. Na początek messer delikatnie poklepał ją po pośladkach i przesunął swymi niedołącznymi i powykręcanyimi palcami po jej krągłych udach. Spuścił kroplę gęstej śliny na drobne plecy i roztarł ją dłonią. Ninna nie stawiała oporu i nawet uśmiechnęła się lekko, gdy starzec posadził ją sobie na kolanach. Już od lat messerowi Girolamowi członek przestał się podnosić, a więc gdy teraz zobaczył to upragnione zdarzenie, powiedział sobie, że mała Ninna to prawdziwy cud. Oczywiście nie była to jedna z tych wspaniałych erekcji, którymi się szczycił w młodości, lecz chyba lepsza taka niż żadna. Wziął dziewczynkę pod pachy, uniósł ją i umieścił jej maleńkie pośladki wprost na swoim członku, który pod wełnianym facto tworzył niewielki, lecz wyraźny pagórek. Od dawna nie był aż tak podniecony. Kiedy Ninna wyczuła pod sobą ową twardą wypukłość, przeciągnęła się jak kot, co jeszcze bardziej rozpaliło starca. Niecierpliwie podciągnął facto powyżej brzucha, chwycił swój członek w ręce i podsunął go pod oczy dziewczynce. Ninna przyjrzała się tej fioletowej rzeczy, którą starzec ścisnął w dłoniach, i sama po nią sięgnęła. Dłoń Ninny była tak drobna, że ledwie mogła objąć pół grubości członka.

- Nie pocałujesz mego przyjaciela? - zapytał starzec.

Ninnę widocznie rozbawił sposób, w jaki "jej" klient mówił o tej rzeczy, bo się uśmiechnęła. Uśmiech ten starcowi wydał się po prostu lubieżny. "Lubieżny" - to chyba najwłaściwsze słowo. Nigdy się jeszcze z czymś takim nie spotkał u żadnej innej dziewczynki. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś popatrzył na to z boku, mógłby pomyśleć, że mała Ninna zajmuje się właśnie "deprawacją starców". Tak jak sobie zażyczył messer Girolamo di Benedetto, Ninna zbliżyła usta do jego członka - który teraz rzeczywiście był twardy i całkowicie sztywny, bardziej niż kiedykolwiek, bardziej nawet niż w czasach młodości - i musnęła go wargami, tak jak mamka Oliva kazała jej robić z policzkami Donny Sidonny, przed czym zresztą Ninna zawsze się wzdragała. Zupełnie jak dorosła kobieta, Ninna przymknęła powieki i przesunęła wargami po samym czubku żołądź. Starzec postawił oczy w ślup i drżał niczym liść na wietrze. Ninna, jak gdyby zawsze zamiast piersi ssła męskie członki - nikt jej przecież nie uczył trudnej sztuki fellatio - rozwarła usta najszerzej, jak mogła, i objęła nimi całą żołądź. Starzec nie wierzył własnym oczom.

- Prawdziwa mała kurewka - wyszeptał. - Prawdziwa kurwa od siedmiu pokoleń.

Podczas gdy to mówił, dziewczynka patrzyła na niego zielonymi oczami przesłoniętymi przez długie rzęsy i coraz głębiej wpychała w usta członek. Nagle poczuła jakby gwałtowny skurcz w owej rzeczy, która sięgała jej już niemal gardła. W tym właśnie momencie Ninna z całej siły zacisnęła zęby i wbiła je po same dziąsła. Równocześnie rzuciła się do tyłu; przez chwilę zawisła w powietrzu nad członkiem starca, po czym upadła na podłogę. Z początku messer Girolamo di Benedetto nie zrozumiał, co się stało; dopiero później zobaczył strumień krwi buchający mu z pieńka pod brzuchem. Dopiero wtedy zobaczył - nie była to halucynacja - że jego członek jest zdekapitowany. Dziewczynka anielskim wzrokiem patrzyła na starca i wciąż trzymała w ustach krwawy strzęp ciała. Jej oczy zakreśliły w powietrzu parabolę, gdy messer Girolamo upadał z drugiej strony łóżka na podłogę. Nogi starca - sztywne i proste jak struny lutni - utworzyły literę V nad brzegiem łóżka, co Ninnie wydało się nadzwyczaj zabawne.

Gdy minął ustalony czas, madonna Creta uchyliła drzwi i szeptem spoza nich powiedziała:

- Messer, czas się skończył. Mam nadzieję, że nie zrobiliście krzywdy tej małej.

Madonna Creta potknęła się o trupa swego klienta i nim zdążyła się czegokolwiek pochwycić, nogi jej się rozjechały na śliskiej od krwi posadzce i przewróciła się obok nieboszczyka. Ninna siedziała w kącie pokoju i przeżuając to, co miała w ustach, wydawała się całkiem usatysfakcjonowana rezultatem swej tak wcześnie podjętej zawodowej pracy. Uśmiechnęła się do madonny Crety, jak gdyby chciała jej rzec: "Prawda, że właśnie tak miałam zdobywać jedzenie?"

Jeszcze tego samego dnia Ninna Sofia miała odnaleźć swoje prawdziwe powołanie.

Twórca

I

Spanikowana madonna Creta owinęła trupa messera Girolama di Benedetto w płótno, wzięła dziewczynkę pod pachę i wsiadła do małej gondoli. Opłaciwszy brzęczącą gotówką milczenie pogrążonego w myślach gondoliera, w najmniej uczęszczanym miejscu na Canal Grande wyrzuciła za burtę martwego castrato i dziewczynkę.

Jak gdyby los Ninny Sofii był już gdzieś wypisany, woda zaniósła jej drobne i na wpół utopione ciało do Riviera di San Benedetto i wyrzuciła na stopnie prowadzące do atrium pewnej szkoły, którą trzydzieści lat wcześniej założył Massimo Troglio.

Massimo Troglio był najbardziej renomowanym *fattore dei puttane* w Europie. Oczywiście, że kupował, sprzedawał i kradł jak każdy handlarz, ale to był tylko początek długiej i mozolnej pracy: pierwsze ogniwo w nader kosztownym, lecz w równej mierze zyskownym interesie. Massimo Troglio był znakomitym pedagogiem - mieszanką najpodlejszego pedofila z najbardziej wzniosłym nauczycielem.

Il Fattore - jak niektórzy go nazywali - był założycielem najślawniejszej ze szkół dla kurtyzan: Scuola di Puttane. Był ojcem - jeśli tak można powiedzieć - najdoskonalszej rasy weneckich kurw; samej Leny Grify oraz tych wszystkich, które były ozdobą dworu Medyceuszów, które podbijały serca królów i arcybiskupów i na których cześć wzniesiono najwspanialsze pałace w Wenecji.

Żadna cesarzowa nie mogła się poszczycić lepszą edukacją niż wychowanki Massima Troglio. Najmłodsze - tak jak mała Ninna Sofia - były otoczone najtroskliwszą opieką. Zajmowały się nimi stare i już wysłużone weteranki, madonny, które kąpały swe pupilki w mleku wilczyc - od czasu wielkich epidemii woda była zakazana, a poza tym Massimo Troglio uważał, że mleko wilczycy przyspiesza wzrost i zapobiega osłabieniu - nacierały je śliną klaczy, by ich ciała rosły, nie stawały się wiotkie, a raz w tygodniu kazały spać dziewczynkom między świniami w chlewie, by przyzwyczyły się do odrażających zapachów i do najbardziej nawet przykrego towarzystwa.

Massimo Troglio był autorem *Scuola di Puttane* - zbioru 715 aforyzmów podzielonych na siedem ksiąg i niewątpliwie zainspirowanych przez *Aforyzmy Hipokratesa**. (*Scuola di Puttane, Wenecja 1539. Układ dzieła jest identyczny jak u Hipokratesa: w każdej księdze mieści się tyle samo aforyzmów oraz styl jest wyraźnie i z zamierzenia podobny.) Utrzymywał tam między innymi, że najlepsze i najbardziej oddane kurwy wyrosną z dziewczynek, których rodzicami są:

1. cieśla i dojarka; 2. myśliwy i kobieta azjatyckiej rasy, w szczególności Chinka; 3. marynarz i hafciarka.

Twierdził poza tym, że “kobieta może począć dziecko nawet od siedmiu ojców, których soki nasienne łączą się w macicy, a ich kombinacja zależy od płodnej mocy każdego z ich dawców”.

“Profesja Twórcy Kurw jest czymś najbardziej wzniosłym i subtelnym, bardziej niż sztuka fabrykanta perfum, bardziej nawet niż sztuka alchemików. My też łączymy najszlachetniejsze esencje z najbardziej podłymi, antypatyczne z sympatycznymi”.

Massimo Troglia wiązał szczególne nadzieje z ową dziewczynką, którą mu niebo zesłało. Żeby nie było żadnych wątpliwości, że jest to jedna z jego wychowanek, zdjął Ninnie bransoletkę i zamówił na jej miejsce inną - złotą i wysadzaną rubinami - na której widniało nowe i już ostateczne imię: Mona Sofia. Rzadko miał okazję widzieć u małej dziewczynki tak zdecydowany charakter, tak ogromną i wcześniej widoczną inteligencję, a zwłaszcza tak niezwykłą i fascynującą urodę. Mona Sofia była syntezą wszystkich kurw w jednym dziewczęcym ciele; była jakby ekstraktem kurwy w stanie czystym. A jednak Mona Sofia nastroczała swemu wychowawcy dwa wielkie problemy, które są zawsze zmorą i zagadką dla wszystkich, którzy chcą wykształcić kurwę: chodziło o miłość i o przyjemność. Massimo Troglia nigdy się jeszcze nie spotkał z tak nieprzejdną nienawiścią, jaką czuła wobec niego dziewczynka. Nie martwiło go bynajmniej, że jest ona skierowana ku niemu. Problem polegał na tym, że jak mówiło mu doświadczenie - i co zapisał w aforyzmie IX “im bardziej kobieta jest skłonna do nienawiści, tym łatwiej jej przychodzi pokochać”. Druga troska nie była w rzeczy samej spowodowana pozorną niewrażliwością dziewczynki na ból i na kary. Massimo Troglia podejrzewał, że za obojętną maską kryje się coś całkiem innego. Być może im większy był ból, tym większą też z niego Mona Sofia czerpała przyjemność. A przecież pośrednim celem pierwszych lat nauki było wykorzenie u wychowanek uczucia miłości i zadowolenia. Massimo Troglia za dużo już zainwestował pieniędzy i czasu, żeby mu się kiedyś taka niewdzięcznica zakochała i - jak to nieraz bywało - uciekła z jakimś mężczyzną. W swoich aforyzmach Massimo Troglia pisał:

Deprawować jest trudniej, niż wychowywać.

Łatwiej jest zastąpić jeden system moralny drugim, niż całkiem go wykorzenieć.

Nauka moralności pomaga w wykształceniu kurwy.

Podobnie jak filozof, wychowawca kurw powinien być nośnikiem moralności.

Lepiej jest dla władcy, kiedy w jego państwie kurwy są kurwami dla pieniędzy, a nie dla przyjemności.

Massimo Troglia opierał swoją teorię na kanonach helleńskich. Myśli, które prowadziły jego pióro oraz równie konsekwentnie kierowały całym postępowaniem, można było znaleźć w *Metafizyce* Arystotelesa. Z gruntu arystotelesowa była jego koncepcja kobiety i mężczyzny i oczywiście arystotelesowy był też jego pogląd na temat prokreacji. Z tych samych źródeł zaczerpnął wyjaśnienie, dlaczego “mężczyzna z przyczyn naturalnych musi korzystać z zasobów kobiety”. W rozdziale “O zwyrodniałej kondycji kobiety” pisał: “Jak uczył mistrz Arystoteles, sperma mężczyzny jest esencją, istotową postacią, która urzeczywistnia się w formalnej potencji przyszłego bytu. W nasieniu mężczyzny jest tchnienie, forma, tożsamość, to znaczy kinesis, która martwą rzecz przekształca w żywą materię. Tak więc mężczyzna jest tym, który daje rzeczy duszę. Nasienie ma w sobie ruch, który w nim wzbudził jego ojciec: nasienie jest wypełnieniem idei będącej formą samego ojca, co nie oznacza wcale przekazywania materii przez mężczyznę. W idealnych warunkach dziecko byłoby identyczne z ojcem. Kobieta daje mu materialne wsparcie swoją krwią: daje mu cielesność, która podlega starzeniu się, zepsuciu i śmierci. Istota duszy jest zawsze męska. Jak uczy Filozof, płodzenie dziewczynek jest zawsze skutkiem słabości ojca, a ta z kolei bierze się z choroby, starości lub zbyt młodego wieku”.

“Kobieta jest dostarczycielką materii, mężczyzna natomiast jest przyczyną sprawczą. W ślad za Filozofem uważamy, że te właśnie funkcje są naturalne dla każdej z obu płci i że na tym polega być kobietą albo być mężczyzną. Poza tym jest rzeczą konieczną, aby kobieta dostarczyła ciała - pewnej określonej ilości materii - natomiast nie jest to konieczne w przypadku mężczyzny; nie jest konieczne istnienie narzędzia lub twórcy w wytworzonym dziele”.

Teoria Massimo Troglia nie dotyczy samego tylko poczęcia, lecz obejmuje również - zawsze pod intelektualnym patronatem Arystotelesa - całą genealogię żyjącego bytu: “Nasienie to organon, który posiada ruch zaktualizowany”^{*}.(*Arystoteles: *Metafizyka*) “Nasienie nie jest częścią embrionu, podobnie jak żadna cząsteczka substancji nie przechodzi od cieśli do drewna, z którego powstaje stół. Żadna cząsteczka nasienia nie wchodzi w skład formującego się płodu”. Po czym następuje jeszcze jeden przykład: “Muzyka nie jest instrumentem ani instrument nie jest muzyką, niemniej jednak muzyka jest identyczna z wcześniejszą ideą u autora”.

Łatwo więc wywnioskować, co było jądrem teorii Massimo Troglia: własność, ojcowska władza, prawo do potomstwa ze strony jego twórcy, to znaczy ojca. Równie oczywisty był zamysł samego Arystotelesa: potwierdzenie greckiego Prawa.

W myśl tej teorii kobieta jest tylko zwykłą resztą, której istotę stanowi owa wzbierająca raz w miesiącu krew: masa surowego i nieczystego płynu, który choć jeszcze jest nie przetworzony, bierny i bezkształtny, został jednak dotknięty tchnieniem - kinesis - swego słabego twórcy.

Właśnie to ostatnie odkrycie Arystotelesa było dla Massima Troglio podstawą całej jego metody. Ukazało mu sposób, w jaki mógłby tworzyć i zawłaszczać kobiety.

Mona Sofia była najpiękniejszą i najwcześniej rozwiniętą z wszystkich jego uczennic. Przejawiała niezwykłą predyspozycję do zawodu i zmysłowość rzadko spotykaną u dziewczynek w jej wieku. Kiedy Mona skończyła sześć lat, Massimo Troglio uznał, że można już przystąpić do drugiego etapu wychowania.

W Scuola di Puttane dziewczynki bardzo wcześnie rozpoczynały naukę religii, mitologii starożytnej i - oczywiście - czytania i pisania, nie tylko we własnym języku, lecz również po grecku i łacinie. Scuola była jak najbardziej renesansową instytucją, a pod względem prestiżu nie ustępowała żadnej z licznych szkół malarstwa w ówczesnych Włoszech. Była częściowo finansowana przez miasto i każda z jej absolwentek otrzymywała tytuł funkcjonariuszki państwowej.

Monę fascynowały historie, które opowiadała Filipa, jej nauczycielka. Kiedy słuchała, jak wieloryb połknął w całości Jonasza, otwierała szeroko oczy i przynaglała Filipę, by ta pominęła wszystkie nieistotne sprawy i od razu jej powiedziała, co stało się z bohaterem.

Wszystko szło doskonale, dopóki Filipa nie zaczęła jej różnych rzeczy imputować. Mona stanowczo zaprzeczyła, że miała coś wspólnego z ukrzyżowaniem Jezusa Chrystusa, a oskarżenie, że z jej powodu On umarł, uznała za nie do przyjęcia. Ostatecznie kim ona była i jaki wpływ mogło mieć jej nic nie znaczące istnienie na los samego Zbawiciela?

Podobnie oświadczyła, że nie poczuwa się do odpowiedzialności za żadne grzechy Ewy, której na dodatek nigdy na oczy nie widziała. W końcu jednak dała spokój protestom i pogodziła się z tymi zarzutami, choć zżymając się w duchu i całkiem bez przekonania. Wszystko mogła znieść, z wyjątkiem przeraźliwych krzyków Filipy, od których pękały jej w uszach bębenki.

II

Massimo Troglio dzięki swemu talentowi - a może raczej wbrew niemu - uczynił z Mony Sofii najdoskonalsze dzieło swego życia. Dziesięć lat wychowania i trosk wydało wreszcie swój owoc: Mona Sofia była najpiękniejszą kobietą w Wenecji. Twórca umiał być cierpliwy. Gdy jego pupilka skończyła trzynaście lat, uprzedził ją, że nadszedł czas inicjacji. Mona została przedstawiona światu na jednej z owych uroczystości, które Massimo Troglio co roku urządzał w swoim pałacu - na festa di presentazione. Była to zawsze wzruszająca ceremonia. Każda z rozpoczynających swą karierę wychowanek otrzymywała w tym dniu z rąk jakiegoś notabla Rzeczypospolitej tytuł funkcjonariuszki państwowej. Kiedy zapowiedziano Monę Sofię, zapadła

cisza pełna szacunku i zdumienia. Wenus Medycejska wyglądałaby jak prosta chłopka, gdyby ją porównać z ową kobietą, która właśnie stanęła w drzwiach salonu.

Z najdalszych stron Europy ściągali do weneckiej szkoły możni i szlachetni panowie. Płacili prawdziwe fortuny. W niespełna sześć miesięcy Massimo Troglino odzyskał do ostatniego dukata cały zainwestowany kapitał. Pięciokrotnie go pomnożył już w ciągu pierwszego roku. Ciało Mony Sofii powiększyło majątek Massima Troglino o... dwa tysiące dukatów!

Wolność

I

Mijał właśnie drugi rok, licząc od dnia promocji, kiedy Mona Sofia weszła do przepysznie urządzonego scriptorium Massima Troglia. Il Fattore siedział pochylony nad grubym zeszytem w złoconej oprawie, w którym prowadził wszystkie rachunki szkoły.

- Przyszłam was uprzedzić, panie, że od dziś jestem wolna - bez żadnych wstępów i nawet bez słowa przywitania oświadczyła Mona Sofia.

Massimo Troglia podniósł wzrok znad cyfr. Usłyszał wyraźnie całe zdanie, lecz zupełnie go nie zrozumiał, jak gdyby Mona Sofia mówiła w nie znanym mu języku.

- Tu jest dokument, który mnie wyzwala spod waszej kurateli - powiedziała Mona Sofia i wyciągnęła pergamin zapisany czerwonym atramentem. - Nie, nie musicie wstawać, wystarczy, jak pod nim złożycie swój podpis - dodała, kładąc pergamin na pulpicie przed swoim opiekunem.

Massimo Troglia głośno i szczerze się roześmiał. Nigdy dotąd, w całym swoim długim życiu, nie spotkał się z prośbą - jeśli tak można nazwać to żądanie jego wychowanki - równie zuchwałą i bezczelną. Owszem, nieraz się zdarzało, że któraś z takich niewdzięcznic uciekała. Gdy udawało się schwytać uciekinierkę, mistrz musiał wtedy sięgać po jakąś przykładową karę - zazwyczaj było nią obcięcie jednego palca u nogi - lecz żeby jego pupilka przyszła do niego do biura z taką oto propozycją? Nie, to było po prostu niedorzeczne.

- Chciałem ci przypomnieć, że szkoła ma swój statut i regulamin - zaczął mówić Massimo Troglia z ciepłym i ojcowskim uśmiechem - tak więc...

Nim jeszcze mistrz zdążył skończyć zdanie, Mona Sofia wyciągnęła sztylet ze złotą rękojeścią i oparła jego ostrze o własną pierś. Z absolutnym spokojem rzekła:

- Moje ciało aż nadto się już wam wyplaciło za całą edukację, którą tu otrzymałam. Jeśli wam zależy, żeby to usłyszeć, dziękuję wam i zapewniam o moim szacunku i oddaniu. Żądam jednak, byście mi zwrócili to, co do mnie należy: moje ciało.

Massimo Troglia naprzód zbladł, a potem zrobił się czerwony ze złości. Z trudem starając się nie wybuchnąć, powiedział:

- Martwa nie jesteś mi potrzebna. Jeśli chcesz, mogę podpisać ten pergamin, ale czy nie pomyślałaś, że potem znów każę cię tutaj sprowadzić, bo za mną stoi prawo? A wiesz przecież, jakie kary stosuję.

Mona Sofia uśmiechnęła się.

- Nigdy nie ośmielilibyście się mnie okaleczyć. Jestem waszym dziełem. Nie myślcie jednak, że jestem niewdzięczna. Jeśli przeczytacie, co tutaj napisałam, sami zobaczycie, że pamiętam o was: oddam wam dziesiątą część wszystkiego, co zarobię swym ciałem, i ta umowa będzie obowiązywać, póki któryś z nas nie umrze. Macie więc wybór: dziesiąta część mych zarobków albo nic.

To powiedziawszy, nacisnęła lekko sztylet. Mała kropla krwi spłynęła z jej piersi.

Massimo Troglia zanurzył pióro w kałamarzu i podpisał się na dole pergaminu. Mona Sofia uklękła i ucałowała ręce swego mistrza, po czym na zawsze opuściła szkołę.

Massimo Troglia, sam w swoim scriptorium, rozplakał się. Płakał jak dziecko.

Płakał jak ojciec.

Jak Mateusz Kolumb Poznał Monę Sofię

I

Anatom poznał Monę Sofię w czasie swojego krótkiego pobytu w Wenecji w 1557 roku. Było to w pałacu pewnego księcia, który wydawał uroczyste przyjęcie w dzień swojego patrona. Mona Sofia była już dojrzałą i doświadczoną kobietą. Miała piętnaście lat.

Leonardo da Vinci powiedział, że nie rozumie, dlaczego mężczyźni wstydzą się swojej męskości i “ukrywają jej przyrodzony organ, miast go upiększać i stroić jak swego możnego i znakomitego ministra”, i być może właśnie z tego powodu rozpowszechniła się w owym roku moda na ostentacyjne zdobienie i eksponowanie męskich genitaliów. Niemal wszyscy mężczyźni na przyjęciu - z wyjątkiem może starców - ubrani byli w obcisłe i jasne rajtuzy, a specjalne tasiemki od pachwin do pasa dodatkowo jeszcze podkreślały męskość elegantów. Modę tę szczególnie gorąco przywitani ci wszyscy, którzy najhojniej zostali obdarowani przez Stwórcę. Inni musieli się uciekać do rozmaitych sztuczek, by dostosować swój wygląd do gustów epoki. W Bottega del Moro można było kupić podkładki, które wsunięte w odpowiednie miejsce pod rajtuzy przydawały wdzięku mężczyznom gorzej wyposażonym. Wśród wielu ozdób - od skromnych szlaczków z drogich kamieni po przepyszne perły otaczające “ministra” - używano też cienkich tasiemek, na których wisiało po kilka dzwoneczków: dźwięk ich sygnalizował, że “Jego Wielmożność” jest w znakomitym nastroju. W ten sposób damy mogły się od razu dowiedzieć, jakie wrażenie wywierają na panach.

Przyjęcie w niczym się nie różniło od innych. Zaczął je taniec zwany całowanym i o bardzo prostych regułach: każdy mógł tańczyć; jak mu się podobało, tyle że pary musiały się witać i żegnać pocałunkiem.

Mateusz Kolumb nie zwracał uwagi na tańczących ludzi. Choć stary jeszcze nie był, miał na sobie tradycyjne lucco, co pośród tej gali męskich pośladków nadawało mu ważny i dostojny wygląd. Nic więc dziwnego, że przyciągał więcej spojrzeń kobiecych niż wszyscy ci dumni właściciele mniej lub bardziej autentycznych dzwonnicek.

Bal był dopiero w połowie, gdy pojawiła się Mona Sofia. Nikt nie musiał jej zapowiadać. W drzwiach salonu dwaj arabscy niewolnicy pomogli jej wysiąść z lektyki. Jeżeli dotąd trzy lub cztery kobiety były obiektem powszechnego zainteresowania, teraz najpiękniejsza z nich nie mogła nie poczuć się kulawa, krzywa albo wręcz garbata w porównaniu z nowo przybyłą. Mona Sofia figurę miała olśniewającą. Suknia jej była z boków rozcięta po same uda, a gładki jedwab tylko podkreślał doskonały kształt ciała. Piersi jej kołysały się w rytm kroków, a głęboki dekolt ukazywał

aż do połowy ich delikatne czubki. Na czole Mona Sofia miała zawieszony szmaragd, chyba tylko po to, by jego blask przyćmiły zielone i świetliste oczy.

Gdy Mona Sofia weszła, przywitały ją dzwonki: cały chór męskich kurantów.

II

Mateusz Kolumb stał w kącie salonu. Również i na nim zrobiła wrażenie uroda właśnie przybyłej kobiety. Pozwolił sobie nawet w pół słowa zostawić pewną hipochondryczną damę, która go zanudzała szczegółowym opisem swych niezliczonych chorób i od której wcześniej nie umiał się odczepić.

Gospodarz przywitał Monę Sofię i zaraz włączył ją w taniec. W myśl obowiązujących w owym tańcu zasad, mężczyzna powinien zaprosić damę pocałunkiem, ona zaś, po kilku zaledwie figurach, zmieniała partnera i wszystko powtarzało się od nowa. Oczywiście taniec ten sprzyjał jak najbardziej flirtowi, który też miał swoje reguły: jeżeli dama nie była nikim w szczególności sposobem zainteresowana, mogła tańczyć z mężczyzną żonatym. Jeżeli natomiast wybierała kawalera, jej intencje stawały się jasne. Sam pocałunek też bywał rozmaity. Lekkie dotknięcie wargami policzka oznaczało, że kobieta chce tylko potańczyć i nic się za tym innego nie kryje. Głośny i długi pocałunek wskazywał na zamiary mniej lub bardziej poważne i mogło tu chodzić na przykład o małżeństwo. Jeżeli jednak dama całowała swego partnera prosto w usta, nikt wtedy nie miał żadnych wątpliwości: było to otwarte i bezwstydne zaproszenie do łóżka.

Mona Sofia zaczęła od tańca jakby w orientalnym stylu: ręce położyła na biodrach, którymi kołysała wężowym ruchem. Wszyscy z niecierpliwością czekali na moment, w którym będzie musiała wybrać partnera. Właśnie dlatego młodzieńcy cisnęli się do pierwszego rzędu i wśród obscenicznych gestów bez najmniejszej żenady eksponowali swe imponujące i zdobne instrumenty. Niejednego z tych kawalerów Mona Sofia zdążyła już poznać w innych okolicznościach, gdy mógł tylko liczyć na to, z czym na świat przyszedł, i co teraz przejawiało całkiem niepojęty wigor i tężyznę. Patrzyła na nich po kolei, a gdy któremuś już się wydawało, że to on właśnie został wybrany, Mona Sofia odwracała się i szła ku innemu, by i ten później przeżył moment rozczarowania. Wciąż poruszając się w rytm melodii lutni, Mona Sofia utorowała sobie drogę przez tłum zachwyconych galantów i wyszła z otaczającego ją kręgu. Wtedy Mateusz Kolumb nagle zobaczył, że falujące nad krawędzią dekoltu piersi Mony kierują swe koniuszki wprost ku niemu. Mona Sofia zdecydowanie zbliżała się do anatoma. Kiedy indziej Mateusz Kolumb poczułby się speszony, lecz teraz, gdy coraz bliżej widział tę kobietę - a zwłaszcza jej spojrzenie, jakim nikt jeszcze dotąd na niego nie patrzył - wydało mu się, że w całym salonie jest tylko ona. Słyszał gwar ludzkich głosów, słyszał muzykę lutni, mógł nawet dostrzec tłum zaproszonych gości.

Czuł się jak mysz pod wzrokiem węża. Nawet gdyby chciał, nie umiałby nie patrzeć w owe zielone oczy, przy których nikał blask szmaragdu na czole między brwiami. Mona Sofia zbliżyła wargi do ust anatoma. Poczł zapach mięty i różanej wody; poczuł nagle - jak ciepły i ulotny powiew - dotknięcie języka Mony Sofii w kącikach swoich ust. Tak, zatańczył. Nie dał nic poznać po sobie, był uprzejmy. Nikt by się nie domyślił, że od tej chwili aż do samej śmierci Mateusz Kolumb nie będzie mógł zapomnieć o owym zapachu mięty i różanej wody, o owym ciepłym i ulotnym tchnieniu, o słodkiej obietnicy owych zielonych oczu. Mateusz Kolumb zatańczył. Nikt by się nie domyślił, że ten szorstki mężczyzna - jak ofiara ukąszona przez węża, gdy jad zaczyna się wolno i nieubłaganie rozprzestrzeniać po żyłach - zapadł właśnie na śmiertelną chorobę. Mateusz Kolumb zatańczył.

Zawsze, aż do samej śmierci będzie wspominać, jak tańczył zauroczony tym podstępny spojrzeniem. Aż do ostatniej godziny będzie wspominać - tak jak się wspomina dzień śmierci świętego męczennika - owo błędzenie po korytarzach, ogrodach i galeriach, a na koniec ową ustronną alkowę, gdzie przy dalekich dźwiękach lutni mógł całować różowe piersi Mony Sofii: piersi o czubkach twardych jak perły, lecz gładszych od płatków kwiatu. Aż do samej śmierci będzie mu towarzyszyć bolesne, a jednocześnie tak słodkie wspomnienie owego głosu jak trzask palącego się drewna. Będzie pamiętać owo magiczne i przejmujące dreszczem dotknięcie języka, który zdał się stworzony z piekielnego ognia. Do samej śmierci nie zdoła zapomnieć owej chwili, gdy niczym ktoś, kto zakończył już długi post i mógłby jeść, lecz wciąż odsuwa od siebie ten upragniony moment, on również wyrzekł się ofiarowanego mu ciała, poprawił na sobie lucco i rzekł:

- Chciałbym namalować twój portret.

I niczym rozbitkowi, któremu chmury na horyzoncie mylą się ze zbawczą ziemią, zdało mu się, że dostrzega miłość w owych zielonych oczach przestoniętych długimi rzęsami. A były to tylko chmury na horyzoncie.

- Chciałbym namalować twój portret - powtórzył głosem zdławionym przez wzruszenie.

I wciąż mu się zdawało, że widzi uczucie w owych oczach węża. Mona Sofia pocałowała go z bezgraniczną czułością.

- Możesz przyjść, kiedy zechcesz - powiedziała. A potem szepnęła: - Przyjdź jutro.

Zaczęła zapinać suknię. Anatom po raz ostatni mógł zobaczyć twarde czubki jej piersi i po raz ostatni je ucałował. Później zobaczył, jak się odwraca i idzie w stronę drzwi. Nim zniknęła za nimi, usłyszał jej słowa:

- Przyjdź jutro, będę czekać.

I były to tylko chmury na horyzoncie.

III

Nazajutrz, dokładnie o piątej po południu, Mateusz Kolumb wszedł po siedmiu stopniach do atrium w bordello del Fauno Rosso. Na plecach niósł złożone sztalugi, przed sobą płótno, pod pachą paletę, a u pasa wisiał mu worek z farbami. Był tak objuczony, że ledwie mógł kroku dotrzymać kobiecie, która go wprowadziła do środka.

Gdy Mateusz Kolumb zatrzymał się w drzwiach sypialni, Mona Sofia, okryta tylko przezroczystym tiulem, kończyła właśnie splatać warkocz przed lustrem na toalecie. Anatom wciąż stał w progu wraz z całym swoim ekwipunkiem i patrzył w lustro na te same oczy, w których wczoraj ujrział miłość. Teraz te oczy tam w lustrze - były wyłącznie dla niego; były tam tylko po to, by on w nie patrzył. Dał znać o sobie dyskretnym kasznięciem.

Mona Sofia nie odwróciła się i nawet na niego nie spojrzała. Skinęła ręką, żeby wszedł.

- Przyszedłem namalować twój portret.

Mona Sofia nie odwróciła się i nawet nie spojrzawszy na anatoma, powiedziała:

- Jest mi całkowicie obojętne, co będziesz robił w czasie tej wizyty.

Zaraz potem dodała:

- Gdybyś nie wiedział, cena wynosi dziesięć dukatów.

- Czy mnie pamiętasz? - szepnął Mateusz Kolumb.

- Musiałabym cię zobaczyć - rzekła do swego anonimowego rozmówcy, którego twarz zakrywał trzymany w rękach blejtram.

Anatom rzucił na podłogę wszystkie przyniesione rzeczy, Mona Sofia przyjrzała mu się w lustrze.

- Nie pamiętam, bym cię kiedykolwiek widziała - powiedziała z wahaniem Mona Sofia i na wszelki wypadek przypomniała cenę: - Dziesięć dukatów.

Mateusz Kolumb położył dziesięć dukatów na nocnym stoliku, ustawił blejtram z płótnem na sztalugach, wyciągnął farby z worka, który mu wisiał u pasa, przygotował pędzle i bez słowa zaczął malować portret. Wymyślił już dla niego tytuł: Zakochana kobieta.

IV

Codziennie, gdy automaty na wieży zegarowej wybijały piąte uderzenie, Mateusz Kolumb wspinał się po siedmiu stopniach, które prowadziły do atrium burdelu przy ulicy Bocciari. Wchodził do sypialni Mony, kładł dziesięć dukatów na nocnym stoliku, nie zdejmując nawet płaszcza, rozstawiał sztalugi i mówił Monie, że ją kocha. Mówił, że choć ona sama nie chce tego przyznać, w jej oczach można dostrzec miłość. Między jednym a drugim pociągnięciem pędzla

błagał, by opuściła burdel i wyjechała razem z nim, Mateuszem, na drugą stronę Monte Veldo, do Padwy. Mówił, że on też jest gotów porzucić swą celę na uniwersytecie. Mona Sofia leżała na łóżku, a czubki jej nagich piersi były twarde jak migdały i gładkie niczym płatki frezji. Nie spuszczała wzroku z zegara na wieży naprzeciwko okna. Gdy w końcu rozlegało się pierwsze z sześciu uderzeń, patrzyła na mężczyznę oczami pełnymi złości.

- Twój czas się skończył - mówiła i szła w stronę toaletki.

Codziennie o piątej po południu, gdy cienie rzucane przez obie kolumny świętego Teodoryka i przez skrzydlatego lwa łączyły się w jeden skośny pas przecinający plac Świętego Marka, anatom przychodził do burdelu ze sztalugami, płótnem i farbami. Kładł dziesięć dukatów na nocnym stoliku i nawet nie zdejmował lucco. Podczas gdy mieszał kolory na palecie, mówił Monie, że ją kocha; że ona również kocha jego i niech nie przeczy, bo on umie rozpoznać ów moment, kiedy miłość pojawia się w spojrzeniu. Mówił, że takiego piękna nie potrafiłaby naśladować nawet ręka boskiego artysty i że jeśli właścicielka będzie się krzywić na ich małżeństwo, on jej zapłaci wszystkimi pieniędzmi, jakie posiada; że przecież zawsze Mona Sofia może porzucić ten nędzny lupanar; że przecież mogą wyjechać do Cremony, do rodzinnego domu Mateusza. Tymczasem zdawało się, że Mona Sofia w ogóle go nie słucha; przesuwiała dłońmi po swoich gładkich, jędrnych i jakby toczonych z drewna udach i czekała na pierwsze z sześciu uderzeń zegara, które obwieści, że czas jej klienta się skończył.

Codziennie, dokładnie o piątej po południu, kiedy woda kanału coraz wyżej podchodziła po stopniach, Mateusz Kolumb pojawiał się w burdelu przy ulicy Bocciari opodal Trójcy Świętej. Nie zdejmował nawet z głowy beretu, tylko kładł dziesięć dukatów na nocnym stoliku, rozstawiał sztalugi i mówił Monie, że ją kocha, że mogą razem uciec na drugą stronę Monte Veldo, a jeśli będzie trzeba - nawet na drugą stronę Morza Śródziemnego. Mona Sofia, bez słowa, pogrążona w cynicznym i złośliwym milczeniu, wkładała koniec warkocza między uda, pieściła dłońmi czubki swoich piersi i nie fatygowała się nawet, by spojrzeć, jak postępuje praca nad portretem. Nie spuszczała wzroku z zegara na wieży, czekając, aż z pierwszym uderzeniem będzie mogła wyrzec jedyne słowa, do jakich zdawała się zdolna:

- Twój czas się skończył.

Codziennie o piątej po południu, gdy słońce było ledwie letnią iluzją dziesięciokrotnie pomnożoną na kopułach bazyliki Świętego Marka, anatom, z całym swoim brzemieniem toreb, lederwerków i upokorzenia, kładł dziesięć dukatów na nocnym stoliku i wśród cierpkiego zapachu farb i cudzej rozkoszy mówił Monie Sofii, że ją kocha, że jest gotów sprzedać wszystko, co ma, i ją wykupić, a potem uciekną na drugi brzeg Morza Śródziemnego lub jeśli trzeba - do nowych krajów po drugiej stronie Atlantyku. Mona Sofia milczała, jakgdyby nikogo oprócz niej w tej sypialni nie

było, gładziła papugę drzemiącą na jej ramieniu i czekała, aż wreszcie poruszą się automaty na wieży zegarowej. Wtedy mówiła z oczyma pełnymi zmysłowej złości:

- Twój czas się skończył.

Przez cały okres swego pobytu w Wenecji, codziennie o piątej po południu anatom przychodził do burdelu przy ulicy Bocciari obok Trójcy Świętej i mówił Monie Sofii, że ją kocha. Wreszcie portret był gotów: ostatnie pociągnięcie pędzla i ostatnie dziesięć dukatów. Czas Mateusza Kolumba w Wenecji już się skończył.

Upokorzony, bez pieniędzy, ze złamanym sercem i mogąc liczyć tylko na towarzystwo swego kruka Leonardina, Mateusz Kolumb wrócił do Padwy. Odtąd miał jeden cel w życiu.

Na korzennym szlaku

I

Odkąd Mateusz Kolumb powrócił do Padwy, większą część czasu spędzał zamknięty w swej celi. Wychodził tylko wtedy, gdy musiał: na obowiązkową mszę albo do auli na wykład z anatomii. Ukradkowe wizyty w kostnicy stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie całkiem się skończyły. Mateusz Kolumb przestał się w ogóle interesować trupami. Całymi dniami przesiadywał w swej celi i wertował stare traktaty o farmacji, z których się uczył, kiedy był na studiach. Czasem szedł do lasu przy opactwie; lecz już nie szukał w nim świeżej padliny, którą mu wskazywał jego Leonardino; nagle anatom zmienił się z drapieźnika w nieszkodliwe i roślinożerne zwierzę. Stał się farmaceutą. Znosił do swojej celi worki pełne najrozmaitszych ziół, które później zmuśnię przebierał i mieszał, po czym sporządzał z nich wywary.

Badał właściwości mandragory i belladony, cykuty i selera: po kolei wypróbowywał ich działanie na różne narządy człowieka. Była to niebezpieczna praca, bo granica między farmacją a czarną magią pozostawała wciąż niewyraźna. Belladona przyciągała uwagę zarówno lekarzy, jak i czarowników. Starożytni Grecy nadali jej nazwę atropa - niezmienna - i uważali, że jest władna związać i przerwać nić życia. Zнали ją również Włosi; florenckie damy używały soku tej rośliny do rozszerzania źrenic, przez co ich oczy stawały się rozmarzone, a one same - za cenę mniej lub bardziej chronicznej ślepoty - zyskiwały nieporównanie na wdzięku. Mateusz Kolumb znał też halucynogenne działanie złowrogiego lulka czarnego, o którym mówi papirus Ebersa, zapisany z górą dwa i pół tysiąca lat wcześniej w Egipcie. Na pewno musiał wiedzieć, że według Alberta Wielkiego lulek był używany przez nekromantów do zaklinania złych duchów.

Sporządził setki wywarów, których skład zawsze skrupulatnie notował. Wieczorami brał swoje flakony i chodził po plugawych burdelach Padwy. Cel, jaki sobie Mateusz Kolumb postawił, bynajmniej nie był oryginalny: anatom chciał wynaleźć eliksir, który by dał mu władzę nad kapryśną wolą kobiety. Oczywiście istniało wiele różnych mikstur, które byle znachorka za parę dukatów potrafiłaby przygotować. Mateusz Kolumb zachował jednak trochę zdrowego rozsądku: sam w końcu miał dyplom z farmacji. Znał doskonale właściwości roślin, wiedział też, co o nich pisał Paracelsus, i czytał traktaty starożytnych greckich lekarzy oraz arabskich botaników.

W jego notatkach można między innymi przeczytać: "Wszystkie te preparaty najskuteczniej działają, gdy się je do narządu trawiennego wprowadzi przez usta. Wcieranie ich w skórę też przynosi skutki, choć słabsze i krótkotrwałe, a sama czynność jest dosyć uciążliwa. Można je również podawać od przeciwnej strony, przez otwór odbytniczy, tyle że wtedy trudno jest im

utrzymać się w ciele, bo nader często wywołują biegunki. Niekiedy stosuje się też inhalacje i wówczas cząsteczki zawarte w oparach z płuc przenikają do krwi. Ja bym jednak najbardziej zalecał podawanie tych środków przez usta”.

Otóż tu właśnie tkwił problem: jak skłonić prostytutkę, by zechciała przełknąć któryś z tych dekoktów? Najprościej byłoby chyba natrzeć członek stężonym ekstraktem z tych ziół i poprzez fellatio wprowadzić je do ciała kobiety.

Skutki okazały się straszne.

Na początek Mateusz Kolumb postanowił wypróbować wyciąg z belladony i mandragory. Obiektem eksperymentu miała być pewna dobrze już leciwa mammola: stara kurwa o imieniu Laverda, od dawna zatrudniona w prostibolo na pierwszym piętrze Taverna del Mulo. Mateusz Kolumb zapłacił pół florena i z pewnością było to za dużo. Nie chciał się jednak targować.

Nim się Laverda zabrała do dzieła, przepłukała sobie usta starym, tęgim i na dodatek poświęconym winem, które miało jakoby właściwość chronienia przed zakaźną chorobą i przed złymi duchami. Anatom wiedział, że ten zwyczaj opierał się tylko na zabobonie, a więc nie sądził, by w jakikolwiek sposób wpłynął na wynik eksperymentu. Laverda była bardzo doświadczona w trudnej sztuce fellatio: swą biegłość po części zawdzięczała temu, że nie miała już ani jednego zęba, przez co wszystkie manewry w jej ustach mogły się odbywać gładko i bez przeszkód. Pierwsze oznaki działania wywaru anatom dostrzegł natychmiast. Najpierw Laverda znieruchomiała, później podniosła się z kolan i spojrzała na Mateusza wzrokiem pełnym egzaltacji. Nagły rumieniec rozpalił jej policzki. Mateuszowi serce w piersi skoczyło z niecierpliwości.

- Myślę, że jestem... - zaczęła mówić Laverda - myślę, że jestem...

- Zakochana...?

- ...otruta - dokończyła Laverda i zaraz potem cała zawartość jej żołądka znalazła się na lucco klienta.

Po tym nieszczęśliwym wypadku Mateusz Kolumb sporządził wywar z tych samych roślin, ale w odwrotnej proporcji: jeżeli tamta mieszanka tak wielką wywołała repulsję, logicznie rzecz biorąc, po odwróceniu proporcji, skutek też powinien być odwrotny. Mateusz Kolumb był na dobrej drodze.

W następnym tygodniu znów wszedł po schodach do lupanaru na piętrze. W odpowiednim miejscu natarł się już zagęszczonym wywarem. Skutki okazały się nie mniej katastrofalne. Drugą ofiarą miała być Calandra, młoda kurewka, która niedawno wdrożyła się do zawodu. Po krótkim omdleniu ocknęła się i ku swemu przerażeniu wyraźnie ujrzała wszystkie rodzaje demonów krążące po sypialni i przysiadające u stóp anatoma. Pomału te straszne wizje zaczęły się rozwiewać i zastąpiło je trwałe mistyczne delirium.

Wtedy Mateusz Kolumb uznał, że chyba będzie lepiej zamiast belladony użyć lulka. Tak też uczynił.

II

Kiedy Mateusz Kolumb wszedł do tawerny, zapanowała w niej grobowa cisza. Klienci, którzy byli najbliżej drzwi, zaczęli się ku nim niepostrzeżenie przesuwać, a gdy znaleźli się już na ulicy, w popłochu uciekali. W środku ludzie rozstępowali się przed anatomem i pozdrawiali go z mieszaniną szacunku i lęku. Mateusz Kolumb wszedł na schody i gdy z pierwszego podestu obejrzał się za siebie, zobaczył, że w tym krótkim czasie, jaki mu zajęło wspięcie się po trzydziestu stopniach, wszyscy zdążyli już opuścić tawernę. Zza kontuaru zniknął nawet stary oberżysta. Gdy zapukał do drzwi burdelu, po drugiej stronie nie usłyszał najmniejszego ruchu. Był tak skonsternowany, że nie zastanawiał się nawet nad owym lękiem, jaki jego osoba wzbudziła wśród bywalców tawerny. Już miał się odwrócić i odejść, kiedy zobaczył, że drzwi są uchylone. Nie chciał wchodzić bez pozwolenia, lecz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że owa szpara między drzwiami a framugą wyraźnie go zapraszała do środka. Zawiasy zaskrzypiały niezbyt zachęcająco, gdy Mateusz Kolumb wślizgnął się do pomieszczenia, w którym na tle łagodnej poświaty rzucanej przez potrójny świecznik dostrzegł jakąś postać.

- Czekałam na ciebie - rozległ się gorący i niewątpliwie kobiecy głos. - Podejdź tu bliżej.

Mateusz Kolumb postąpił jeszcze parę kroków i wtedy w owej postaci rozpoznał Beatrice, niespełna dwunastoletnią dziewczynkę, najmłodszą z wszystkich wychowanek domu.

- Poznaję cię. Zbliź się - powtórzyła Beatrice i wyciągnęła rękę. - Wiedziałam, że przyjdiesz. Nie, nie oszukasz mnie. Wiem, że prorocstwo dziś ma się wypełnić. Nim mnie posiądziesz, chcę ci powiedzieć, że już od dawna jesteś panem mego ciała i duszy.

Mateusz Kolumb spojrział do tyłu przez ramię, żeby się upewnić, czy naprawdę te słowa są skierowane do niego.

- Wiem, co zrobiłeś z Laverdą i Calandrą.

Anatom zaczerwienił się i w duchu westchnął do Boga o zdrowie dla obu tych biedaczek.

- Jestem twoja na zawsze. Weź mnie - ochryłym głosem powiedziała Beatrice, lubieżnie się uśmiechając.

- Po to przyszedłem... - wyjąkał nieśmiało Mateusz Kolumb i wyjął z sakiewki dwa dukaty.

Beatrice w ogóle nie spojrzała na pieniądze.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham. Nawet się nie domyślasz, jak długo na ciebie czekałam.

Anatom nie przypominał sobie, by już jej kiedyś zaaplikował swój wywar.

- Czekalaś na mnie...?

- Zawsze wiedziałam, że dziś jest twój dzień. Dzisiaj Księżyc jest w pełni i zbliża się do Jowisza - rzekła Beatrice, wskazując na nocne niebo za oknem. - Sądysz, że nie znam proroctwa, jakie uczynił astrolog Giorgio de Novara? On to przecież wykazał, że prawo Mojżeszowe powstało w momencie, gdy Jowisz był w koniunkcji z Saturnem; koniunkcja z Marsem dała początek religii Chaldejczyków; ze Słońcem, wierzeniom starożytnych Egipcjan. Przy koniunkcji z Wenus zrodził się Mahomet, Jezus Chrystus zaś przy koniunkcji z Merkurem...

Beatrice zrobiła pauzę i wpatrując się w oczy anatoma, wyciągnęła ku niemu rękę:

- A teraz właśnie Jowisz wchodzi w koniunkcję z Księżycem...

Mateusz Kolumb spojrział przez okno na pełny i świetlisty księżyc. Później, oszołomiony, popatrzył na Beatrice, jak gdyby chciał zapytać: "A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?"

- Teraz, właśnie teraz nadszedł czas twojego powrotu! - zduszonym głosem wykrzyknęła Beatrice i wyprostowała się. - Teraz nadszedł czas Antychrysta! Jestem twoja. Weź mnie.

Zrzuciła z siebie suknię, ukazując swe piękne i nagie ciało.

Mateusz Kolumb przez chwilę jeszcze nic nie rozumiał.

- W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego - szepnął i przeżegnał się. Zaraz potem wybuchnął: - Ty głupia dziewucho! Chcesz mnie wysłać na stos?

Zacisnął dłoń w pięść i już się zamierzył na ową obłąkaną, gdy nagle zdał sobie sprawę, że od tej pory będzie bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Oskarżenie o "satanizm" było niewątpliwie groźne, lecz jeszcze gorzej by sprawa wyglądała, gdyby wokół Mateusza zaczęli się gromadzić różni nawiedzeni adepci. Już widział siebie, jak ucieka z Padwy przed tłumem opętanych wyznawców.

Nim jeszcze słowa Beatrice zdążą się rozsiać po świecie jak nasiona na wietrze, anatom postanowił poprosić uniwersytet, żeby go wysłał z jakąś misją do Wenecji. Chciał tam poczekać, aż w Padwie uspokoją się wody. Żeby usprawiedliwić przed sobą samym tę podróż i żeby nie zapomnieć o swym głównym celu, uczeplił się pewnej przesłanki, którą przeczytał u Paracelsusa:

"Jakże można leczyć niemieckie choroby za pomocą lekarstw, które Bóg umieścił nad brzegami Nilu?" To zdanie miało mu być przewodnikiem w jednej z najbardziej szalonych pielgrzymek.

III

Pojechał do Wenecji. Zaczął zbierać i selekcjonować zioła rosnące na polach wokół miasta, oślizgłe glony, które nocny przyptyw pozostawiał na kamiennych stopniach przy kanałach, a nawet cuchnące grzyby z kloak zasilanych szlachetnymi ściekami z pałaców. Już miał prawie wszystkie

składniki potrzebne do przyrządzenia eliksiru, kiedy dowiedział się, że Mona Sofia, jako mała dziewczynka, była kupiona w Grecji. Zanim wyruszył ku egejskim brzegom, postanowił jeszcze raz wychłostać swą obolałą duszę. Ukryty wśród kolumn katedry czekał, aż Mona Sofia pojawi się na placu Świętego Marka. Widział ją, wyzywająco piękną, jak daje się nieść w lektyce swoim dwóm arabskim niewolnikom, którym tempo wyznaczała dalmantyńska suka biegnąca zawsze na przędzie. Zanim wyjechał do Grecji, jeszcze raz sobie zadał tę torturę i patrzył na nogi Mony, jakby wytoczone z drewna; patrzył na jej piersi, które nad otchłanią dekoltu kołysały się w rytm kroków smagłolicych tragarzy. Przed wyjazdem do Grecji Mateusz Kolumb jeszcze raz biczował swą krwawiącą duszę i patrzył w te zielone oczy, przy których nikał blask szmaragdu na czole między brwiami.

Zioła bogów

I

Na wyspach, które jak naszyjnik z pereł otaczają Grecję, Mateusz Kolumb szukał odpowiednich roślin, by z ich soku sporządzić swój wymarzony eliksir. Z Tesalii przywiózł lulka, magiczne ziele, pod którego wpływem wieszczki w starożytnych Delfach przepowiadały przyszłość. W Beocji zebrał świeże liście atropy belladony; w Argos wykopał korzeń mandragory - o jego złowrogim i ludzką postać przypominającym kształcie pisał już Pitagoras - i pieczołowicie zatkał sobie przy tym uszy, bo jak wiadomo, nieostrożnych i niedoświadczonych zbieraczy mogą wpędzić w szaleństwo przedśmiertne jęki owej rośliny. Na Kretę popłynął po nasiona dutura metek o której wspominały dawne sanskryckie i chińskie manuskrypty, a jej właściwości opisywał już Awicenna w XI wieku. Na Chio ściągnęła go budząca lęk datura ferox: potężny afrodyzjak, który jak mówiły kroniki, był zdolny rozsadzić męski członek i spowodować śmierć z upływu krwi. W końcu stwierdził, że wszystkie te zioła, korzenie i nasiona są dobre.

II

W Atenach, na zboczach Akropolu, Mateusz Kolumb poznał, czym są Dobro, Piękno i Prawda. Odurzony helleńską Starożytnością i nie znanym mu dotąd pogaństwem - a także pewną cannabis, o której pisał Galen, i odrobiną belladony - na zboczach Akropolu nagle wyraźnie zobaczył całą mizериę Rinascita. Oto właśnie znajdował się u złotej kolebki, w której zrodziła się najprawdziwsza Starożytność. Tam, na zboczach Akropolu, Mateusz Kolumb otworzył worek, gdzie przechowywał wszystkie zioła bogów, i mógł się przekonać, że są dobre. Najpierw spróbował grzybka, który się nazywa amanita muscaria; zobaczył Początek Wszystkich Rzeczy. Zobaczył Eurynome, jak wyłania się z mroków Chaosu; zobaczył, jak tańczy i jak w tym Tańcu Stworzenia oddziela morze od firmamentu i daje początek wszystkim rzeczom. On, Mateusz Kolumb, był wtedy Pelazgiem, pierwszym człowiekiem. Eurynome pokazała mu, co powinien jeść:

Bogini Wszystkich Rzeczy wyciągnęła ku niemu dłoń pełną szkarłatnych nasion claviceps purpurea. Mateusz Kolumb wziął je i zjadł, i stał się pierwszym z synów Chronosa. Leżąc na wznak na zboczu Wzgórza Wszystkich Wzgórz, powiedział sobie, że to jest właśnie życie, a śmierć to tylko straszny sen. Chwycił go ogromny żal nad biednymi, śmiertelnymi ludźmi. Rozpalił małe ognisko i wrzucił do niego liście belladony; głęboko w płuca wciągnął dym. Obok siebie zobaczył menady z dionizyjskich orgii. Mógł ich dotknąć i poczuć na sobie płomienny wzrok bachantek.

Widział, jak wyciągały ku niemu ręce. Znalazł się w samym jądrze Starożytności: u wrót Eleuzis, gdzie uroczyscie składał dzięki bogom za wielki dar nasienia Ziemi.

Nie musiał grzebać w tysiącletnim pyle; nie musiał szukać po archiwach ani bibliotekach: przed oczyma miał najczystsza helleńską Starożytność, a w płucach powietrze, którym oddychali Solon i Pizystrat. Wszystko było na wierzchu, w jaskrawym świetle słońca. Nie musiał tłumaczyć manuskryptów ani rozszyfrowywać zagadkowych ruin. Każdy z owych chłopów, których widział na tle horyzontu, był wyrzeźbiony ręką Fidiasza; oczy byle prostaka miały w sobie blask spojrzenia Siedmiu Mędrców Greckich. Taka Wenecja albo Florencja - czymże one są, jeśli nie toporną i pretensjonalną imitacją? Czymże jest Wiosna Botticellego w porównaniu z owym krajobrazem, który Mateusz Kolumb widział ze wzgórza Akropolu? Kimże są tacy Visconti z Mediolanu, Bentivoglio z Bolonii, Gonzagowie z Mantui, Sforzowie z Pesaró albo nawet sami Medyceusze, gdy się ich porówna z najuboższym chłopem z Aten? Jedyłą genealogią i szlachectwem wszystkich tych nowych rodów jest przypadkowa heraldyka nadana im przez potężnych condottieri. Tymczasem najędźniejszy żebrak z portu w Pireusie ma w swoich żyłach szlachetną krew Klitenesa. Kimże jest wielki Wawrzyniec Medyceusz wobec Peryklesa? Takie właśnie pytania stawiał sobie Mateusz Kolumb na zboczu Akropolu, kiedy zmorzył go głęboki i spokojny sen.

III

Mateusz Kolumb obudził się dopiero następnego dnia rano i cały był przemoczony lodowatą rosą. Obok siebie zobaczył resztki ogniska. Próbował wstać, ale jego równowaga była tak chwiejna, że zaraz upadł i stoczył się aż na sam dół zbocza. Straszliwie bolała go głowa. Pamiętał jednak doskonale wszystkie wydarzenia z poprzedniego dnia; tak naprawdę jawiły mu się one o wiele wyraźniej niż zamglony krajobraz, który miał teraz przed oczyma. Jałowe, niegościnnie, najeżone skałami pustkowia - to właśnie była jego wyśniona Starożytność. Poczuł ogromny wstyd. Ledwie ręk mu starczało, bo tak zapamiętałe zaczął się żegnać; dusza mu się wydała zbyt ciasna, by zmieścić wyrzuty sumienia i prośbę do Boga - Jedynego i Wszechmogącego - by zechciał mu wybaczyć ten niewytłumaczalny nawrót do pogaństwa. Zwymiotował.

Nie zapominał jednak o swym głównym celu, który go przywiódł do Grecji. W Pireusie badał mury burdeli i tawern, w których przy szklankach z winem handlarze kobiet ubijali swe interesy, i ze szpar między cegłami wyciągał wszystko, co miało wygląd rośliny.

Już miał mieszać w dokładnych proporcjach wszystkie uzbierane zioła, korzenie, nasiona i grzyby, kiedy dowiedział się z ust takiego właśnie handlarza, że Mona Sofia urodziła się na Korsyce. Wierny Paracelsusowi, popłynął więc na wyspę piratów.

IV

Mateusz Kolumb pielgrzymował z gorliwością grzesznika, który się wybrał do Ziemi Świętej po odpust. Szedł śladem Mony Sofii w mistycznym uniesieniu, jak gdyby odprawiał Drogę Krzyżową i z każdą stacją coraz bardziej wzrastało jego uwielbienie, a zarazem udręka. Wciąż myślał, że jest już tylko o krok od ostatecznego Odkrycia Tajemnicy, a tymczasem nieustannie się ono od niego oddalało. Gdy tak płynął przez mroczne morza Gorgara Czarnego, mógłby napisać to samo, co jego genueński imiennik pisał do królowej: “Przez wiele dni straszliwej burzy nie widzieliśmy na niebie słońca ani rozgwiżdż w morzu. Okręty przeciekają, żagle są podarte, straciliśmy takielunek, kotwice i prowiant. Ludzie chorują. Wszyscy są przygnębieni, wielu szuka pociechy w religii i spowiada się jedni przed drugimi. Ból rozdziera mi duszę, a serce mi krwawi. Jestem zmęczony. Wrzód mi się odnowił. Nie mam już nadziei. Nigdy nie widziałem tak okropnego morza, tak wielkiej i spienionej fali. Woda stała się jak gdyby krwią, która wrze w ogromnym kotle. Niebo nigdy jeszcze nie było tak groźne”.

W podobnej trwodze i z taką samą rozpaczą Mateusz Kolumb płynął kruchą jak łupinka orzecha galeotą, która niejedną raz o włos była od roztrzaskania się o skały. Korsyki anatom nawet nie tknęła stopą, bo piraci Gorgara Czarnego napadli na galeotę i wymordowali załogę z większością pasażerów. Mateusz cudem ocalał przed śmiercią; podczas abordażu Gorgar Czarny został ranny w płuco; Mateusz Kolumb wyleczył go i uratował mu w ten sposób życie. Z wdzięczności pirat puścił go wolno.

Z umysłem wciąż jeszcze zmaconym przez zioła olimpijskich bogów, chory od zimna i wilgoci, z rozdartą duszą Mateusz Kolumb wrócił do Padwy.

Czysty przypadek miał mu objawić, że płynąc na zachód, można dotrzeć na wschód. Niczym zbieracz ziół, który niespodzianie natrafia na żyłę złota, Mateusz Kolumb - podobnie jak jego imiennik z Genui - miał odkryć swoją “Amerykę”. Los chciał mu udowodnić, że droga do tryumfu w Wenecji wiedzie przez Florencję; jeśli pragnie mieć dla siebie serce jednej jedynej kobiety, musi najpierw zawładnąć sercem innej.

I tak się stało.

Część druga

Ines de Torremolinos

I

Kiedy Mateusz Kolumb wrócił do Padwy, czekały tam na niego dwie wiadomości: dobra i zła. Ta druga była jak najbardziej po myśli dziekana.

- Dużo się o tobie mówi w Padwie - bez żadnych wstępów powiedział Alessandro di Legnano. - I oczywiście, nic dobrego.

Dziedkan powiadomił anatoma, że Beatrice, jedna z wychowanek burdelu na pierwszym piętrze Taverna del Mulo, została postawiona przed sądem i spalona na stosie za czary.

- Wspomniała o tobie w swym zeznaniu - rzekł lakonicznie dziekan.

Mateusz Kolumb milczał.

- Jeśli o mnie chodzi - mówił dalej dziekan - zaraz bym cię wysłał przed sąd Inkwizycji.

Z satysfakcją zobaczył, że jego rozmówca pobrał.

- Wygląda jednak, że szczęście ci sprzyja - dodał.

Dopiero później powiedział, że pewien opat, krewny Medyceuszów, wezwał anatoma do Florencji. Markiz de Malagamba, florencki arystokrata, pozostawił po sobie wdowę i właśnie owa kastylijska dama była umierająca. Pewien znakomity książę, również bliski Medyceuszom, postanowił zapewnić chorej lekarską opiekę ze strony Mateusza. Z góry zapłacił już tysiąc florenów i jeszcze pięćset, gdyby anatom potrzebował ucznia albo pomocnika. Dziekan uznał, że wobec takiego honorarium, jakie miał otrzymać jego profesor, warto zapamiętać o sprawie Beatrice i o zeznaniach Laverdy i Calandry.

- Jutro pojedziesz do Florencji - zdecydował Alessandro di Legnano i nim się pożegnał z Mateuszem Kolumbem, dorzucił: - Jako asystenta weźmiesz z sobą Bertina. To już postanowione.

Na nic by się nie przydał jakikolwiek protest. Mateusz Kolumb zgodził się, bo dziekan nie pozostawił mu najmniejszego pola do dyskusji. Bertino na imię miał Alberto, nazwisko zaś nosił takie samo jak dziekan: Nikt tak naprawdę nie wiedział, jakie pokrewieństwo ich łączyło, w każdym razie Bertino był zawsze okiem i uchem dziekana. Ten obiecujący młodzieniec - w porównaniu ze swym protektorem był tylko trochę większym idiotą - miał się stać we Florencji cieniem Mateusza Kolumba.

II

Ines była najstarszą córką w arystokratycznej rodzinie, którą tworzyli Don Rodrigo Torremolinos, hrabia de Urquijo i pan Nawarry, oraz Isabel de Alba, księżna de Cuernavaca i

hrabina de Urquijo. Ku rozczarowaniu ojca, w małżeństwie tym nie było synów. Tak więc jej maleńka wysokość, na mocy swego niewieściego "pierworództwa", stała się dziedziczką całej rodzinnej potestas i wszystkich divitiae. Rodowód ten i tytuły kontrastowały jednak z wczesniaczym zdrowiem dziewczynki i bladą kruchością jej drobnej i delikatnej figurki. Można by rzec, że jej mizerne ciało było zbyt ciasne i niedojrzałe, by zmieścić w sobie duszę. Rzeczywiście, Ines sprawiała wrażenie, że nie tyle uchodzi z niej życie, co raczej nie zdążyło ono jeszcze w nią wejść. Kołyska z bogato rzeźbionym wezglowiem, którą specjalnie dla niej sporządził najlepszy stolarz w Kastylii, była tak ogromna, że malutkiej Ines prawie nie było widać spośród zwałów jedwabi. Dziewczynka dawała znać, że jeszcze żyje, okropnym rzęzieniem, które zawsze zdawało się już przedśmiertne.

Gdy tylko stolarz skończył kołyskę, zabrał się do zbijania maleńkiej trumienki. Mijały dni i dziecko coraz bardziej traciło na wadze, tak że w końcu można je było nazwać czystą nieobecnością. Kiedy niania zobaczyła, że mała Ines nie ma nawet siły, żeby ucześcić się piersi, uznała ją za straconą. Wyglądało, że jeszcze przed pierwszym sakramentem Ines otrzyma ostatni. A jednak Bogu tylko wiadomo, w jaki sposób dziecku udało się przeżyć. Pomału i jak świeże pędy, które nagle wyrastają na suchym i martwym pniu, dziewczynka zaczęła nabierać kolorów i zbliżać się do świata żywych. W miarę jak Ines rosła, w tym samym tempie, tyle że w odwrotnej proporcji, fortuna rodzinna chyliła się ku ruinie. Oliwki i winnice - niegdyś najwspanialsze i najbardziej płodne na całym półwyspie, o czym świadczył nawet herb rodziny - zostały zniszczone przez nagłą i żarłoczną zarazę, która z dnia na dzień skończyła z najmniejszym śladem zieleni. Don Rodrigo, zrozpaczony i za całą fortunę mając jedynie swą rozpacz i tytuły, przeklinał łono swej małżonki, które mu się zdało podobne do chorej ziemi, zdolnej na świat wydawać tylko bezużyteczne chwasty. Najwidoczniej księżna mogła rodzić tylko słabowite dziewczynki i nie potrafiła ofiarować mu syna, który przynajmniej wniósłby do domu w stosownym czasie jakiś posag. W zupełnej już desperacji Don Rodrigo pojechał do Florencji, by prosić tam o pomoc swojego kuzyna, markiza de Malagamba, z którym oprócz pokrewieństwa łączyło go wspólne zamiłowanie do oliwnych gajów. Hiszpański szlachcic prosił, błagał, a nawet płakał. Markiz okazał się przyzwoitym człowiekiem, miłosiernym i skłonny do współczucia. Zaofiarował swemu kuzynowi słowa pełne pociechy, wiary i nadziei, jeśli zaś chodzi o pieniądze - nie dał mu ani florena. Don Rodrigo wrócił zgnębiony do Kastylii. A jednak latem następnego roku do domu nieszczęsnego arystokraty przybył posłaniec z Florencji. Przywiózł list od markiza. Ku zdumieniu kastylijskiego hrabiego, Florentyńczyk prosił o rękę jego córki Ines i w zamian był gotów przysłać dokładnie taką sumę pieniędzy, jakiej potrzebował pilnie Don Rodrigo. Markiz nie bez powodu wysunął tę propozycję: był wdowcem, dzieci nie posiadał, a więc pozostał mu tylko jeden sposób, by mieć prawowitego dziedzica. Tym

sposobem była nowa żona. Z drugiej strony związek z kastylijskim domem był o tyle dla niego korzystny, że rozszerzyłby jego posiadłości aż na Półwysep Iberyjski. Posłaniec wrócił do Florencji i przywiózł markizowi zgodę Don Rodriga. Ines miała zaledwie trzynaście lat.

Nie było zalotów ani narzeczeństwa; nie krążyły listy ani upominki: jedynym prezentem była sama Ines, którą rodzice wysłali do Florencji - gdzie czekał na nią przyszły małżonek - w eskorcie członków obu arystokratycznych rodów. Ines wyszła za mąż jako cnotliwa dziewczyna. Markiz wywodził swój ród od Karola Wielkiego i gdy Ines po raz pierwszy ujrzała swego męża, odniosła wrażenie, że jego ciało mieści wszystkich znakomych przodków, a na jego wiek złożył się cały ów długi szereg karolińskich pokoleń. Nigdy nie pomyślała o mężu, że jest grubym staruchem, lecz coś przeciwnego też jej do głowy nie przyszło.

Ines była dobrą żoną, która mężowi ofiarowała całą swoją *virtus in coniugio*. Umiała pokazać swoje pochodzenie, a zwłaszcza "cnotę", to znaczy chrześcijańską skromność małżeńską. Jeżeli żona - w myśl apostoelskich wskazań - powinna się pozbyć wszelkiej namiętności i "używać męża, jak gdyby go nie miała", Ines z łatwością spełniała ten warunek. W małżeńskim łóżu ledwie się mieściła obok niepomiernego markiza. Nie musiała ukrywać przyplływów uczucia ani wstydlivej wilgoci pod brzuchem. Własny mąż nigdy jej nie pociągał, podobnie zresztą jak żaden inny mężczyzna. Można by powiedzieć, że zmysłowość była Ines całkowicie obca; nigdy nie odczuwała rozkoszy ani nawet wstępu. Nic nie wiedziała o nocnych jękach, westchnieniach i konwulsjach. Przez cały czas trwania ich małżeństwa markiz miał trzy starcze erekcje: trzy razy zbliżył się do Ines i ta trzy razy urodziła dziecko, nigdy nie poznawszy, czym jest *frenesi veneris*. Jak gdyby nad jej rodem ciążyło jakieś przekleństwo, za każdym razem na świat wydawała dziewczynkę: bezużyteczne liście na uschłym karolińskim drzewie. Czwarta erekcja byłaby już cudem, a więc markiz, zniechęcony, pełen urazy i rozczarowania, postanowił umrzeć, co też i uczynił.

III

Ines była bardzo młodą kobietą. Bez reszty poświęciła się wychowaniu swych trzech uchybień w małżeńskich obowiązkach, a pamięć zmarłego męża, któremu nie umiała zapewnić koniecznego ogniwa w jego szlachetnej genealogii, była dla niej powodem pewnych wyrzutów sumienia. Cały jej umysł i dusza nakierowały się ku miłosierdziu, współczuciu, dobroczynności, a przede wszystkim ku Bogu. Wciąż się modliła. Była jedną z najbogatszych kobiet we Florencji.

Znosiła swe wdowieństwo bez specjalnego żalu, jeśli nie liczyć smutku, jakim ją napawał fakt, że nie zdołała uświęcić domowego ogniska w najchlubniejszy sposób: nie wydała na świat męskiego potomka. Poza tym całkowicie wystarczała jej miłość, którą czuła ku Bogu. Brak

mężczyzny w niczym jej nie doskwierał. Nie tęskniła za zmysłową rozkoszą ani też nie nawiedzały jej grzeszne i niepokojące myśli; tej pierwszej nigdy nie zaznała, więc te drugie nie miały jak się pojawić.

Bólu, że nie umiała dać mężowi upragnionego syna, nie były w stanie uśmierzyć odziedziczone dobra. Żeby ukoić swój smutek, a przede wszystkim, żeby zmazać swą winę wobec świętej pamięci małżonka, Ines postanowiła sprzedać gaje oliwne, winnice i zamki, po czym z uzyskanych pieniędzy ufundować klasztor. Wiodłaby w nim czyste i cnotliwe życie, spełniając wreszcie swój obowiązek: zakonna wspólnota i biedni byłiby dla niej owymi synami, których jej łono nie potrafiło zrodzić.

Wyglądało, że Ines bez przeszkód kroczy drogą ku świętości, gdy nagle - czas już to powiedzieć - między jej świetlanym życiem i wiekiustą chwałą stanął pewien mężczyzna: Mateusz Kolumb.

IV

Niewiele już brakowało, by Ines zakończyła swe dni na ziemi jak prawdziwa święta. Latem 1558 roku jej zdrowie nagle się pogorszyło z powodu jakiejś nieznannej choroby. Wraz ze swymi trzema córkami wyprowadziła się do małego domku opodal założonego przez siebie klasztoru i pełna chrześcijańskiej rezygnacji postanowiła w nim poczekać spokojnie na śmierć.

Pomału umysł Ines stawał się coraz bardziej mroczny i pesymistyczny. Ines zamknęła się w ponurym i niespokojnym świecie. Każde mniej lub bardziej niezwykle wydarzenie - a czasem nawet wręcz banalne i codzienne - zdawało się jej jakimś czarnym i złowieszczym znakiem; gdy odzywały się dzwony w klasztorze, już była skłonna myśleć, że właśnie któraś z jej córek umarła. Lękała się o zdrowie opata - nawiasem mówiąc; kwitnące - i o wszystkich, z którymi się spotykała. Byle katar był dla niej zapaleniem płuc, które musiało się skończyć fatalnie. Z biegiem czasu wszystkie te obawy skoncentrowały się na jej własnej osobie: zaczęła się podejrzewać o najpoważniejsze choroby. Niewinne podrażnienie skóry było pierwszym objawem rozwijającego się trądu. Zewsząd osaczała ją śmierć. Podczas nie kończących się i bezsennych nocy czuła, jak serce wyskakuje jej z piersi, nagle zimny pot ją oblewał i tchu nie mogła złapać, co zapowiadało bliską już śmierć z uduszenia. Leżąc sama w łóżku, wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać, gdy umrze, i przerażała ją myśl o nieuchronnym rozkładzie jej wciąż młodego ciała. Wkrótce wszystkie te lęki i koszmarne wizje rozprzestrzeniły się poza granice nocy i ogarnęły całe życie Ines. Podłoga zaczęła coraz bardziej wirować pod jej stopami i w końcu zawroty głowy kazały Ines schronić się ostatecznie w łóżku, gdzie postanowiła czekać, aż Bóg o jej losie rozstrzygnie. Lecz nawet owo poddanie się Bożej woli nie przyniosło jej pociechy ani ukojenia i fakt ten jeszcze bardziej

powiększył jej udrękę, bo wystawiał na próbę całą jej pobożność i nie pozwalał oczekiwać śmierci z wiarą i z chrześcijańską rezygnacją. Ines rzeczywiście sprawiała wrażenie osoby umierającej.

Widząc, że zdrowie Ines definitywnie uległo pogorszeniu, opat przypomniał sobie, że w Padwie mieszka pewien chirurg, który już raz uratował życie człowiekowi niemal konającemu, co zresztą było szeroko komentowane. Nie zwlekał więc, tylko zwrócił się do swojego kuzyna, bliskiego krewnego Medyceuszów, który hojną ręką przeznaczył tysiąc florenów na honorarium dla owej lekarskiej znakomitości i jeszcze pięćset na podróż i na inne nieprzewidziane wydatki.

Odkrycie

I

Jeździec na koniu wpadł pełnym galopem w ciasne uliczki Padwy. W pędzie przewrócił stragan z owocami na Piazza dei Frutti: pomarańcze potoczyły się po bruku, a handlarz nawet nie miał czasu, żeby wybuchnąć wyzwiskami. Koń był spieniony i boki miał mokre od potu. Dostrzegł go kruk Leonardino i od Porta Euganea w starych murach miasta przez całą Riviera di San Benedetto dyskretnie mu towarzyszył, zataczając koła w powietrzu. Nad Ponte Tadi wyprzedził jeźdźca i jak gdyby wiedząc, dokąd ten ostatni zmierza, przysiadł nad wejściem do auli, w której jego pan zwykle miał wykłady.

Jeździec zsiadł z konia przed bramą uniwersytetu i biegiem ruszył przez dziedziniec.

- Gdzie mogę znaleźć Mateusza Kolumba? - odwrócił się i zapytał mężczyznę, którego przed chwilą wyminął.

Mężczyzną tym był dziekan, Alessandro di Legnano.

W krótkich słowach przybysz powiedział dziekanowi, że przywozi bardzo pilną wiadomość dla Mateusza Kolumba. Żadnych więcej wyjaśnień nie udzielił; tylko natarczywie ponowił swe pytanie, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie jest upoważniony informować innych o treści listu do anatoma.

- Mam rozkaz doręczyć to pismo wielmożnemu panu Mateuszowi Kolumbowi - rzekł lakonicznie posłaniec.

Dziekana mocno zirytował ów nadmierny jego zdaniem respekt, z jakim posłaniec mówił o barbiere. Szczególnie zaś go oburzyło, że przybysz próbował zignorować jego dziekański autorytet i potraktował go jak służącego, który ma obowiązek zapowiadać gości "wielmożnemu panu" Mateuszowi Kolumbowi.

- Chyba powinniście wiedzieć, że to ja rządę na tym uniwersytecie.

- Chyba powinniście wiedzieć, kto ten list wysłał - naśladować ton swego rozmówcy, odpowiedział posłaniec i pokazał podpis oraz pieczęć odcisniętą na odwrocie listu.

W tej sytuacji dziekan mógł tylko obiecać, że przekaze wiadomość anatomowi, gdy ten powróci z podróży.

II

Gdy Mateusz Kolumb po raz pierwszy zobaczył swą pacjentkę, natychmiast spostrzegł, że ma przed sobą kobietę nieskończenie piękną. Zaraz potem doszedł do wniosku, że jej przypadek

nie będzie jakąś zwyczajną chorobą. Ines leżała na łóżku bezwładna i nieprzytomna. Najpierw anatom zajrzał jej do oczu i do gardła, później obmacał głowę i skontrolował uszy. Opat śledził ruchy lekarza z nieufną ciekawością. Mateusz Kolumb zbadał puls na kostkach u nóg i na nadgarstkach chorej, po czym powiedział, że teraz on i jego "uczeń" Bertino chcieliby zostać sami z pacjentką. Nie bez pewnej podejrzliwości opat wyszedł z sypialni.

Mateusz Kolumb poprosił Bertina, żeby pomógł mu rozebrać pacjentkę. Nikt by nawet nie przypuszczał, że pod tym surowym i szorstkim odzieniem kryje się tak cudowne ciało. Najlepiej o tym świadczyły ręce Bertina, które drżały jak liście, gdy uczeń zdejmował kolejną sztukę odzieży.

- Czyżbyś nigdy nie widział rozebranej kobiety? - cokolwiek złośliwie zapytał Mateusz Kolumb Bertina, dając mu do zrozumienia, że od tej chwili szpieg dziekana musi uważać, by samemu nie zostać zadenuncjowanym.

- Widziałem, ale... ale nigdy żywej... - wyjąkał Bertino.

- A więc ci przypominam, że patrzysz teraz nie na kobietę, tylko na pacjentkę - powiedział dobitnie anatom, akcentując różnicę między tymi dwiema istotami.

Prawdę mówiąc, Mateusz Kolumb również był pod wrażeniem urody swej pacjentki, lecz jako doświadczony anatom umiał zachować spokój i ukryć swe pomieszenie. Poza tym wiedział, że dla lekarza ważne są nawet subiektywne odczucia; w tym wypadku podniecenie, które go ogarnęło, musiało mieć jakiś związek z chorobą pacjentki. Zbadał napięcie mięśni brzucha, a później określił rytm oddechu. Kazał się pośpieszyć Bertinowi, który wciąż nieporadnie ścierał z chorej ubranie. Kiedy Mateusz Kolumb chciał osłuchać serce, usłyszał krzyk swego ucznia:

- To jest mężczyzna! To jest mężczyzna! - wrzeszczał z przerażeniem Bertino, żegnając się i wzywając wszystkich świętych na niebie. - Boże, bądź nam litościw! To jest mężczyzna!

W pierwszej chwili Mateusz Kolumb pomyślał, że Bertino kompletnie oszalał. Podniósł się i chciał uspokoić swego ucznia, lecz wtedy ku swemu osłupieniu zobaczył między nogami chorej maleńki, dobrze uformowany i wyprężony członek.

III

Anatom kazał swemu uczniowi natychmiast się zamknąć. Czymkolwiek by był ów odkryty przez nich organ, stanowił on poważne zagrożenie dla i tak już wątpliwego i niepewnego życia chorej. Mateusz Kolumb od razu przypomniał sobie pewien przypadek sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy to spalono na stosie mężczyznę, który wyglądał całkiem jak kobieta i wykorzystując ten fakt, oddawał się prostytucji. Anatomia Ines de Torremolinos była jednak jak najbardziej niewieścia, a o równie kobiecej fizjologii pacjentki najlepiej świadczyły trzy córki. Tymczasem zdumiony mistrz i wystraszony uczeń mieli przed nosem niewielki i wyprostowany organ, który zdawał się celować

wprost w ich ogłupiałe oczy, otwarte szeroko ze zdziwienia i okrągłe jak dwie pary złotych florenów.

Najbardziej narzucającą się tu hipotezą był hermafrodytyzm. Dawne traktaty arabskich i egipskich lekarzy nieraz wspominały o istotach, które łączyły obie płci w jednym ciele. Sam anatom spotkał się kiedyś z takim przypadkiem u psa. Niemniej jednak fakty przeczyły temu przypuszczeniu; wszystkie te traktaty jednogłośnie twierdziły, że owa anomalia pociąga za sobą atrofię obu płciowych narządów - męskiego i żeńskiego - co uniemożliwia w praktyce reprodukcję. Pomijając już trzy latorośle, które Ines de Torremolinos wydała na świat, na pierwszy rzut oka było widać, że ów maleńki organ na pewno nie jest dotknięty atrofią; wprost przeciwnie, cały był nabrzmiąły, pulsujący i wilgotny.

Kierując się czystą intuicją, anatom wziął w dwa palce ów nie nazwany jeszcze narząd i wskazującym palcem drugiej ręki zaczął delikatnie pocierać niewielką czerwoną i rozpaloną "zołądz". Pierwsza reakcja nie dała na siebie długo czekać; wszystkie mięśnie u chorej - która do tej pory pozostawała bezwładna i wiotka - nagle i mimowolnie naprężyły się, a sam ów organ powiększył się i zaczęły po nim przebiegać gwałtowne i krótkotrwałe skurcze.

- On się rusza! - krzyknął Bertino.

- Cicho bądź! Chcesz nam tu ściągnąć opata?

Mateusz Kolumb nie przestawał pocierać owej dziwnej narośli, co wyglądało, jak gdyby chciał skrzesać ogień za pomocą dwóch kawałków drewna. Wreszcie zdało się, że iskra chwyciła. Ciało chorej wyprężyło się w potężnej konwulsji. Oparłszy się tylko na karku i na piętach, Ines uniosła w górę biodra; które pomalutku zaczęły się poruszać w rytmie, jaki im nadawały palce anatoma. Oddech Ines przyspieszył się, serce jąło galopować w jej piersi, a całe ciało nagle pokryło się potem. Można by rzec, że owym pocieraniem Mateusz Kolumb wywołał u pacjentki wszystkie te przykre objawy, które jej dokuczały po nocach. Niemniej jednak Ines, choć nadal nieprzytomna, nie sprawiała wrażenia osoby cierpiącej. Oddech jej stawał się coraz bardziej zduszony, aż w końcu przeszedł w szybkie i głośne dyszenie. Twarz, na której przedtem nie było śladu życia, skrzywiła się wyraźnie lubieżnym grymasem. We wpółotwartych ustach widać było język prześlizgujący się w obie strony po wargach.

Bertino przeżegnał się. Nie bardzo rozumiał, czy były to egzorcyzmy, czy też wprost przeciwnie, mistrz wpędzał diabła w ciało Ines. O mały włos nie zemdlał, kiedy zobaczył, że Ines otworzyła oczy, w pełni świadomie rozejrzała się wokół i bez żadnego oporu poddała się szatańskim praktykom anatoma. Co więcej, sama zaczęła palcami pocierać swoje nagle stwardniałe i powiększone sutki i szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa po hiszpańsku, rozpustnym wzrokiem wpatrywała się w nieznanego mężczyznę.

Wyglądało, że od stanu agonii Ines przeszła wprost do frenesi veneris. Całkowicie przytomna - o ile tak można powiedzieć - Ines wyciągnęła ręce za siebie i chwyciła się deski u wezłowania swego prostego łóżka.

Wśród jęków i różnych, jak śmiesz” pełnych wyrzutu Ines pozwalała na wszystko palcom anatoma.

- Jak śmiesz! - szeptała i przesuwiała językiem po koniuszkach piersi. - Jestem uczciwą kobietą - mówiła i wkładała do ust czubki palców.

- Jak śmiesz! - wdychała i rozwierała jak najszerzej nogi. - Jestem matką trzech córek - mówiła, nie przestając masować sobie piersi.

- Jak śmiesz! - jęczała i pozwalała na wszystko.

Zadanie anatoma nie było proste. Z jednej strony musiał się bronić przed zaraźliwym podnieceniem chorej, z drugiej zaś nie dopuścić, by to podniecenie opadło. Poza tym Bertino - który nie przestawał się żegnać - wciąż nękał go pytaniami, krzyczał, a raz nawet odważył się upomnieć swego mistrza:

- To jest świętokradztwo! Profanacja!

- Zamknij gębę i przytrzymaj ramiona.

Ogłupiały Bertino usłuchał.

- Nie moje, durniu, tylko chorej!

- Jak śmiesz! - żaliła się Ines. - Jestem wdową - mówiła i rzucała biodrami do przodu, atakując dłoń anatoma.

- Jak śmiesz! - szlochała. - Was jest dwóch na jedną i bezbronną kobietę - mówiła i wpychała rękę między nogi ucznia, któremu członek również zaczął twardnieć, mimo że Bertino wciąż krzyczał i wzywał Boga na pomoc. Dla anatoma było to niewątpliwie gwarancją, że uczeń zachowa dyskrecję.

- Jak śmiesz! - szeptała Ines. - Przecież ja was w ogóle nie znam.

IV

Przez dziesięć dni Mateusz Kolumb pozostał we Florencji przy chorej. Owych dziesięć dni wystarczyło, by Ines wyzdrowiała, a przynajmniej pozbyła się swych dotychczasowych dolegliwości. Z początku anatom umówił się z opatem, że zajmie dla siebie jedną z cel klasztoru. Dom Ines był wystarczająco blisko, żeby sekretna kuracja mogła się nadal odbywać bez przeszkód. Ines uznała to jednak za karygodny brak gościnności i przygotowała dla anatoma miejsce w swoim własnym domu. Ostatecznie więc Mateusz Kolumb zamieszkał w przytulnej izdebce tuż obok sypialni pacjentki.

Ines wcale nie była ową rozpustną kobietą, którą Mateusz Kolumb ujrzał po raz pierwszy w dniu, kiedy rozpoczął terapię. Wprost przeciwnie, sprawiała wrażenie świętej. Była niezwykle skromna w ubiorze i powściągliwa w ruchach i w mówieniu. Jedynie w chwili, gdy poddawała się zabiegom anatoma, wstępował w nią jakby szatański i wszechwładny duch, który obalał barierę wstydu. Opuszczał Ines dopiero wtedy, gdy nadchodziła ekstaza, po której pacjentka wracała do swej naturalnej skromności. Chora zdawała się buntować przeciwko tym falom uniesienia poprzez słańbkiutkie “jak śmiesz!”, które brzmiało bardziej jak jęk rozkoszy niż skarga. Później Ines nigdy nic nie mówiła o żadnej z tych sesji, jak gdyby wszystkie te wydarzenia uleciały jej kompletnie z pamięci lub nie różniły się zbytnio od przyjmowania zwykłego i niewinnego lekarstwa: W miarę jak postępowała kuracja, ów tajemniczy wyrostek, który do złudzenia przypominał autentyczny członek, wyraźnie się zmniejszał, podobnie jak dolegliwości chorej. Poza tym wyglądało, że Ines dobrze się czuje w towarzystwie Mateusza Kolumba. Rano chodzili na spacer skrajem lasu, który się zaczynał zaraz za opactwem. Koło południa siadali w cieniu dębu i jedli poziomki i jeżyny. Później szli razem do domu, zamykali się w sypialni i anatom przystępował do kuracji. Ines kładła się posłusznie na łóżku, podciągała na brzuch suknię i lekko rozchyłała kolana. Następnie wyginała się w łuk, unosiła krągłe i delikatne pośladki i poddawała się rękoma anatoma, zamykając oczy i zaciskając wargi wciąż jeszcze wilgotne i poplamione jeżynowym sokiem.

Codziennie rano Mateusz Kolumb i jego pacjentka wychodzili na spacer do lasu za opactwem, a po południu wracali do domu i: “Jak śmiesz! Choć nie noszę habitu, jestem poświęcona Bogu!” Codziennie wieczorem spokojnie jedli skromną i prostą kolację i znów: “Jak śmiesz! Ja przysięgam czystość i celibat mojemu zmarłemu mężowi!”

Mateusz Kolumb również był zadowolony ze swojego pobytu we Florencji. Trzymała go tam nie tylko troska o zdrowie Ines. Czym był ów maleńki i nie nazwany jeszcze narząd, który się zachowywał niczym męski członek? Czym była owa niewielka, lecz zdumiewająca osobliwość, która bezczelnie wzywała ze szpary kobiecego łona? Czy Ines była kobietą? Czy anatomic miał do czynienia z wybrykiem natury, czy też - jak podejrzewałbył o krok od najbardziej niezwykłego odkrycia w tajemniczej niewieściej anatomii?

Właśnie wtedy, w czasie tych dni spędzonych we Florencji, anatomic sporządził pierwsze notatki, które później miały się ułożyć w szesnasty rozdział *De re anatomica*. Dzień po dniu zapisywał w swoim zeszycie przebieg całej kuracji.

“Processus igitur ab utero exorti id foramen, quod os matricis vocatur illa praecipue sedes est delectionis, dum venerem exercent vel minimo digito attrectabis, ocyus aura semen hac atque illac pre voluptate vel illis invitis profluet”.

Dzień pierwszy:

“Owa niewielka narośl, która się wyłania z macicy opodal otworu zwanego pochwą*, (*Dzisiaj jest oczywiście wiadome, że ów narząd nie wyrasta z macicy. Opinię tę przypomina Thomas W. Laquier w swoim artykule o Mateuszu Kolumbie, “Amor Veneris, vel Dulcedo Appeletur”, zamieszczonym w Historii ciała ludzkiego.) jest głównym siedliskiem rozkoszy u chorej. Wystarczy ów narząd potrząść małym palcem, by stał się seksualnie aktywny; szybciej niż wiatr wypływa zeń wtedy nasienie*, (*Warto zwrócić uwagę, że jest tu mowa o “nasieniu”, co oznacza, że Mateusz Kolumb wciąż jeszcze przypisywał temu organowi cechy jak najbardziej męskie.) z samej tylko rozkoszy i bez woli pacjentki”.

Dzień drugi:

“Ten niewielki penis* (*Termin dość enigmatyczny i jest chyba - jak się okaże w dalszym ciągu - pierwszą próbą uogólnienia opisywanej “anomalii”. Terminologiczna sprzeczność świadczy o pewnym zakłopotaniu autora tych notatek.) zdaje się gromadzić w sobie wszystkie objawy zmysłowej rozkoszy z uszczerbkiem dla innych wewnętrznych organów, które są obojętne wobec seksualnych podnieć. Trzeba też dodać, że wspomniany narząd wznosi się i opada jak prawdziwy członek przed i po kopulacji albo pocieraniu”*. (*Niemal to samo mówi Jane Sharp w XVII wieku: “wznosi się i opada jak członek, i powoduje, że kobiety są chętne do spółkowania i czerpią z tego rozkosz”.)

Dzień trzeci:

“Gdy po raz pierwszy ujrzałem ów organ, był twardy i podłużny; zacząłem go pocierać, a on zwiotczał i opadł, gdy tylko chora osiągnęła szczyt zmysłowej rozkoszy”.

“Na ogół krótko pozostaje w spoczynku, bo już po kilku godzinach, gdy go potrząść, na powrót się wznosi, a tymczasem chora żądy cielesnej nie odczuwa, w rozkoszy się nie zatracza ani jej nawet nie pragnie, za mężczyznę nie tęskni i o członku nie marzy. Natomiast za każdym razem, gdy ów narząd się wyprostuje, chorą ogarnia smutek, zawroty głowy ją dręczą i duszności.

Wszystko to ustępuje po potarciu wspomnianego organu i po zmysłowej ekstazie”.

Dzień czwarty:

“Stan chorej polepsza się. Smutek minął, a duszności i zawroty głowy stają się coraz rzadsze. Organ przeważnie odpoczywa i jest dużo mniej nabrzmiały. Można by sądzić, że wszystkie dolegliwości w nim miały swe źródło. Anomalię tę chciałbym nazwać Miłością lub Rozkoszą Wenus (Amor Veneris, vel Dulcedo Appeletur)”.

Dzień piąty:

“Zauważyłem, że miłość, usposobienie i wola chorej zdają się zależeć wyłącznie od owego organu. Wolno mi zatem przypuszczać, że jeśli ktoś ma nad owym malutkim członkiem władzę,

może też kierować wolą i nastrojem kobiety. Pacjentka zachowuje się, jak gdyby była we mnie zakochana, i jest gotowa zrobić wszystko, o co ją poproszę. Wspomniany organ jest najprawdopodobniej głównym siedliskiem miłości i rozkoszy. Uległość i oddanie pacjentki zależą tylko od zręczności palców i od znajomości wrażliwych miejsc w tym organie, takich jak małeńka żołądź i spodnia część wydłużonego trzonu”.

I rzeczywiście, anatom umiał wykorzystać swoją “zręczność palców”. Bez żenady mówił o nędznej profesorskiej pensji. Żalił się przed Ines podobnie jak jego genueński imiennik przed królową: “Pomyślałem sobie, jak niewiele mi przyszło z moich dwudziestu lat służby. U siebie w kraju nie mam nawet jednej dachówki nad głową. Gdy chcę coś zjeść albo gdzieś się przespać, muszę iść do gospody czy tawerny i nieraz nie mam czym zapłacić, bo w sakiewce brak mi nawet miedziaka. Nic tylko płakać z rozpacz”. Takimi mniej więcej słowami anatom skarżył się przed pacjentką. Dusza Ines, z natury dobra i miłosierna, wzbierała wtedy litością.

- Wystarczy ci pięćset florenów? - pytała Ines i wstydziła się jak ktoś, kto ofiarowuje załóżnie małą jałmużnę.

Wtedy wieczorem, przeliczywszy każdą monetę swoich “honorariów”, anatom pisał w zeszycie:

“Im dalej postępuje kuracja, tym większą władzę mam nad wolą chorej, której gotowość i posłuszeństwo zdają się bezgraniczne”.

Rzeczywiście, po każdej z tych sesji Mateusz Kolumb nie znał żadnych granic. Nie przepuścił ani jednej okazji, by się nie poskarżyć na swoją niedolę.

- Wystarczy ci tysiąc florenów? - pytała ze wstydem Ines.

Całe uczucie, które Ines dotąd kierowała ku Bogu, zwróciło się teraz ku anatomowi. Poezje, pisane wcześniej na chwałę Wszechmogącego, znalazły nowego adresata. Wieczorem kładła się do łóżka, myśląc o anatomie; śniła o nim i pierwszym słowem, jakie wypowiadała rankiem po przebudzeniu, było jego imię. Dawna troska o biednych, miłosierdzie i religijna żarliwość - wszystko to mieściło się teraz w tym jednym imieniu. Wreszcie nadszedł dzień rozstania. Lekarz uznał, że choroba minęła i że zdrowiu Ines nic już nie zagraża. Nie było więc powodu, by Mateusz Kolumb przedłużał swój pobyt we Florencji. Opat rozplęwał się w podziękowaniach za ogromną przysługę, jaką il Chirologo i jego uczeń oddali Ines i klasztorowi.

Choroba Ines miała teraz określoną nazwę: Mateusz Kolumb.

Gdy anatom gnał konno w stronę Padwy, serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Przeczynał, że właśnie coś doniosłego zdarzyło się w jego życiu.

Na ziemiach Wenus

I

“Z Cariay do Veragua. Kopalnie złota! Przed nami nieprzebrane złoża szlachetnego kruszcu! Ludzie od stóp do głów obwieszani złotem! Skrzynie obite złotą blachą i wykładane złotem stoły! Złote naszyjniki na ramionach kobiet, kolie i wisiory! O dziesięć dni stąd jest Ganges. Z Cariay do Veragua jest równie blisko jak z Pizy do Wenecji. Ja to wszystko wiedziałem z Pisma Świętego i od Ptolomeusza! To miejsce musi być rajem na ziemi!” Tak pisał genueński admirał do królowej i Mateusz Kolumb mógłby powtórzyć to samo. “Och, moja Ameryko! Słodka, odkryta przeze mnie ziemi!” - tych osiem słów jest najlepszym podsumowaniem epopei Mateusza Kolumba.

Niewiele czasu musiało upłynąć, by anatom pojął, że ta dziwna choroba - ten wybryk natury - w rzeczywistości jest Indiami Wschodnimi. Po powrocie do Padwy przebadał w sumie sto siedem kobiet, żywych i umarłych. Ku swemu zdumieniu mógł stwierdzić, że ów “członek”, który odkrył u Ines de Torremolinos, “kryje się, drobny i niepozorny, między wargami sromu” u tych wszystkich kobiet, a w zupełną już wpadł euforię, gdy zobaczył, że u każdej z nich ów narząd działa tak samo na ciało i wolę. W porwywie entuzjazmu uwierzył, że znalazł klucz do miłości i rozkoszy. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem ów “słodki skarb” przez tyle wieków pozostał nie odkryty; jak to się stało, że tyle pokoleń mądrych anatomów ze Wschodu i Zachodu nie zauważyło nigdy owego diamentu, kiedy przecież wystarczyło tylko rozsunąć palcem wargi sromu, by go od razu zobaczyć.

“Och, moja Ameryko! Słodka, odkryta przeze mnie ziemi!” - napisał anatom na początku szesnastego rozdziału De re anatomica. Ciąg dalszy miał być epicką symfonią.

Wśród miłosnych jęków i westchnień anatom pieścił palcem brzegi nowo odkrytego lądu. Otwierały się one przed nim - nowym panem ojczyzny Wenus - jak owe miedzianoskóre Indianki, które wybiegały z zielonego gąszczu, by oddać się brodatym bogom, pół ludziom i pół bestiom. Z mieczem w prawej dłoni, z Ewangelią w lewej i z krzyżem zawieszonym na piersi, zdobywca zagłębiał się w matecznik płci. Naprzód, wciąż naprzód. Pewnego dnia Bóg mu powiedział: “Daj nazwy wszystkim rzeczom”. Wtedy Mateusz Kolumb otworzył swój zeszyt i zaczął pisać: “Jeśli mi wolno nazywać rzeczy, które sam odkryłem...” Wtedy nadał nazwę wszystkiemu, co widział. I znów naprzód, wzdłuż brzegów ziemi, która powstała z jego boku.

Wśród miłosnych jęków i westchnień całował piaski na brzegach odkrywanych lądów. Wbijał swe sztandary i nie znajdował słów, by nazwać tyle nowych rzeczy. Nie napotykał dzikich Indian ani wrogów, z którymi musiałby walczyć. Wystarczyło, że wskazał ręką i rzekł: “To jest

moje”. Jednym palcem, nawet najmniejszym (minimo digito) - Mądrym i Doświadczonym Palcem - potrafił sprawić, że rozstępował się gąszcz i Jego Królewska Mość mógł wejść.

I znowu naprzód, i znów nazywał i obejmował w posiadanie to wszystko, co od niego samego pochodziło, jako że żebro było od Adama*. Ileż tu było uroczych i rozkosznych rzeczy, które będzie mógł pokazać światu! “Tam, drogi czytelniku, znajduje się główna siedziba kobiecej miłości” - mówił, wyciągając rękę ku brzegom ziemi Wenus.

Podnosił kotwicę i kierował dziób swego okrętu ku cieśninom i archipelagom, gdzie nikt jeszcze przed nim nie był. Później z palcem wyprostowanym ku górze mówił: “Wystarczy potrzebę mocno małym palcem (minimo digito), by szybciej niż wiatr wypłynęło nasienie, nawet gdy ona tego nie chce”. Był wtedy panem i władcą kobiecych płynów. Wody mogły się przed nim otwierać i zamykać, gdy przeszedł. On rządził wolą Wenus, on ją uczynił - na przekór jej samej - swoją własnością i swoją niewolnicą.

I szedł, chrzcząc wszystko na prawo i na lewo jak misjonarz. “Niech to będzie macica, pochwa albo srom” - mówił i szedł dalej, nadając rzeczom wciąż nowe nazwy.

Środek jego Ameryki miał też swoje imię - Mona Sofia. Odtąd Mateusz Kolumb nie musiał już wędrować po świecie, szukając ziela; które dałoby mu władzę nad jednym przewrotnym sercem. Nie musiał wzywać bogów ani demonów. Nie musiał uwodzić ani nawet być miłym. Oto w zasięgu ręki miał klucz do serca kobiety. Potrzebna była tylko zręczność palców i odrobina doświadczenia. Odkrył anatomiczną przyczynę miłości. Zapisał się na tereny, gdzie przed nim nie było jeszcze żadnego mężczyzny. On, Mateusz Kolumb, znalazł to, czego na próżno od zamierzchłych czasów szukali czarownicy, magowie, władcy, dramaturdzy i wreszcie wszyscy zakochani śmiertelnicy. Teraz jego palec - Mądry i Doświadczony Palec - miał władzę nad ziemią, którą on, Mateusz Kolumb, poprzysiągł sobie zdobyć. Miał władzę nad Moną Sofią.

Chciał pójść jeszcze dalej. Jeżeli dusza kobiety była zawsze krainą, której nie mogły podbić najpotężniejsze armie świata, powód tego był tak prosty, że przez swą oczywistość umykał dotąd uwagi. Amor Veraeris, źródło kobiecej miłości, był niezbitym dowodem na nieistnienie duszy u kobiety. Właśnie to chciał wykazać Mateusz Kolumb w swym dziele De re anatomica.

Gdy ktoś się zapuszcza w głębokie i dzikie doliny nieznanego kraju, czasem trudno mu jest znaleźć drogę powrotu. Podobnie Mateusz Kolumb miał się ostatecznie zagubić w samym sercu dżungli, która powstała z jego boku.

II

Rozdział XVI De re anatomica był całą epopcją. Był epicką pieśnią. W dniu 16 marca 1558 roku Mateusz Kolumb, tak jak tego wymagał uniwersytecki statut, przed opublikowaniem

przedstawił swą książkę do akceptacji dziekanowi. Było to sto piętnaście pozszywanych kartek i siedem ilustracji (jedno z najpiękniejszych dzieł Renesansu), własnoręcznie namalowanych przez anatoma olejnymi farbami i przedstawiających mapy nowego kontynentu - Amor Veneris.

Dnia 20 marca tego samego roku Alessandro di Legnano wtargnął do celi Mateusza Kolumba w asyście kapelana uniwersytetu i dwóch strażników. Dziekan odczytał rozporządzenie Najwyższego Trybunału, który przychylił się do wniosku Alessandra di Legnano i postanowił powołać specjalną komisję doktorów, żeby przyjrzała się działalności anatoma i zbadała zasadność oskarżeń o herezję, bluźnierstwo, czary i satanizm. Wszystkie manuskrypty profesora zostały skonfiskowane, podobnie jak sterty obrazów i rysunków, które leżały spiętrzone pod ścianami.

Jeżeli anatom uniknął natychmiastowego zamknięcia w lochach Świętego Antoniego, nie należy tego bynajmniej przypisywać wyrozumiałości sądu. Chodziło raczej o zachowanie wszystkiego w tajemnicy. Anatom został poinformowany, że na mocy ostatniej bulli Pawła III o komisjach doktorskich, które w sprawach wiary miały kompetencje Najwyższego Trybunału i mogły zbierać się i sądzić w dowolnym miejscu, proces odbędzie się na terenie uniwersytetu. Sądowi mieli przewodniczyć sam kardynał Caraffa oraz delegat kardynała Alvareza de Toledo.

Część trzecia - Historia procesu

Deszcz

I

Siedząc przy pulpicie, Mateusz Kolumb patrzy, jak za oknem, naprzeciwko malutkiego lustra nad łóżkiem, pada deszcz. Pada deszcz na dziesięć bliźniaczych kopuł bazyliki i na pola, które łączą się z niebem zamgloną linią horyzontu. Pada delikatny deszcz, niemal pozbawiony wilgoci. Pada łagodny i cierpliwy deszcz, który człowieka osacza jak zła myśl albo jak zwątpienie. Jak idea. Jak tajemnica. Można by powiedzieć, że pada deszcz wieków. Bosy i pobożny deszcz. Deszcz franciszkański. Na dachy i na ptaki pada deszcz jakby tej samej nieważkiej materii, z której stworzone są stopy świętych. Pada; jak zawsze, na biednych. Pada powoli, lecz uparcie i samym swoim padaniem porusza w końcu marmurowe stopy świętych obskurantów z kamienia. Nie stanie się to dzisiaj ani jutro. Już wkrótce, za kilka dni, zapłoną posępne pochodnie i rozpali się żar stosów. Lecz teraz pada deszcz. Pada łagodny i cierpliwy deszcz. Jak ostrzeżenie albo jak przepowiednia. Pada przyjazny i miłosierny deszcz, który choć trochę ukoi ból spalonego ciała. Kpiarska mżawka opada na chłopów, dzięki którym opat ma co jeść. Pada na stulę papieża Pawła III. Pada na Watykan. Pada ciepły i upragniony deszcz. Każda kropla jest malutkim członkiem, który przenika ciasno zapięte pod szyją habity zakonnice. Pada płodny deszcz. Prawdziwy łańciński deszcz.

Mateusz Kolumb patrzy, jak pada młody i świeży deszcz. Pada deszcz i z rozmiękłego błota wynurzają się skarby Starożytności. Jest to deszcz archeologiczny. Pod stopami ukazuje się nagle dawna świetność. Pada deszcz i to wystarcza, by historyczna ziemia zaczęła wyrzucać z siebie marmury, książki, monety. Wszystko na powierzchni staje się w porównaniu pospolite, a nawet wręcz wulgarne. Pod płataniną ulic czysto przypadkowych i jak gdyby po prostu wydeptanych, pod nędznymi skupiskami domów woda odkrywa i obnaża dawne i wspaniałe Cesarstwo, które prędzej czy później będzie ekshumowane. Pada deszcz i z wnętrza ziemi znów się wyłaniają Dobro, Piękno i Prawda. Pada deszcz i rozplývają się pod nim w błoto kondotierzy, a na ich miejsce na powrót się wznosi duch Scypiona czy też Fabiusza.

Wypędzony ze swojej słodkiej, nowo odkrytej ziemi, wygnany z raj, zamknięty w celi, daleko, bardzo daleko od "Ameryki" - od swojej Ojczyzny - Mateusz Kolumb patrzy, jak za oknem pada deszcz.

Anatom patrzy na deszcz, który dla niego - jeśli nie zdarzy się cud - pada już po raz ostatni.

II

W dniu 25 marca 1558 roku, poprzedzona pięcioosobową banderią i w asyście pięciu uzbrojonych gwardzistów, zjechała do Padwy komisja, której przewodniczyli kardynał Caraffa i osobisty wysłannik kardynała Alvareza de Toledo. Przybyłych zakwaterowano na uniwersytecie, po czym Ich Eminencje postanowiły przeznaczyć trzy dni przed rozpoczęciem procesu na szczegółowe zapoznanie się ze sprawą. Dziekan chciał oddać do dyspozycji sądu największą aulę, gdzie wykładano anatomię, lecz gościom wydała się ona zbyt duża na tak skromną liczbę uczestników. W skład trybunału miało wejść tylko trzech sędziów: kardynał Caraffa, ksiądz Alfonso de Navas - pełnomocnik kardynała Alvareza de Toledo - i przedstawiciel Świętego Oficjum w Padwie. Oskarżać miał osobiście dziekan, natomiast oskarżony mógł liczyć tylko na siebie i na swój memoriał. Poza tym przewidziano jeszcze dwóch albo trzech świadków. Tak więc Ich Eminencje uznały, że zwykła aula aż nadto wystarczy.

III

Dnia 28 marca 1558 roku rozpoczął się proces. Zgodnie z procedurą Wysoki Sąd powinien najpierw wysłuchać zeznań świadków oskarżenia, później oddać głos prokuratorowi, a na końcu pozwolić, by oskarżony odpowiedział na przedstawione zarzuty. Sędziowie jednak chcieli, by proces przebiegał możliwie jak najsprawniej, i postanowili, że świadkowie będą obecni na sali, ale bez prawa głosu. Ich zeznania zostaną wcześniej spisane w notarialnej formie. Jeżeli w trakcie procesu cokolwiek w nich zmienią, będą oskarżeni o krzywoprzysięstwo. Notariusz uniwersytetu, Dario Renni, miał więc przesłuchać świadków, sporządzić protokół i później osobiście odczytać go przed sądem.

Zeznania świadków

Dowód pierwszy

Zeznanie prostytutki, która twierdzi, że padła ofiarą czarów anatoma.

Dario Renni stanął przed sędziami i jął czytać pierwsze zeznanie.

“Ja, Dario Renni, przystępuję do spisania zeznań złożonych przez prostytutkę z pierwszego piętra w Taverna del Mulo. Zeznająca mówi, że nazywa się Calandra, ma siedemnaście lat i na stałe mieszka we wspomnianym burdelu.

Zeznająca oświadcza, że dnia czternastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego szóstego roku na piętro owej tawerny wszedł pewien mężczyzna o groźnym spojrzeniu i zażądał, by go obsłużono. Pokazano mu wszystkie mieszkanek domu, a on postanowił współżyć z jedną, która się nazywała Laverda, z góry zapłacił, choć niewiele, bo była to kurwa już stara i niezupełnie zdrowa, po czym zabrał ją z sobą do osobnej izby. Zeznająca mówi, że później ów mężczyzna wyszedł z izby sam, bez rzeczony Laverdy, i pośpiesznie opuścił lupanar.

Zeznająca twierdzi, że bardzo się zaniepokoiła o swoją koleżankę, bo nie widziała jej wychodzącej, a z izby żaden głos nie dobiegał. Mówi, że weszła do izby i ujrzała ową Laverdę, jak leży obok łóżka. Z początku pomyślała, jak mówi, że wspomniany mężczyzna był niezadowolonym klientem, który chciał ukarać rzeczony Laverdę, bo źle go obsłużyła albo ponieważ była stara i bez zębów. Zeznająca nie zauważyła jednak na jej ciele żadnych śladów po nożu ani po uderzeniu jakiś innym narzędziem.

Zeznająca mówi, że gdy jej koleżanka ocknęła się z omdlenia, opowiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło. Wedle tego, co zeznająca mówi, że usłyszała, klient ów dał rzeczony Laverdzie swój członek do oblizania, a gdy ta jego życzenie spełniła, ujrzała, że ma przed sobą diabła, który żąda jej miłości i duszy. Później owa Laverda musiała pono płynąć po rzece Charona i widziała wiele lubieżnych demonów, które wpychały jej swe długie członki we wszystkie otwory ciała, ponieważ była zepsuta i rozwiązłą kobietą.

Zeznająca twierdzi, że nie uwierzyła owej Laverdzie, bo była to kurwa bardzo już stara, a na dodatek syfilis rozum jej pomieszał.

Jednak za tydzień ów mężczyzna znów się pojawił na pierwszym piętrze wspomnianej tawerny i zażądał, by go obsłużono. Pokazano mu wszystkie mieszkanek tego domu i tym razem wybrał on zeznającą, która była kurwą dość drogą, bo dobrze się prezentowała i niczego jej nie

brakowało. Zeznająca mówi, że klient jej się spodobał, bo wygląd miał przyzwoity mimo groźnego spojrzenia, a zatem obsłużyła go chętnie i bez wstrętu.

Zeznająca mówi, że klient podciągnął swą suknię powyżej pasa i wydobyl na wierzch swój członek, który był twardy i wyprostowany. Wsunął go do ust zeznającej, a ta twierdzi, że zajęła się nim według reguł sztuki i z jak największym staraniem. Pono w tym właśnie momencie padła ofiarą uroku i pożalowała, że słów Laverdy nie wzięła sobie do serca.

Zeznająca twierdzi, że był to diabeł we własnej osobie, który żądał jej miłości i duszy. Następnie ujrzała całe mnóstwo demonów, które służyły owemu przeklętemu, i wszystkie te okropne bestie na rozkaz swego pana wpychały po kolei gigantyczne członki w dziurę między pośladkami zeznającej, co było dla tejsze wielkim bólem i męczarnią. Słyszała wtedy, jak pan owych bestii mówił, że tych straszliwych tortur uniknie, gdy odda mu swoją miłość i duszę. Zeznająca twierdzi, że ów pan piekielnych bestii żądał od niej miłości, bo była złą kobietą, a jej dusza miała do niego należeć, ponieważ ona sama żyła z cielesnego grzechu. Zeznająca zapewnia, że mimo mąk nie zgodziła się mu oddać swej miłości, bo przyjmowała zawsze święte sakramenty i jej miłość oraz dusza do Boga tylko należały.

Po zobaczeniu Mateusza Kolumba zeznająca oświadcza, że to on był owym mężczyzną”.

Dowód drugi

Zeznanie myśliwego, który twierdzi, że widział anatoma w towarzystwie bestii piekielnych.

“Ja, Dario Renni, notariusz uniwersytetu w Padwie, przystępuję do spisania zeznań złożonych przez osobę, która twierdzi, że nazywa się A, ma dwadzieścia pięć lat i mieszka wraz z żoną i czwórką dzieci w przyklasztornym folwarku.

Zeznający oświadcza, że gdy był na polowaniu w lasach przylegających do opactwa, ujrzał pewnego mężczyznę, któremu towarzyszył kruk. Mężczyzna ów niósł na plecach duży worek i wkładał do niego różne padłe zwierzęta, które mu kruk po drodze wyszukiwał. Zeznającemu wydało się to nader osobliwe, więc postanowił pójść za nim, choć nie bez lęku i kryjąc się między drzewami, bo ów mężczyzna wyglądał jak diabeł we własnej osobie. Wspomniany mężczyzna wszedł do starej, zrujnowanej i opuszczonej chaty, gdzie wysypał z worka jego odrażającą zawartość. Zeznający mówi, że przez okno widział, jak rzeczony mężczyzna karmi kruka przyniesioną padliną. Ze zgrozą też zobaczył na stole dwie straszliwe bestie: psa, który zamiast sierści miał pióra, i kota z rybią łuską. Zeznający mówi, że gdy mężczyzna dotknął tych potworów, zaczęły się ruszać jak oszalałe.

Po zobaczeniu Mateusza Kolumba zeznający oświadcza, że to on był owym mężczyzną”.

Dowód trzeci

Zeznanie chłopki, która twierdzi, że padła ofiarą czarów anatoma

“Ja, Dario Renni, notariusz uniwersytetu w Padwie, przystępuję do spisania zeznań złożonych przez osobę, która twierdzi, że nazywa się A, ma lat siedemnaście i jest żoną B. Zeznająca mieszka wraz z mężem w folwarku, który graniczy z opactwem. Majątek ten jest zarządzany przez C., który to wszystko poświadcza. Zeznająca pod przysięgą stwierdza, że zna Mateusza Kolumba, i na dowód podaje jego szczegółowy opis. Mówi, że zna również jego celę na uniwersytecie i potrafi ją dokładnie opisać.

Zapytana, w jaki sposób poznała anatoma, zeznająca oświadcza, że po raz pierwszy zobaczyła go w towarzystwie brata D, a było to w pobliżu opactwa, przy płocie, który jest granicą folwarku. Zeznająca mówi, że anantom i wspomniany zakonnik weszli na teren folwarku i dość długo się po nim kręcili, zaglądając do warsztatu, kuchni, piekarni, spichrza i obory. Następnie rozstali się i zakonnik wrócił do opactwa, czego jednak zeznająca z całą pewnością nie wie, bo straciła go z oczu za błotem. Anantom podszedł do zeznającej, która w tym czasie piekła chleb w piekarni, i zapytał ją o jej męża, przedstawivszy się naprzód z imienia i nazwiska. Zeznająca poszła wtedy po męża, który naprawiał coś w opactwie, bo był to dzień obowiązkowych robót. Anantom przez dłuższą chwilę rozmawiał z mężem zeznającej, a ta, choć słów poszczególnych nie słyszała, z różnych oznak mogła wywnioskować, że mowa była o niej. Później mąż poszedł do administratora i sam na sam zaczął się z nim naradzać. Zeznająca widziała, jak potem anantom dawał pieniądze administratorowi, który zgodził się, by zeznająca wyszła z folwarku w towarzystwie i pod opieką owego właśnie Mateusza Kolumba.

Zeznająca mówi, że gdy wieczór zapadł, została po kryjomu wprowadzona do piwnic uniwersytetu, gdzie znajdowało się całe mnóstwo trupów. Anantom kazał jej się rozebrać i położyć na zimnym, marmurowym stole. Później zażądał, by rozsunęła nogi, a gdy to uczyniła, rozwarł palcami szparę w jej przyrodzeniu i wpuścił tam diabła. Zeznająca twierdzi, że omal od zmysłów wtedy nie odeszła z rozkoszy, jakiej nigdy dotąd jeszcze nie odczuła, i że nie ona była temu winna, lecz zły duch, który między jej nogi się wślizgnął. Mówi, że słyszała, jak anantom każe owemu synowi Bestii rozkochać w sobie duszę zeznającej, a w jej ciele rozpalić ogień jak pod ogromnym kotłem. Zeznająca mówi, że zakochała się wtedy w owym straszliwym demonie i w jego panu, który swego sługę palcem prowadził po zakamarkach jej sromu. Zeznająca twierdzi, że od tego

czasu przestała już czerpać przyjemność z członka swego męża, nad jej ciałem bowiem ów zły duch objął władzę”.

Oskarżenie

Akt oskarżenia wobec Mateusza Kolumba

Mowa Alessandra di Legnano przed Komisją Doktorów Kościoła

- Oto jesteśmy świadkami, jak Szatan powraca na ziemię. Wszędzie można go spotkać. Gdziekolwiek oczy zwrócicie, tam on jest i jego plugawe dzieło. Jesteśmy świadkami, jak spełnia się proroctwo świętego Jana: diabeł, którego anioł związał łańcuchem i wtrącił do Czeluści na tysiąc lat, teraz właśnie, po dziesięciu wiekach, uwolnił się i wrócił. Jest wśród nas! Spójrzcie tylko! Spójrzcie wokół siebie! Oto dziś wszyscy wygrzebują dawnych bogów. Czyżby Wenus miała zastąpić Najświętszą Marię Pannę? Czyżbyśmy znów mieli czcić Bachusa i zapomnieć o świętym Janie Chrzcicielu? Wystarczy spojrzeć na kościoły: pełne są pogańskich bałwanów! Pytam się więc: czego się można spodziewać dla ludzkości, która dom Boży zmieniła w siedlisko Szatana? Idźcie na byle plac albo jarmark i posłuchajcie głupot, które się tam opowiada! Czym się one różnią od prozy nowych "literatów", którzy nawet nie znają łaciny ani greki? Indolencja, rozwiążność, wulgarne anegdoty, nieprzystojne żarty i wszelkiego rodzaju bezeceństwa - oto jest dzisiejsza literatura! Uwaga! Szatan krąży wśród nas. Nadszedł czas, kiedy syn powstał przeciw ojcu, a uczeń przeciw mistrzowi. Powinniście zobaczyć ową zgraję niewydarzonych anatomów na uniwersytecie, którym ja kieruję! Za nic mają nauki i słowa profesorów! Nikt już nas nie słucha z szacunkiem i w milczeniu. Więcej nawet: prosto w nos nam się śmieją! O Bogu mówią równie lekko i bez ceremonii, jak gdyby rozprawiali o kielkowaniu jarzyn! Dziś łatwo jest każdemu być ateuszem. Dziś Boga odrzucić, to jakby danie niesmaczne kazać sprzątnąć ze stołu. Mówię wam: bądźcie czujni! Diabeł się wyrwał z niewoli i pośród nas krąży.

Dziś diabeł się ubrał w szaty nauki. Dziś fałszywi prorocy nazywają siebie uczonymi i artystami. Czy mamy założyć ręce i czekać, aż ci wszyscy nowi malarze, rzeźbiarze i anatomowie sporządzą z najczystsze marmuru posąg Lucyfera i zechcą nim na ołtarzach zastąpić Pana naszego Jezusa Chrystusa?

To od nas, chrześcijan, zależy, czy jutro będziemy umieli odróżnić Prawdę od farsy.

Oskarżam podsądnego o krzywoprzysięstwo, bo sprzeniewierzył się temu, co przyrzekł. Przypomnę wam tutaj, co oskarżony ślubował w owym dniu, gdy otrzymał tytuł lekarza:

"Przysięgam, Boga biorąc na świadka, że przysięgi tej i następujących zobowiązań wedle sił moich i najlepszej woli dopełnię. Mojego nauczyciela w sztuce lekarskiej na równi z rodzicami szanować będę, mienie swoje z nim podzielę, a gdy w potrzebie się znajdzie, zawsze mu z pomocą

pośpieszę. Dzieci jego za rodzonych braci uważać będę, a na żądanie sztuki lekarskiej je wyuczę, bez wynagrodzenia i jakiegokolwiek z ich strony zobowiązania. Prawidła sztuki, wykład jej ustny i całą naukę właściwą wygłaszać będę moim synom, mojego nauczyciela synom i innym przysięgą lekarską związanym uczniom; oprócz tych, nikomu więcej. Sposób życia będę urządzać chorym dla ich dobra podług sił moich i zdolności; nigdy ich nie skrzywdzę i sam od krzywdy strzec ich będę. Nigdy nikomu, nawet na jego żądanie, nie podam trucizny ani nie będę doradzał, by sam po nią sięgnął. Nie udzielę żadnej niewieście środka poronnego. W czystości i niewinności świętej zachowam swoje życie i sztukę. Do jakiegokolwiek domu wejdem, chcę tam wejść tylko dla pożytku i dobra chorego; nigdy mną nie będzie kierować rozmyślnie bezprawie lub występki, czynów lubieżnych z nikim też nie popełnię, ani z mężczyzną, ani z kobietą, ani z człowiekiem wolnym, ani z niewolnikiem. Cokolwiek w czasie leczenia i poza nim zobaczę i usłyszę, a będzie to związane z osobą pacjenta i powtarzane być nie powinno, tego nikomu nie powiem i w tajemnicy zachowam. Jeśli tej przysięgi dotrzymam i w niczym jej nie naruszę, niech mi będzie dane wieść życie szczęśliwe i w poważaniu wśród ludzi oraz korzystać z owoców mej sztuki aż po najodleglejsze czasy. Jeśli natomiast przysięgę tę złamię, niech mi się stanie odwrotnie”.

Oskarżam podsądnego o krzywoprzysięstwo, bo ani jednego z tych słów nie dotrzymał. Zhańbił i sprofanował swój zawód, którego się tutaj, w tym domu, wyuczył.

Oskarżam podsądnego o czary i satanizm. Wszystko, co mógłbym tutaj powiedzieć, jest niczym wobec niezbitych dowodów. Słyszeliście przecież zeznania świadków; czytaliście wszystkie akta; widzieliście malunki, które oskarżony własnoręcznie wykonał. Najbardziej jednak przekonującym dowodem są słowa samego oskarżonego. Odkrycie, do którego rości pretensje, jest diabelskim kłamstwem. Jakże inaczej można nazwać ów Amor Veneris? Oskarżony twierdzi, że odkrył organ, który rządzi wolą, miłością i rozkoszą u kobiet; jakże można stawiać na równi wolę duszy i cielesną rozkosz? Czyż nie jest satanistą ów zuchwalec, który Szatana chce wynieść na miejsce przynależne Bogu?

Gdy się zaś rzecz rozważy z punktu widzenia samej anatomii, czym jest ów tak zwany Amor Veneris? Czyż nie są to tylko puste słowa? Możecie gruntownie przebadać kobiece genitalia i na pewno w nich nie znajdziecie żadnego Amor Veneris. Nie ma tam żadnego organu, którego by już wcześniej nie opisali taki Rufus z Efezu, Avicenna albo Julio Polux. Być może Amor Veneris to nic innego jak nymphae, o których mówi Berengarro, albo praputio matrices, opisana już w X wieku przez arabskiego lekarza, Haliego Abbasa. Mówię wam: są to słowa i nic tylko słowa. A może owym “odkryciem” oskarżonego jest tentigenem, o którym wspomina Abul-Kassim? Słowa, diaboliczne słowa!

Pozwolę teraz, żeby sam podsądny się oskarżył. W jego słowach i w tym wszystkim, co na swoją obronę przytoczy, znajdziecie najlepsze dowody, że prawdą są moje zarzuty.

Obrona

I

Na 3 kwietnia wyznaczono dzień, w którym oskarżony miał odpowiedzieć na przedstawione mu zarzuty. Mateusz Kolumb wszedł do auli, w której zasiadał Wysoki Sąd, i towarzyszyło mu tylko przekonanie o własnej racji; na nic innego nie mógł liczyć. Ubrany był w wełniane lucco, ramiona okrył szalem, a foggia na głowie pół twarzy mu zasłaniała. Zdjął ją tylko na chwilę, gdy przechodził przed sędziowskim stołem. Po prawej stronie komisji siedział oskarżyciel, Alessandro di Legnano. Kardynał Caraffa przypomniał zarzuty, które ciążyły na osobie Mateusza Kolumba, i dopełniwszy tej formalności, nakazał, by oskarżony natychmiast rozpoczął swą obronę.

Wszystkie spojrzenia zbiegły się na zgnębioj postaci anatoma. Stojąc samotnie przed sądem, Mateusz Kolumb nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Gdy był uwięziony w swej celi, obmyślił dziesiątki sposobów, w jakie mógłby się bronić; teraz żaden nie przychodził mu do głowy.

II

Wystąpienie Mateusza Kolumba przed Komisją Doktorów Kościoła

- Choć nie są to może po temu najlepsze i najszcześniejsze okoliczności, chciałbym na wstępie zapewnić, że owo zainteresowanie, z jakim Wasze Ekszelencje raczyły się odnieść do mojej pracy i badań, jest niezwykłym zaszczytem dla mej skromnej osoby. Mówię to w głębokim przeświadczeniu, że przy innej, bardziej dla mnie łaskawej okazji, Wielmożni Panowie chętnie by objęli swą nieocenioną protekcją me dzieło i odkrycie, którego dokonałem. Należę do ludzi, którzy święcie wierzą, że wszystkie sprawy związane z ciałem winno się zawsze rozpatrywać w świetle teologii, bez Boga bowiem nic nie mogłoby istnieć. Zadaniem anatoma jest badać dzieło Wszechmogącego i w ten sposób głosić Jego chwałę. Wy, Wielmożni Panowie, doskonale wiecie, że staliście się znakomitymi teologami nie tylko przez wiarę; lecz również dzięki rozumowi przez wiarę tę oświeconemu. Każde słowo, które przeczytaliście w mej książce, opiera się wyłącznie na wierze i rozumie. Chcę przez to powiedzieć, że dla mnie Pismo Święte nie jest jedynie wydrukowaną książką. Za każdym razem, gdy badam ludzkie ciało, widzę w nim dzieło Najwyższego. W każdym cielesnym organie mogę odczytać Słowo Boże i wtedy dusza moja wzlatuje ku niebiosom.

Nim rozpocznę swój wywód, chcę raz jeszcze dać wyraz nadziei, że po wysłuchaniu mych słów Wasze Ekszelencje życzliwym okiem spojrzą na moje odkrycie i na książkę, *De re anatomica*, która jest jego świadectwem.

Wiem, że niektóre z moich twierdzeń, gdy je oskarżyciel przytaczał, mogły się wam wydać zuchwałym i niebezpiecznym urojeniem. Owszem, z mych anatomicznych badań da się na pewno wysnuć takie czy inne koncepcje moralne: gdy się coś twierdzi o ciele, muszą z tego wynikać jakieś wnioski o duszy. Moje odkrycie dotyczy anatomii, badam bowiem konkretne organy w ludzkim ciele i wyjaśniam ich funkcję. Nie mnie rozstrzygać, jakie to może mieć konsekwencje dla metafizycznej teorii. Niech się tą sprawą zajmą mądrzy filozofowie. Jestem tylko skromnym anatomem, który bada dzieła naszego Stwórcy, żeby w ten sposób móc goręcej Go wielbić.

Jeszcze raz zapewniam - i sami się przekonacie, kiedy skończę ten wywód - że nic w mojej książce ani w tym, co powiem, nie przeczy Pismu Świętemu. Wprost przeciwnie, zawsze się kierowałem - i nadal to czynię - Prawdą zawartą w Bożym Słowie.

A teraz, dla większej jasności i żeby łatwiej mi było rzecz całą akuratnie wyłożyć, chciałbym dalszy wywód podzielić na dziewiętnaście części.

Część pierwsza

Dlaczego kinesis nie jest atrybutem duszy, tylko ciała

- Pozwólcie mi rozpocząć od krótkiej dygresji na temat ciała i jego podstawowych funkcji. Chciałbym przedstawić kilka moich najciekawszych ustaleń.

W tym miejscu anatom celowo zrobił długą pauzę, żeby przyciągnąć uwagę członków komisji.

- Zechciejcie spojrzeć na owe automaty - rzekł w końcu, wskazując na okno, za którym widać było wieżę zegarową. Dokładnie wtedy, jak gdyby to sobie z góry wyliczył, rozległy się pierwsze uderzenia dzwonów. - Przyjrzyjcie się ruchom tych postaci z brązu - powtórzył z naciskiem i nie tylko udało mu się rozbudzić ciekawość u czcigodnych doktorów, lecz wyglądało to również, jak gdyby ich podporządkował swej woli. - Przypatrzcie się tym postaciom, które uderzają w dzwony, a także zegarowi pośrodku, bo właśnie: o tym chcę mówić: o ruchu. Na początek powiem tylko, że cała ta precyzyjna i punktualna maszyna nie różni się niczym od zasady, która rządzi ruchem naszych własnych ciał.

Podobnie jak owe automaty, jesteśmy stworzeni z materii i ta materia odpowiada określonej formie. Podobnie też jak w automatach, materię tę ożywia pewna forma kinesis, która wprawia ją w ruch. To jest właśnie punkt styyczny między anatomią i filozofią, bo na pytanie, co rządzi ruchem ciała, istnieje chyba tylko metafizyczna odpowiedź.

- Wiadomo przecież, że dusza rządzi ruchem ciała; oskarżony nie mówi nam nic nowego...

- Zmuszacie mnie, bym wybiegł naprzód w tym moim wykładzie. Na razie więc tylko powiem, że niestety nie mogę z wami się zgodzić. Dusza nie ma nic wspólnego z całą tą mechaniką, podobnie jak żadna dusza nie rządzi maszyną zegara. Pragnąłbym jednak, byście mi pozwolili przedstawić rzecz po kolei i w takim porządku, jaki obmyśliłem. Zanim wyjaśnię swój pogląd o duszy, chciałbym przypomnieć me wcześniejsze odkrycie, którego na szczęście nikt jeszcze nie zakwestionował. Mówię teraz o krążeniu płucnym. Udało mi się zbadać, w jaki sposób serce, rozszerzając się, ściska w swych komorach krew, która szuka wtedy dla siebie większego pomieszczenia i z impetem wypływa z prawej komory do tętnicy płucnej, z lewej natomiast do aorty. Kiedy później serce z powrotem się kurczy, nowa krew wchodzi przez żyłę próżną do prawej komory i przez żyłę płucną do lewej. Na początku owych czterech kanałów istnieją specjalne zastawki, z których dwie pozwalają krwi wchodzić, pozostałe zaś dwie tylko wychodzić.

Część druga

O fluidach kinetycznych

- Pozwólcie mi teraz wyjaśnić, w jaki sposób się poruszają poszczególne części i narządy ciała, i przekonacie się, że kinesis mięśni nie zależy bynajmniej od duszy, lecz jest jak najbardziej cielesna. Na początku chcę wam opisać pewne drobniutkie cząsteczki, które znajdują się w krwi i które nazwałem “fluidami kinetycznymi”*. (*Opisywane przez Mateusza Kolumba “fluidy kinetyczne” są zaskakująco podobne do “materialnych impulsów”(esprits animaux), o których mówi Kartezjusz w Namietnościach duszy. Jest całkiem prawdopodobne, że francuski filozof inspirował się dziełem Mateusza Kolumba.) To właśnie one, poruszając się z ogromną prędkością, przedostają się z krwi, która wypływa z mózgu, do nerwów łączących się z muskulaturą. Mięśnie znają tylko dwie formy ruchu: skurcz i rozkurcz. Gdy jeden mięsień się kurczy, drugi w tym samym czasie musi się rozciągnąć; oba zaś przedtem otrzymują, choć w różnej proporcji, trochę owego fluidu, który przychodzi z mózgu. Nie ma to nic wspólnego z metafizyką, bo jak już powiedziałem, owe fluidy kinetyczne są uczynione z materii. Owa materia, gdy napełnia mięśnie

albo z nich ubywa, zmusza je do skurczu bądź też do rozkurczu. To jest właśnie zasada cielesnego ruchu: fluidy kinetyczne, które wypełniają mięśnie i każą im się rozszerzać lub kurczyć. Muszę jednak powiedzieć, że na razie opisałem samą podstawę kinesis. Teraz powinienem wyjaśnić, jak zbudowane są nerwy, które powodują, że cały ten mechanizm nie działa bezładnie, lecz w sposób celowy i uporządkowany. Równocześnie będzie to moja obrona przed zarzutami jednego ze świadków Waszej Eksceleencji - tu Mateusz Kolumb zwrócił się do dziekana - który twierdzi, że widział mnie w towarzystwie bestii piekielnych, od czego niech Bóg mnie uchwata.

Część trzecia

O bestiach piekielnych

Anatom podszedł do swego krzesła, po czym wrócił na środek sali z workiem przerzuconym przez ramię.

- Oto jest worek, o którym mówił myśliwy - rzekł, pokazując ów przedmiot komisji. - Dla nikogo nie jest przecież tajemnicą, że co dzień rano chodzę do lasu przy folwarku, gdzie zbieram padłe zwierzęta, by je później rozcinać i badać. Lecz nie chciałbym was teraz odwozić od tematu. Pozwólcie mi uczynić pewną demonstrację, która najlepiej zilustruje to wszystko, co rzekłem o ruchu - powiedział i zaczął rozwiązywać worek. W tym momencie myśliwy, który już złożył zeznania, lecz wciąż siedział w auli razem z innymi świadkami, zerwał się na nogi i jął pytać, czy nie mógłby już pójść sobie. Oczywiście doktorzy kazali mu zostać, lecz sami też nieufnie patrzyli na anatoma i z wyraźną obawą czekali, co wyciągnie z worka. W auli pomału narastał niespokojny szmer. Mateusz Kolumb wsadził rękę do worka, a kiedy ją wyjął, podniósł się ogólny rwetes. Myśliwy zaczął wrzeszczeć w panice:

- To właśnie ten diabeł! To jego widziałem! Na stos! Weźcie go na stos!

Anatom trzymał za łapy straszną rzeczywiście bestię. Był to jakby wilk z dwoma potężnymi kłami, które wystawały przed pomarszczone wargi. Łeb miał porośnięty czerwonymi piórami, przez co sprawiał wrażenie, że zionie z pyska ogniem; tułów zaś okrywała mu złota łuska. Na grzbiecie miał dwie płetwy niczym ryba. Świadkowie, oskarżyciel i sama komisja - wszyscy byli gotowi rzucić się do ucieczki, zwłaszcza gdy zobaczyli, że anatom stawia na podłodze bestię, a ta otwiera dwa ogromne skrzydła i zaczyna ryczeć jak lew.

Niewiele też brakowało, by z Mateuszem Kolumbem na miejscu się rozprawiono, tyle że nikt nie odważył się zbliżyć do niego i do bestii.

- Nie bójcie się. Myśliwy wziął za diabła właśnie tę zabawkę. Sami zobaczcie, że to tylko zwykła i nieżywa materia - rzekł anatom, podnosząc straszdyło i pokazując je sędziom, którzy przezornie cofnęli się za stołem. - Nic sama nie może zrobić, bo jest tylko martwą substancją. Ja sam ją skonstruowałem. Zobaczcie. To przecież wypchany wilk, którego oskubałem z sierści i na jej miejsce, do porów w skórze, powtykałem pióra koguta, a część tułowia pokryłem naklejonymi rybimi łuskami, pomalowałem je później na złoto. Płetwy i skrzydła przyszyte są igłą i nitką.

- Wszyscy przecież widzieliśmy, jak ta bestia sama się poruszała i wydawała przy tym przeraźliwe dźwięki.

- O to mi właśnie chodziło w tej mojej demonstracji. Jeśli mi pozwolicie, na przykładzie tej sztucznej bestii zaraz wam wyjaśnię, jak powstaje ruch. Otóż nikomu nie przyszłoby do głowy, że automaty, które na wieży wybijają godziny, są jakimiś diabelskimi bestiami. Również ta moja zabawka nie ma nic wspólnego z diabłem. Zasada, która rządzi jej ruchem, jest taka sama jak w owych automatach - i znów pokazał na zegar za oknem. - Popatrzcie.

Anatom wziął zwierzę za grzbiet, podniósł je i manipulował przez chwilę pod jego brzuchem. Z powrotem postawił je na podłodze i w auli znów się zrobiło istne pandemonium. Potwór zaczął biegać jak oszalały, wymachiwał skrzydłami i od czasu do czasu wydawał budzące grozę dźwięki.

- Nie bójcie się. Nic wam nie zrobi.

- Zatrzymaj natychmiast tę diabelską bestię! Złap ją!

Anatom posłusznie chwycił zwierzę za kark i znów coś nacisnął pod jego brzuchem. Straszdyło od razu znieruchomiało i stało się bezwładne jak trup. Trzymając bestię za łapy, Mateusz Kolumb dalej ciągnął swój wykład:

- Przed chwilą mogliście zobaczyć, że kinesis wcale nie zależy od duszy. Ta sztuczna bestia chodzi, wydaje dźwięki i porusza skrzydłami zupełnie jak prawdziwe zwierzę. Stworzenie to - którego oczywiście nie ma w naturze - jest dobrą, choć bardzo prymitywną imitacją zasady rządzącej ruchem, w tym również ruchem naszych własnych ciał. Skonstruowałem je wyłącznie po to, by udowodnić słuszność mej teorii.

Część czwarta

O automatach

- Wyjaśnię wam teraz, jak funkcjonuje to sztuczne zwierzę. Przed chwilą powiedziałem, że nerwy działają na mięśnie, przekazując im ruch. - Anatom poszukał pod brzuchem bestii małego

pierścienia z brązu; pociągnął za niego i otworzyła się wtedy klapka na zawiasach. - Nasze nerwy zbudowane są z dwóch elementów: z zewnętrznej powłoki i z rdzenia. W ten sposób najważniejsza część nerwu znajduje się jakby w pochwie czy też futerale. Skurcz mięśni jest niczym innym jak skutkiem ściągnięcia się nerwu: gdy szarpniemy z jednej strony za sznurek, musi się też poruszyć przedmiot uwiązany do drugiego końca. Tak właśnie poruszają się mięśnie. W naszym ciele jest niezliczona liczba nerwów, które kierują najdrobniejszymi ruchami. Mnie udało się tę zasadę odtworzyć za pomocą zaledwie dwudziestu "sztucznych nerwów", które sporządziłem z drutu obleczonego baranim jelitem. Tak więc moje zwierzę jest zdolne do dwudziestu rozmaitych ruchów. W sumie nie różni się to niczym od mechanizmu zegara. - To rzekłszy, pokazał sędziom otwarte wnętrze swego automatu. - Widzicie tu sprężynę, która się rozkręca i przekazuje swój ruch poszczególnym częściom zabawki dzięki całemu systemowi wspomnianych już drutów. Oczywiście jest to tylko nieudolna imitacja, lecz dość wiernie obrazuje ową zasadę, o której wam mówię. Skonstruowałem ponad dziesięć takich automatów i zawsze się wzorowałem na prawidłowościach, które mogłem zaobserwować w funkcjonowaniu ciał żywych i w wewnętrznej budowie ciał martwych.

- Posłuchajcie tylko, jak oskarżony uzurpuje sobie miejsce przynależne Bogu i chce działać jak nasz Stwórca! - wykrzyknął gniewnie dziekan, podskakując na krześle i celując palcem w anatoma.

- Wasza Ekscelencja się myli - powiedział łagodnie Mateusz Kolumb. - My, anatomowie, ograniczamy się do tłumaczenia Bożych dzieł i jeżeli udaje nam się wyjaśnić coś, co dotąd pozostawało w mroku, niczemu innemu to nie służy, jak tylko większej chwale Boga. Nauka, tak jak ja ją pojmuję, jest najlepszym sposobem, by zrozumieć stworzenie, a więc tym samym wielbić jego Stwórcę. Moje proste maszyny są tylko nędzną imitacją, jeśli je porównać z dziełem Najwyższego, i skonstruowałem je wyłącznie po to, żeby uczynić bardziej zrozumiałą choćby maleńką część Bożego stworzenia.

- Słowa, puste słowa! - przerwał mu dziekan. - Na własne uszy słyszeliście, do czego się przyznał oskarżony!

Z krzywym uśmiechem Alessandro di Legnano ciągnął dalej pełen złośliwej satysfakcji i przekonany, że rzuca miazdzący argument:

- Oskarżony sam powiedział, że zanim sporządził te swoje idiotyczne zabawki, oglądał i badał martwe ciała. Nie muszę wam chyba przypominać, że Bonifacy VIII specjalną bullą zabronił sekcji zwłok i że ten zakaz do dziś obowiązuje.

- Wdzięczny jestem Waszej Ekszelencji za to oświadczenie, że moje zwierzę nie jest bestią piekielną, lecz tylko niewinną, choć może idiotyczną zabawką. Właśnie to chciałem udowodnić. Tak więc sam oskarżyciel z własnej woli dyskredytuje zeznanie swego świadka.

Dziekan, czerwony z wściekłości, nie umiał znaleźć żadnej odpowiedzi i ograniczył się do nienawistnych spojrzeń, którymi obrzucał biednego myśliwego, jak gdyby to on był winien tym nieprzemyślanym słowom oskarżyciela.

- Jeżeli zaś chodzi o bullę, o której mówi Wasza Ekszelencja, pozwolę sobie na małe sprostowanie: nie zabrania ona samej sekcji zwłok, lecz tylko ich "pozyskiwania", a to jest całkiem inna sprawa. Chciałbym też przypomnieć powód, dla którego papież Bonifacy VIII jak najbardziej słusznie zakazał owych praktyk, przy czym - powtarzam - nie chodziło mu wcale o sekcję jako taką, lecz o sposób, w jaki zdobywano zwłoki. Wiadomo poza tym, że wszystko się zaczęło na uniwersytecie, którym Wasza Ekszelencja kieruje, a dokładniej, w katedrze anatomii, którą dopiero później ja objąłem. W czasach, kiedy papież wydał ową bullę, w katedrze anatomii wykładał Marco Antonio della Torre i wszyscy chyba pamiętają, ile on wywołał skandali. Któż mógłby zaprzeczyć tym gorszącym faktom! Marco Antonio był ateistą pozbawionym najmniejszych skrupułów. Kroił trupy, nie bacząc na względy moralne, na prawo i na tym podobne - według niego - drobiazgi. Wszyscy też wiedzą, że zachęcał swych uczniów do zdobywania zwłok za wszelką cenę. Czegoż ci nie robili! Nie tylko płacili katom i grabarzom, lecz kradli też ciała z kostnic przy szpitalach, a nawet z publicznych szubienic ściągali ciepłych jeszcze wisielców. Mówi się również, że rozkopywali groby, a co gorsza, na żyjących patrzyli jak na przyszłe trupy i przebierali wśród nich jak między baranami w rzeźni. Wasza Ekszelencja wie dobrze, że mnie to wszystko nie dotyczy. Ja nie pozwalam swoim uczniom robić sekcji, a zwłoki, które sam wykorzystuję do tych celów, pochodzą wyłącznie z kostnicy. Poza tym - co też wszyscy wiedzą - nim dotknę nożem jednego ciała ludzkiego, dziesiątki ciał zwierzęcych najpierw rozcynam i badam. A wreszcie, nikt nie może przecież powiedzieć, że ta moja "bestia piekielna" przypomina choć trochę człowieka.

Część piąta

O ciałach żywych i martwych

- Opowiedziałem wam, jak funkcjonuje ciało, i jeśli pamiętacie, wspomniałem, że jego mechanika nie różni się niczym od podstawowej zasady, która rządzi automatami na tej oto wieży za oknem. Teraz powtarzam: z ruchami ciała dusza nie ma nic wspólnego.

- Czy oskarżony chce nam zasugerować, że kinesis nie jest atrybutem duszy?

- Nie tylko chcę zasugerować, lecz twierdzę to z całą stanowczością. Kinesis wcale nie zależy od duszy. Błąd wziął się z naiwnej obserwacji trupów. Widząc ludzkie zwłoki, jesteśmy skłonni mniemać, całkiem zresztą mylnie, że przyczyną śmierci było odejście duszy; tymczasem ja was zapewniam, że ciepło i ruch biorą się wyłącznie z ciała. Wystarczy się przyjrzeć temu oto zwierzęciu - powiedział anatom, wbijając spojrzenie w dziekana i dopiero po chwili wskazał ręką w kąt sali, gdzie kot bawił się karaluchem. - Wystarczy zobaczyć jego precyzyjne ruchy, dużo bardziej dokładne i sprawne niż nasze. Od razu oczywiste się staje, że dusza nie ma wpływu na kinesis. Chyba że chcecie obdarować duszą tę oto bestię. - Mateusz Kolumb wciąż wskazywał kota, lecz nie spuszczał wzroku z dziekana.

Dzekan był wściekły, lecz nie potrafił znaleźć żadnych argumentów przeciw. Widząc, że nikt nie protestuje, a przynajmniej nie umie jasno sformułować swych zastrzeżeń, anatom ciągnął dalej:

- Dusza opuszcza ciało, gdy nadchodzi śmierć, lecz powodem tejże jest wyłącznie zepsucie się narządów kierujących ruchem. A zatem ciało umiera nie dlatego, że opuściła je dusza, lecz ponieważ zepsuły się niektóre lub wszystkie jego organy. A teraz, gdy z grubsza już opisałem, jak funkcjonuje ciało, pozwólcie mi, bym rzekł parę słów o duszy, która w tym ciele mieszka.

Część szósta

O uczuciach duszy i o czynnościach ciała

- Dotąd mówiłem o ciele i nadal chciałbym przy nim pozostać, bo w ten sposób będę mógł wyprowadzić istnienie mieszkającej w nim duszy. Powiedziałem już, że kinesis nie jest funkcją duszy, lecz wyłącznie właściwością ciała. Zmierzając ciągle w tym samym kierunku, odważę się pójść jeszcze dalej i powiem, że aby wywnioskować istnienie duszy w ciele, trzeba odróżnić to, co jest związane z ruchem, od tego wszystkiego, co jest mu najzupełniej obce. Jeżeli zgodzicie się ze mną, że dusza nie ma nic wspólnego z rzeczami fizycznymi, lecz tylko i wyłącznie z metafizycznymi, musicie też przyznać, że ruch, kinesis, jest czymś jak najbardziej związanym z fizyką, bo dotyczy jedynie przedmiotów materialnych. Czynnościami naszego ciała rządzi właśnie owa kinesis. By odróżnić sprawy cielesne od spraw duchowych, powiem tylko, że jeśli przeciwstawimy czynności cielesne niematerialnej dziedzinie duszy, musimy stąd wywnioskować istnienie uczuć. Za uczucia uważam wszystkie akty woli, które nie są w żaden sposób powiązane z

ciałem. Swój początek i koniec mają w samej duszy i ciało w nich nie uczestniczy. Oznacza to, że dotykają jedynie duszy - są jej pasjami - i nie przejawiają się aktywnie w ciele. Nie wywodzą się z żadnego cielesnego organu i na żaden organ cielesny nie wpływają; ich źródłem jest dusza i tylko na nią skutkują. Dokonując tego rozróżnienia, mam na myśli czynności i uczucia w ich najczystszej postaci, istnieją bowiem uczucia, które wynikają z duszy, lecz wymagają również pewnych ruchów ciała. Ale i tak trzeba oddzielić uczucia od czynności, bo jeśli nawet te pierwsze przejawiają się w cielesnym ruchu, cel ich znajduje się w duszy; może to być na przykład modlitwa, gdy dusza chce okazać swoją miłość ku Bogu. W tym przypadku ciało jest tylko środkiem manifestowania się duszy i cel jego czynności w tejże duszy się mieści. Podobnie, choć w odwrotnym porządku, istnieją takie czynności ciała, które z niego samego wynikają i ku niemu są skierowane, lecz między ich początkiem i końcem interweniuje dusza, żeby przeszkodzić ich dopełnieniu. Mam tu na myśli czynności grzeszne, jak na przykład wtedy, gdy narządy płciowe zostają pobudzone, a dusza się wtrąca, by nie dopuścić do cielesnego grzechu. Tak samo, gdy ktoś ślubował pościć, a jego organy trawienne domagają się pożywienia, potrzebna jest interwencja duszy, by post nie został złamany.

Część siódma

O miłości i o grzechu

- By ten mój wywód wesprzeć jeszcze innym przykładem, powiem teraz parę słów o miłości i będzie to chyba najlepszą ilustracją. Mylnie się uważa, że do cielesnego grzechu popychają nas uczucia albo namiętności. Pokusa, która nas wiedzie do owego grzechu, nie ma nic wspólnego z uczuciami; grzech cielesny ma swe źródło w ciele, więc odpowiadają za niego czynności. Musimy zatem odróżnić miłość, która jest czystym atrybutem duszy, od popędu płciowego. Miłość jest uczuciem, a więc swoje źródło i cel ma w samej duszy; popęd płciowy zaczyna się i spełnia w ciele. Dla miłości nie ma żadnego specjalnego narządu, który by ją rozbudzał lub tłumiał, podczas gdy popęd płciowy jest wyraźnie umiejscowiony w ciele, zarówno pod względem swego źródła, jak i celu. Chyba się wszyscy tutaj ze mną zgodzą, że najczystsza miłością jest miłość skierowana ku Bogu.

Część ósma

O anatomii kobiet i o moralności mężczyzn

- Teraz, gdy już wam powiedziałem, co myślę o mechanice ciała, i w grubszych zarysach przedstawiłem swój pogląd na duszę, postaram się wytłumaczyć jedną z przesłanek, która kierowała mym piórem, kiedy pisałem *De re anatomica*. W dziele tym, które jest ukoronowaniem moich wieloletnich studiów, znaleźć można następujące stwierdzenie: "Jeżeli nauka o moralności zajmuje się postępowaniem mężczyzn, zachowanie się kobiet powinno być przedmiotem badań dla anatomii". Postaram się myśl tę wyjaśnić, a więc pozwólcie, bym zacytował mistrza Arystotelesa. Zapewne pamiętacie, co Filozof mówił na temat prokreacji. W swej *Metafizyce* Arystoteles tłumaczy, co jest rezultatem połączenia się dwóch przeciwnych płci: nasienie mężczyzny nadaje tworzącemu się bytowi tożsamość, istotę i ideę, podczas gdy kobieta dostarcza tylko materii, to znaczy ciała. Arystoteles powiada, że nasienie nie jest płynem materialnym, lecz całkowicie metafizycznym. Wedle słów Filozofa, sperma mężczyzny jest esencją, istotową postacią, która urzeczywistnia się w formalnej potencji przyszłego bytu. W nasieniu mężczyzny jest tchnienie, forma, tożsamość, a więc to wszystko, co z martwej rzeczy tworzy żywą materię. Mężczyzna jest tym, który daje rzeczy duszę. Nasienie ma w sobie ruch, który w nim wzbudził jego ojciec; nasienie jest wypełnieniem idei będącej formą samego ojca, co nie oznacza wcale przekazywania materii przez mężczyznę. W idealnych warunkach dziecko byłoby identyczne z ojcem. "Nasienie to organon, który posiada ruch zaktualizowany"* (*Arystoteles, *Metafizyka*, VII, 9, 1034b.) Nasienie nie jest częścią embrionu, podobnie jak żadna cząsteczka substancji nie przechodzi od cieśli do drewna, z którego powstaje stół. Żadna cząsteczka nasienia nie może wejść w skład formującego się płodu. Tak samo muzyka nie jest instrumentem ani instrument nie jest muzyką, niemniej jednak muzyka jest identyczna z wcześniejszą ideą u autora.

Część dziewiąta

O nieistnieniu duszy u kobiet

- Chcę wam powiedzieć, że jeśli z tej teorii wielkiego Arystotelesa wyciągniemy wszystkie logiczne wnioski, przekonamy się, że nie ma powodu, by zakładać istnienie duszy u kobiety.

Te słowa anatoma wywołały na sali poruszenie. Tu i ówdzie dały się słyszeć potakiwania i nawet wśród członków doktorskiej komisji można było zauważyć mimowolne gesty aprobaty.

- Anatema! - wrzasnął dziekan, zrywając się z krzesła. - Tylko Szatan mógłby coś takiego powiedzieć.

Dzekan chciał mówić dalej, lecz nagle odkrył, że nie ma argumentów, których mógłby użyć. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że kiedyś będzie musiał bronić kobiet. Tak naprawdę jego opinia o przeciwnej płci była jak najgorsza. Dziekan nienawidził kobiet i Mateusz Kolumb dobrze o tym wiedział. Tak więc anatom wykorzystał długie milczenie dziekana i uparcie wpatrywał się w Alessandra di Legnano, czekając, aż ten wreszcie coś powie.

- Oskarżony obraża Najświętszą Marię Pannę!

Był to najcieńszy argument, jakim dysponował dziekan.

- Chciałbym przypomnieć, że cudu nie może dokonać śmiertelny mężczyzna. Niepokalane Poczęcie jest cudem, jaki Bóg zdziałał wobec Marii. Czyżby Wasza Ekscelencja uważał, że każda kobieta może począć tak samo? Wszyscy wiemy, że Matka Pana naszego jest wyjątkiem, podobnie jak Jej Syn. A jeśli Syn Boży przyjął ciało na ziemi, ciało to dała Mu Maria. Ja nie mówię tu o cudownym przypadku Najświętszej Marii Panny, lecz mam na myśli Ewę. Chyba Wasza Ekscelencja nie otacza Ewy równą czcią jak Matkę Boga? Wiadomo przecież Waszej Ekscelencji, że Bóg pokarał w Ewie wszystkie pokolenia jej córek, które nawet po Niepokalanym Poczęciu Marii Panny muszą rodzić w bólu. Nie można mieszać świętego Wyjątku z nieszczęsną regułą, która się wywodzi z pierwotnego grzechu. Powtarzam więc za Grzegorzem Wielkim: "Czymże jest kobieta, jeśli nie tylko żądzą ciała?"

Część dziesiąta

O zagadkowym postępowaniu kobiet

- Wszystko, co powiedziałem o duszy, dotyczy wyłącznie mężczyzn, a nie kobiet. Dlatego właśnie twierdzę, że jeśli chcemy zrozumieć postępowanie kobiet na drodze moralnych rozważań; nie dojdziemy do żadnych rezultatów, kobiety bowiem pozbawione są duszy. Jedynym sposobem, jaki nas może doprowadzić do celu, jest tutaj anatomia. Mówię to z całym przekonaniem, bo upoważniają mnie do tego wyniki moich długotrwałych badań. Otóż udało mi się odkryć w kobiecym ciele pewien organ, który pełni analogiczną funkcję jak dusza u mężczyzny i skutki jego działań łatwo można pomylić z tym, co przed chwilą nazwałem uczuciami. Oświadczam, że takich uczuć u kobiety nie ma, a w zamian istnieją tylko czynności, które mają swe źródło i cel w samym ciele. Impulsy, które kierują postępowaniem kobiet, rodzą się nie gdzie indziej, jak właśnie w ciele,

a dokładniej, we wspomnianym przeze mnie organie. Nieraz już metafizycy - a także niektórzy anatomowie - starali się znaleźć takie miejsce w ciele, gdzie mogłaby zamieszkiwać dusza. Ja twierdzę, że dusza nie przebywa w ciele, lecz raczej unosi się wokół niego, tak jakby to czynił anioł. Jeżeli jednak chcielibyście również i kobietom przyznać coś na kształt męskiej duszy, musielibyście jej szukać w ich ciele jak diabła, który kogoś opętał. Ów diabeł mieszka u kobiety w jednym określonym organie, o którym za chwilę opowiem. Na razie ośmielałam się twierdzić, że gdybyśmy umieli wyjaśnić, jak funkcjonuje ów narząd, potrafilibyśmy tym samym zrozumieć zagadkowe postępowanie kobiet.

Część jedenasta

O istnieniu kobiecego narządu, który nazwałem Amor Veneris i który można porównać z męską duszą

- A zatem oświadczam, że w kobiecym ciele istnieje pewien narząd, który pełni analogiczną funkcję jak dusza u mężczyzny, lecz jego natura jest całkowicie różna, ponieważ zależy wyłącznie od ciała.

Organ ten jest głównym siedliskiem rozkoszy u kobiet. Jest to niewielka narośl, która się wyłania z macicy opodal otworu zwanego pochwą, i mieści się w niej źródło i cel wszystkich czynności nakierowanych na przyjemność płciową. Kiedy zostaje pobudzona - nie tylko przez dotknięcie członkiem, lecz również gdy się ją mocno potrze palcem - szybciej niż wiatr wypływa z niej nasienie*, (*W ten sposób Matusz Kolumb mówi o śluzowatej wydzielinie pochwy.) z samej tylko rozkoszy i nawet jeśli kobieta tego nie chce. Kiedy zaś kobieta jest podniecona, pragnie mężczyzny i myśli o płciowej rozkoszy, organ ów pod dotykiem jest twardy, wydłuża się i przypomina męski członek - za chwilę dokładniej jeszcze o tym opowiem. Ponieważ nikt dotąd owego narządu nie rozpoznał ani nie opisał; jeśli mi wolno nazywać rzeczy, które sam odkryłem, chciałbym nadać mu nazwę Amor Veneris*. (*Amor Veneris, vel Dulcedo Appetetur - Matusz Kolumb tak wzmiankuje ów narząd w De re anatomica.)

Z całą stanowczością twierdzę, że z owego organu wywodzą się wszystkie czynności kobiety i wszystkie jej zachowania, które mogą przypominać uczucia u mężczyzn. Powiadam wam, że kobieta znajduje się bez reszty pod wpływem Amor Veneris i że wszystkie jej czyny - od najszlachetniejszych po najbardziej podłe, godne podziwu i całkiem haniebne - źródło swe mają w

owym wspomnianym przeze mnie organie. Od rozwiązłej prostytutki po najwierniejszą i najcnotliwszą żonę, od świątobliwej i pobożnej zakonnicy po parającą się czarami wiedźmę - wszystkie bez wyjątku kobiety są niewolnicami owej części ich ciała.

Część dwunasta

O moralnej słabości kobiet

- Muszę wam teraz wyjaśnić, jak funkcjonuje ów organ oraz w jaki sposób i dlaczego u każdej kobiety powoduje odmienne zachowanie. Jeżeli myślicie, że ten mój wywód jest wymierzony przeciwko kobietom, zapewniam was, że się mylicie; o ile mężczyzna może się kierować swoją wolną wolą, która mu od duszy jest dana, kobieta nie jest panią swoich własnych czynów, bo wszystkie one zależą wyłącznie od kaprysów Amor Veneris. Jak w dalszym ciągu zobaczycie, tę właśnie okoliczność obwiniam za moralną słabość kobiety.

Część trzynasta

Dlaczego męskie nasienie naturę ma z gruntu metafizyczną i dlaczego się samorzutnie porusza

- Wyłożyłem już wam swoją teorię o kinetycznych fluidach. Fluidy te działają podobnie jak wola, to znaczy powodują czynności, które ciało musi wykonywać, żeby się utrzymać przy życiu; myślę tu o takich czynnościach jak jedzenie, wydalanie i inne tego typu elementarne funkcje. Powiedziałem również, że w ciele, które pozostaje pod opieką duszy, czynności grzeszne mogą zmieniać swój przebieg warunkowany przez cielesne ich źródło. Chcę teraz rzec słów kilka o sposobie, w jaki owe fluidy kinetyczne krążą, i co się z nimi ostatecznie dzieje. Otóż wytwarza je mózg i z przyczyn naturalnych, by nie zatruć ciała, muszą być zeń w stosownym czasie usunięte. Udało mi się stwierdzić, że ilość owych fluidów w ciele jest zawsze taka sama, a ich nadmiar ulatnia się przez parowanie. Przy każdym ruchu - anatom zilustrował swój wywód, zginając i prostując wielokrotnie rękę - fluid, który napływa do mięśnia, by go skurczyć lub rozkurczyć, paruje dokładnie w tym samym momencie, gdy czynność zostaje dokonana, a to z racji ciepła, które ruch wytwarza. Tak dzieje się w czynnościach najprostszych; przy bardziej złożonych, w

których konieczna jest interwencja duszy, mechanizm ów nieco się komplikuje. Gdy pojawia się pożądanie i chęć kopulacji, ciało zaczyna wytwarzać większą ilość fluidów kinetycznych, które biegają - zgodnie z opisaną już przeze mnie zasadą - ku narządom płciowym. Odmykają się wtedy odpowiednie żyły, mięśnie się rozkurczają i krew może wejść do członka, który staje się twardy. Jak mówi Arystoteles, nasienie ma metafizyczną naturę, choć potrzebuje materii, by z członka wytrysnąć na zewnątrz. Ów materialny element nasienia - jedyny, który możemy dostrzec wzrokiem - to właśnie fluidy kinetyczne w swojej czystej postaci. One powodują, że nasienie z tak wielką mocą wydostaje się z członka niczym lawa z wulkanu. Zadaniem nasienia jest nie tylko przenoszenie duchowej formy, lecz również uwolnienie ciała od wszystkich fluidów kinetycznych, które zostały wytworzone w celu kopulacji i gdyby się zatrzymały w ciele, mogłyby je zatruc i dać początek wielu groźnym chorobom. Zobaczmy teraz, co dzieje się z owymi fluidami, gdy dzięki interwencji duszy czynność nie może się dokonać.

Część czternasta

O duszy i o pożądaniu płciowym

- Działanie mechanizmu, który udało mi się odkryć, jest następujące: pożądanie płciowe pojawia się u mężczyzny, gdy organy wzroku lub dotyku zostają pobudzone przez jakiś zewnętrzny, kuszący i grzeszny przedmiot - przez kobietę lub przez jej wizerunek (łatwo się przekonać, że obraz pięknej kobiety może powodować takie same skutki jak ona sama). Pobudzenie to wychodzi z nerwów najbardziej zewnętrznych (na przykład z oka) i wyzwala zgromadzone w mięśniach fluidy kinetyczne, które kierują się do mózgu, tak jak uczyniłby to posłaniec. Mózg wytwarza wtedy jeszcze więcej fluidów i tak jak to opisałem, wysyła je do narządów płciowych, by członek mógł nabrznieć i żeby rozbudziły się mięśnie potrzebne do kopulacji. Większa część owych fluidów gromadzi się jako nasienie w jądrach i w członku. W tym właśnie momencie interwencja duszy wzbrania grzesznej czynności. Nasienie - jak już mówiłem - naturę ma metafizyczną i większą część jego objętości stanowi czysta istota: gdy się przyjrzy nasieniu w jakiś czas po wytrysku, zobaczycie, że wyraźnie zmniejszyło swą objętość aż do jednej dziesiątej. Dzieje się tak dlatego, że zawarty w nim składnik duchowy wraca do duszy, w której się narodził. A zatem przeszkadzając w dokonaniu się czynności grzesznych, dusza przekształca je w uczucia. Jakże inaczej możemy wytłumaczyć, że gdy chcemy uniknąć pokusy i modlimy się gorąco do Boga, pożądanie płciowe całkowicie wygasa, a członek wiotczeje i wraca do poprzedniego

stanu, mimo że wypełniały go nasienne płyny? Jeśli się wleje do bukłaka wodę, tak że cały spęcznieje, nie będzie mógł skłęsnąć, póki zeń woda nie wycieknie albo on sam z jej nadmiaru nie pęknie. Widzicie jednak, że z członkiem tak się nie dzieje, bo dusza pozwala mu wrócić w stan spoczynku, mimo że grzeszna czynność została przerwana i nasienie nie zdążyło wypłynąć. Dowodzi to metafizycznej natury nasienia, bo jest ono jedynym płynem, który się gromadzi i nie musi być wydalony. Nie można przecież w nieskończoność wstrzymywać materii kałowych i moczu wewnątrz ciała; nasienia natomiast ta reguła nie dotyczy. Jest tak dlatego, że istotę nasienia stanowi substancja pochodząca z duszy: gdy dusza sprzeciwia się jej wydaleniu, do tejże duszy owa substancja powraca. Nie powinniśmy się zatem wstydzić, kiedy nas ogarnia pokusa; wprost przeciwnie, im częściej nam się ją uda pokonać, tym większe i bogatsze będą nasze uczucia.

Część piętnasta

O pożądaniu płciowym u kobiet i o braku duszy, która by nim kierowała

- Cóż się zatem dzieje w ciele kobiety, gdy ta się czuje płciowo podniecona i pragnie członka mężczyzny, a równocześnie nie posiada duszy, która mogłaby wytworzone wtedy płyny nasienne przekształcić w uczucia? Nasienie jest u kobiety dużo bardziej gęste i ciężkie niż u mężczyzny, wśród jego cząsteczek bowiem nie ma owej wspomnianej przeze mnie esencji; składa się wyłącznie z fluidów kinetycznych. Sam proces pobudzenia płciowego u kobiety jest całkiem inny niż u mężczyzny. Powiedziałem już, że u mężczyzny ów proces rozpoczyna się w organach zmysłów, które zostały pobudzone przez grzeszny przedmiot, to znaczy przez kobietę. Tak więc mężczyzna jest podmiotem owego pobudzenia, podczas gdy kobieta, wprost przeciwnie, stanowi przedmiot pokusy. Wiadomo, że jedna rzecz nie może być równocześnie drugą, a zatem podmiot nigdy nie będzie w tym samym czasie przedmiotem. Chcę więc wam powiedzieć, że proces pobudzenia płciowego u kobiety nie zaczyna się w narządach zmysłów podrażnionych widokiem mężczyzny, lecz rozwija się w sposób naturalny i samorzutny, a swoje źródło ma w ciele, dokładniej zaś - w organie, który przed chwilą opisałem. Kobieta jest zawsze przedmiotem grzechu. Wszystko to, co wam wyjaśniam w terminach anatomii, nie jest niczym nowym w kategoriach moralnych. Jeszcze raz się powołam na przykład Ewy: Ewa była przedmiotem pokusy, podmiotem natomiast był Adam. Do kwestii tej za chwilę powrócę. Teraz pozwólcie mi kontynuować mój wywód o źródle i o celu płciowego pożądania u kobiet. Popęd płciowy - naturalny i samorzutny - ma swój początek w Amor Veneris i powoduje, że ów wspomniany organ

wytwarza fluidy kinetyczne, które są wysyłane do mózgu, by go zawiadomić o zaistniałym pragnieniu. Mózg zaczyna wtedy sam wytwarzać masowo fluidy, by uruchomić mechanizm uwodzenia i równocześnie pobudzić wszystkie mięśnie, których działanie jest potrzebne w kopulacji. Tak właśnie rodzi się pożądanie członka. Ponieważ jednak kobieta nie dysponuje duszą, która by mogła pokierować owymi impulsami, popełnienie grzechu będzie możliwe tylko wtedy, gdy zdoła ona uwieść mężczyznę. Można by więc rzec, że kobieta jest wolą ciała, podczas gdy mężczyzna - wolą duszy. Zależnie od tego, która z nich zatryumfuje, grzech będzie lub nie będzie popełniony. Zastanówmy się teraz nad tym drugim przypadkiem: co dzieje się w ciele kobiety, gdy przeważą wola męskiej duszy i do grzechu nie dojdzie? Powiedziałem już, że u mężczyzny istota nasienia powraca do duszy, przez co ilość fluidów kinetycznych w ciele pozostaje stała. Cóż jednak się dzieje z owymi płynami nasiennymi kobiety, gdy naprzód się zgromadzą, a później nie mogą być wydalone ani przekształcone w uczucia duszy?

Część szesnasta

O gromadzeniu się fluidów kinetycznych u kobiet

- Pierwsze, co można zauważyć, to powiększenie się Amor Veneris, ponieważ wszystkie owe soki w nim muszą się pomieścić. W niektórych wypadkach zaobserwowałem, że ów niewielki organ osiągał rozmiary chłopięcego członka. Gdy wreszcie zabraknie w nim miejsca dla wspomnianych płynów, zostaną one zeń wydalone, lecz nie na zewnątrz, tylko do środka ciała, gdzie mogą być przyczyną różnych chorób, co nader często zdarza się u kobiet. Nieraz owe dolegliwości - wynikłe z nagromadzenia się kinetycznych fluidów - można pomylić z opętaniem przez diabła, a zresztą, jeśli diabeł wybiera jakieś miejsce w ciele, żeby w nim zamieszkać, nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że owym miejscem jest Amor Veneris. Starożytni Grecy uznawali macicę za źródło wszystkich chorób; ja owo źródło widzę w odkrytym przeze mnie organie. Przejdźmy teraz do następnej kwestii. Jeżeli pożądanie płciowe zaczyna się u kobiety, tak jak powiedziałem, w sposób samorzutny i całkiem naturalny, powinniśmy się zastanowić, dlaczego niektóre kobiety, niebrzydkie i wcale jeszcze niestare, nie budzą u mężczyzny pokusy ani też same nie pragną jego członka; wprost przeciwnie, cnotliwe są i pobożne, a nawet można by sądzić, że zdolne są do męskiej - to znaczy czystej - miłości. Otóż dzieje się tak z rozmaitych powodów.

Część siedemnasta

Dlaczego istnieją kobiety cnotliwe i bez skłonności do grzechu

- Najczęstszym powodem jest dziewictwo. Jeżeli ktoś nigdy nie kosztował dziczyzny, nie będzie miał ochoty na pieczyste z sarny. Dopiero gdy błona dziewicza zostanie przerwana, Amor Veneris może swój wpływ wywierać. Zwykło się mniemać, że utrata cnoty jest konsekwencją pożądania członka; ja twierdzę, że jest akurat odwrotnie.

- Pozwólcie, że wskażę na sprzeczność w słowach oskarżonego - wtrącił się dziekan. - Jeżeli to prawda, że kobieta jest przedmiotem grzechu, mężczyzna zaś jego podmiotem, i jeśli na dodatek, jak mówi oskarżony, kobieta w samorzutny i naturalny sposób wzbudza pożądanie płciowe u mężczyzny, jak wytłumaczyć, że dziewica nieraz jest skłonna stracić cnotę? Pragnienie to przecież nie może narodzić się u niej, ponieważ Amor Veneris, jak twierdzi oskarżony, nie wywiera swego rozpustnego wpływu, dopóki błona dziewicza nie zostanie przerwana.

- Wasza Ekscelencja mówi o rzeczach, które właśnie za chwilę miałem zamiar wyjaśnić. Rzeczywiście, na pozór nie ma żadnego powodu, by dziewica wyrzekła się cnoty, ponieważ dopóki hymen jest w całości, Amor Veneris działać nie potrafi. Mógłbym posłużyć się argumentem, że dziewica, gdy jest za mąż wydana, pada ofiarą lubieżności męża, który ją do kopulacji zachęca. Wolę jednak uprzedzić obiekcje, które Wasza Ekscelencja zapewne by zaraz wysunął. Otóż powiedziałem, że aby się zrodziło pożądanie płciowe, organy zmysłów mężczyzny muszą być wpieryw pobudzone przez zewnętrzny i kuszący przedmiot, to znaczy przez kobietę, która przepelniona żądzą rozkoszy, uwodzi i rozpala mężczyznę. Powiedziałem też, że nikt nie ma ochoty na dziczyznę, jeśli jej przedtem nie próbował. Do utraty cnoty popycha dziewicę nie pragnienie członka, lecz inny popęd, równie samorzutny i przyrodzony: mam tu na myśli instynkt macierzyński.

Ciąża wymaga wzmożonego dopływu fluidów kinetycznych, a to z racji większej aktywności mięśni u ciężarnej kobiety oraz by zapewnić dojrzewającemu płodowi odpowiednie quantum wspomnianych fluidów. Powiedziałem wam również, jak Arystoteles tłumaczy poczęcie: mężczyzna daje dziecku duszę, kobieta natomiast dostarcza materii.

Dla kobiety istnieją dwie cnotliwe drogi - dziewictwo i macierzyństwo - oraz dwie inne, które wiodą do grzechu lub w chorobę.

Jeżeli mężczyzna, dzięki wolnej woli, od grzechu się odwraca, chroni również przed nim kobietę. Tak więc mężczyzna jest odpowiedzialny za to, czy kobieta pójdzie drogą cnoty.

Część osiemnasta

Dlaczego amor veneris jest anatomicznym dowodem, że kobieta została stworzona tak, jak powiada pismo święte

- Pozwólcie, że wam teraz podam jeszcze parę innych szczegółów związanych z anatomią Amor Veneris. Mówiłem już o kształcie tego organu, o jego funkcjach i o wpływie; jaki wywiera na postępowanie kobiet. Prześwietna komisja sama mogła stwierdzić, że ani na włos nie odszedłem od Pisma Świętego, lecz wprost przeciwnie, swoimi słowami starałem się wyjaśnić wspaniałość Stworzenia i tym sposobem uwielbić jego Stwórcę. Prawdę; o której mówi Księga Rodzaju, udało mi się opisać w terminach anatomii: chodzi mi tutaj o stworzenie kobiety. Ciało ludzkie jest niczym księgą, której litery, jeśli je umiemy odczytać, są cudownym objawieniem Słowa. Stwierdzam kategorycznie, że Amor Veneris jest materialnym dowodem na prawdę słów Bożych zawartych w dwudziestym drugim i dwudziestym trzecim wersecie Księgi Rodzaju. Organ, który tu opisuję, jest anatomicznym śladem pochodzenia kobiety. Męski kształt Amor Veneris jasno wykazuje, że tak jak powiada Pismo Święte, kobieta jest stworzona z żebra mężczyzny.

Część dziewiętnasta

O porównaniu członka z amor veneris

- Mogłem zauważyć na waszych twarzach zgrozę, gdy powiedziałem, że ów odkryty przeze mnie organ z wyglądu podobny jest do męskiego członka i że również może wznosić się i wiotczeć. I rzeczywiście, Amor Veneris na pozór zachowuje się jak członek. To wcale nie znaczy, że jest z nim tożsamy. O podstawowej różnicy stanowi raczej fizjologia owych organów, a nie anatomia. Członek jest tylko środkiem albo narzędziem, podczas gdy Amor Veneris - przyczyną. Chcę przez to powiedzieć, że zachowanie się członka - jego wzwód lub mięknięcie - zależy od procesów zachodzących w ciele i duszy, natomiast jak już wyjaśniałem, Amor Veneris rządzi wszystkimi uczynkami kobiety. Inny anatom, wielki Leonardo da Vinci, rzekł już kiedyś, że członek żyje swoim własnym życiem; jest zwierzęciem obdarzonym duszą i rozumem, niezależnymi od duszy i umysłu mężczyzny; ma też własną wolę. Leonardo powiedział też, że gdy mężczyzna chce obudzić swój członek, ten go czasem nie słucha, a kiedy indziej znów podnosi się samorzutnie, choć mężczyzna wcale tego nie pragnie albo nawet śpi. Wygląda wtedy, że członek

sam sobą rządzi i nie jest poddany mężczyźnie. Rzeczywiście, niekiedy może się to zdawać prawdą, lecz ja twierdę, że jest to tylko prawda pozorna. Gdy członek nie w porę się wznosi i bez widocznego powodu - to znaczy bez żadnego zewnętrznego przedmiotu, który by go kusił - rzecz tę można wyjaśnić zupełnie inaczej, niż to uczynił Leonardo da Vinci. Powodem, dla którego członek mimowolnie nabrzmiewa, jest zbłądzenie fluidów kinetycznych, które mózg wytworzył w określonym celu, a cel ten został przełożony na później lub całkiem poniechany; na przykład, gdy się sposobimy do wykonania czegoś i niespodziewana okoliczność każe nam od dzieła odstąpić. Zależnie od wysiłku, jakiego nasz zamiar wymaga, ciało przygotowuje mięśnie, by sprostały zadaniu, i dostarcza im stosownej ilości fluidów kinetycznych. Wedle zasad mechaniki, które wam wyłożyłem, jeżeli ciało nie może dokonać zamierzonej czynności, w ten czy inny sposób musi się uwolnić od nagromadzonych fluidów. Nie jest zatem trudno połączyć oba te fakty w związek przyczyny i skutku. Łatwo też się samemu przekonać, że gdy członek samorzutnie nabrzmiewa, przedtem zawsze jakaś czynność została zaniechana. Pozbycie się tych płynów nie jest zbyt skomplikowane, bo skoro członek nie był ich właściwym przeznaczeniem i napłynęły do niego w zastępstwie, soków nasiennych nie wytwarzając, tą samą drogą mogą się cofnąć i rozdzielić między różne mięśnie, skąd wyparują przy jakiejś innej czynności, pod względem wysiłku porównywalnej z ową zaniechaną. Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego u mężczyzny, który postanowił zgrzeszyć i nawet zapłacił już za to, członek czasem odmawia uczestnictwa w grzechu. Wytłumaczenie jest jak najbardziej zgodne z tym wszystkim, co dotąd wam powiedziałem. Otóż w niektórych okolicznościach nie znamy zamiarów, jakie ma dusza wobec naszego ciała. Oddziela się ona wtedy od naszej woli i zmusza ciało, by jej było posłuszne*. (*Warto zwrócić uwagę, że Mateusz Kolumb odchodzi tutaj od swojej dualistycznej koncepcji - ciało vs. dusza, kobiecość vs. męskość, grzech vs. cnota - i wprowadza trzeci element: wolę, która jest oddzielona zarówno od duszy, jak i od ciała. Nie dostarcza jednak żadnych argumentów dla podbudowania tej zagadkowej teorii.)

A zatem wszystko, co wielki Leonardo mówił o męskim członku, stosuje się - i to może jeszcze bardziej - do Amor Veneris, który nie tylko żyje swoim własnym życiem, ale także obdarzony jest inteligencją i wolą, lecz na dodatek to życie, inteligencja i wola kierują całym zachowaniem istoty otaczającej ów organ*. (*To jest właśnie definicja kobiety, która wynika z teorii Mateusza Kolumba: ciało wokół Amor Veneris.) Tak właśnie należy rozumieć wolę i inteligencję u kobiet: w znaczeniu Amor Veneris.

Mężczyzna powinien tak postępować z kobietą, jak dusza postępuje z jego własnym ciałem, ponieważ ciało mężczyzny jest kobiece, dusza natomiast - męska.

W ten sposób kończę swoją obronę i jestem przekonany, że wszystko, co powiedziałem, jest absolutną prawdą i ani o włos nie wykracza poza Pismo Święte. Ufam, że sprawiedliwości stanie się zadość i że będzie ona dla mnie łaskawa.

Cud

I

Jeżeli w pierwszej instancji komisje doktorskie uznały kogoś winnym, trudno było zmienić ten wyrok przed trybunałem Świętego Oficjum. W przypadku Mateusza Kolumba zdarzył się jednak cud.

W dniu, w którym komisja sposobila się do wydania skazującego wyroku, z Rzymu przybył do Padwy posłaniec z listem zaadresowanym do przewodniczącego komisji. Kardynał Caraffa przeczytał owo pismo raz, potem drugi i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ziemia mu się usuwa spod nóg. Pod listem widniała pieczęć Pawła III. Zdrowie siedemdziesięcioletniego papieża gwałtownie się pogorszyło i Jego Świątobliwość osobiście zażyczył sobie usług Mateusza Kolumba. Opinia, jaką anatom cieszył się w Rzymie, nie była dokładnie tą, która otacza świętego, lecz raczej zupełnie przeciwną, faktem jednak było, że Mateusz Kolumb - między innymi dzięki swoim wrogom - stał się jednym z najslawniejszych lekarzy w Europie. Mimo że różne zaufane osoby usiłowały odwieść Jego Świątobliwość od tego całkiem niestosownego pomysłu, Alessandro Farnese, choć ledwie żywy na łożu boleści, był tak uparty i zaślepiony, że postanowił sam decydować o swoim własnym zdrowiu. Był też wciąż wystarczająco groźny, tak że nikt się nie odważył sprzeciwić jego woli. Tak więc komisja pod przewodnictwem kardynała Caraffy zaczęła pilnie przerabiać swój wyrok. Zmiana dotyczyła tylko osoby anatoma, a nie samej książki. Doktorzy uwolnili Mateusza Kolumba od wszystkich zarzutów i postanowili nie wносить jego sprawy do trybunału Świętego Oficjum. Równocześnie komisja zgodziła się z dziekanem, że dzieło *De re anatomica* nie może być opublikowane. Wyrok był iście salomonowy: wszystkich rozczarował i zdumiał. Nawet samych biskupów.

Doktorzy najchętniej by poszli - jak zwykle w takich wypadkach i z przyrodzonej skłonności - prostą i jasną od ognia stosów drogą, do której ich zachęcał dziekan. Alessandro di Legnano miał dobrą opinię u komisji, toteż ta kciukiem pokazała ziemię, nim jeszcze anatom wyrzekł pierwsze słowo w swej obronie. Bezlitosny wyrok z góry był przygotowany, i to nie dlatego, że doktorzy uznali teorię Mateusza Kolumba za szatański wymysł. Wprost przeciwnie, odkrycie anatoma było z ich punktu widzenia prawdziwą rewelacją. *Amor Veneris* wyjaśniał jedną z największych zagadek - i oczywiście, najbardziej niebezpieczną - jaką dla Kościoła była kobieta. Chodziło tu jednak nie tylko o samo odkrycie, lecz również o osobę odkrywcy. Gdyby rzecz się przedostała do publicznej wiadomości, skutki byłyby katastrofalne. Jeśli anatom miał rację, *Amor Veneris* stanowił narzędzie władzy nad kapryśną wolą kobiety. Rozpowszechnienie się tego

odkrycia mogłoby doprowadzić do nieszczęść. Cóż by się stało, gdyby wrogowie Kościoła poznali potęgę Amor Veneris? Ileż zagrożeń mogłoby spaść na chrześcijaństwo, gdyby zastępy Szatana zdobyły władzę nad niewieścim instrumentem grzechu! A co gorsza, gdyby same córki Ewy odkryły, że między nogami mają klucze do nieba i piekła! Rozumowanie było następujące: jeżeli Amor Veneris jest cielesnym narządem, który kieruje wolą kobiety, sztuka medyczna jest zdolna opanować ów lubieżny organ; a zatem kto zdobędzie władzę nad Amor Veneris, ten stanie się panem zmiennej woli kobiecej. A w jaki sposób można tego dokonać? Otóż dzięki znajomości medycyny, a jeśli trzeba - chirurgii. Trzeba wiedzieć, gdzie dotknąć. Trzeba wiedzieć, gdzie ciąć.

Skrupulatne milczenie ze strony Kościoła i miejsce w Indices librorum prohibitorum były niewątpliwie najlepszym losem, jaki mógł spotkać De re anatomica. Ale jaka była gwarancja, że Mateusz Kolumb dochowa tajemnicę, nawet jeśliby przysiągł? Czy można było wykluczyć, że sam anatom nie wykorzysta dla siebie odkrycia, którego dokonał? Gdy jednak spojrzeć na to inaczej, czy Kościół nie otrzymał nagle znakomitego i świętego środka, by swoją słabą i niesforną trzódkę prowadzić drogą cnoty? Zawsze można przecież usunąć owo siedlisko diabła. Jeżeli Amor Veneris jest odpowiedzialny za grzech, dlaczego już przy urodzeniu nie uwolnić kobiety od owego lubieżnego organu? Czy Żydzi nie usuwają napletka? Mają chyba jakieś powody. Były to jednak czyste spekulacje. Na razie trzeba było przede wszystkim nie dopuścić, by odkrycie to stało się publicznie znane. Tak więc komisja zmieniła wyrok na uniewinniający, który jednak nie wiązał rąk trybunałowi Świętego Oficjum.

Los dzieła miał być inny. Książka Mateusza Kolumba, De re anatomica, została wciągnięta do mrocznych katalogów cenzury - do Indices librorum prohibitorum - które tenże Paweł III założył w 1543 roku. Anatom musiał się zobowiązać pod przysięgą, że nikomu nie wyjawia swojego odkrycia. Była to cena, za którą mógł pozostać przy życiu.

Tego samego dnia, kiedy kardynał Caraffa otrzymał pismo z Rzymu, 7 listopada 1558 roku, komisja doktorów ogłosiła wyrok. Wyrok ten miał oczywiście swojego adresata.

Wyrok

Do dziekana Uniwersytetu w Padwie:

Postanowienie Komisji Doktorów

- Wysłuchaliśmy waszej mowy, panie dziekanie, zeznań świadków oraz odpowiedzi, jakiej udzielił oskarżony profesor z katedry anatomii na kierowanym przez was uniwersytecie, autor *De re anatomica*, chirologo Mateusz Kolumb.

Komisja nasza musi przyznać, że nie rozumie wrogości, z jaką traktujecie swojego profesora, oraz gubi się w sprzecznościach waszych gniewnych rozważań, o ile gniew i rozwaga w ogóle są do pogodzenia. Być może ta niepotrzebna pasja jest powodem ślepoty, która wam nie pozwala widzieć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

Panie dziekanie! Jeżeli chodzi o wszystkie zarzuty, które przedstawiacie wobec książki *De re anatomica*, a w szczególności wobec rozdziału XVII, możemy opierać się jedynie na waszych słowach, bo dzieło to - jak sami twierdzicie - znajduje się u was pod pieczęcią straża.

Niemniej jednak nasz rozum nie jest w stanie ogarnąć stosowanego przez was sylogizmu. Najpierw mówicie, że wasz anatom kłamie; później go oskarżacie o plagiat i uzurpację, bo rzekomo odkryty przez niego organ miał już być opisany w starożytności przez Rufusa z Efezu i przez Julia Poluxa, przez anatomów arabskich Abul-Kassima i Awicennę, przez Hipokratesa i wreszcie przez Fallopię. Zdecydujcie się zatem, panie dziekanie: albo bierzemy pod uwagę pierwszą przesłankę i uznajemy, że narządu tego nie ma, albo trzymamy się drugiej i musimy stwierdzić, że chodzi tu o rzecz równie znaną jak płuca.

My ze swej strony nigdyśmy się nie spotkali z opisem wspomnianego narządu. Nie możemy się zatem wypowiedzieć ani o jego istnieniu, ani o nieistnieniu.

Jakkolwiek by było, uważamy, że wasza chwalebna gotowość do obrony świętych zasad i obawa przed herezją i umocnieniem się pogaństwa - do czego miałyby się według was przyczynić owo odkrycie - są w tym wypadku bezpodstawne, choć płyną z najuczciwszych pobudek. Prawda, panie dziekanie, znajduje się w Piśmie Świętym i nie można jej szukać nigdzie indziej. Nauka nie objawia Prawdy; jest tylko słabym płomykiem, który oświetla Słowo Boże. Nauka stoi niżej niż Bóg i może tylko tłumaczyć objawioną Prawdę. Nam, chrześcijanom, wystarcza sama wiara; pogan jednak nie przekonamy do Prawdy, jeśli nie użyjemy argumentów opartych na rozumie.

Umknęło waszej uwagi, panie dziekanie, że jeśliby się okazało prawdą odkrycie waszego profesora, mielibyśmy wreszcie anatomiczny dowód na pochodzenie kobiety, potwierdzający Pismo Święte. Zajrzyjcie do Księgi Rodzaju i zrozumiecie, o czym tu mówimy.

A zatem w świetle przedstawionych faktów uznajemy oskarżonego Mateusza Kolumba za niewinnego i uwalniamy go od wszystkich ciężących na nim zarzutów. Równocześnie nasza komisja nie zezwała na wydrukowanie dzieła *De re anatomica* i wciąga je na listę *Indices librorum prohibitorum*.

Cześć czwarta

Święta sztuka

Dnia 8 listopada 1558 roku, przed oburzonym nosem Alessandra di Legnano, Matusz Kolumb wyjechał do Rzymu w towarzystwie watykańskiej eskorty. Osobisty lekarz papieża podróżował jak udzielny książę i wszyscy traktowali go z największym szacunkiem. Obaj jednak - dziekan i anatom - wiedzieli, że ta szczęśliwa gwiazda jest równie niepewna i wątpliwa jak zdrowie Pawła III.

Alessandro Farnese leżał w swoim watykańskim łożu. Długa i splątana broda nadawała mu wygląd zgrzybiałego rabina. Matusz Kolumb ukląkł przy pościeli, pochylił się do ręki starca i ucałował pierścień. Nie mógł powstrzymać łez, kiedy papież zebrał ostatnie siły i pobłogosławił go rwącym się głosem. Gdy minął pierwszy moment wzruszenia, anatom poprosił, by mu pozwolono zostać sam na sam z Jego Świątobliwością. Oczywiście nie dostał na to zgody. Alessandro Farnese był szkieletem obciągniętym skórą. W mocno podeszłym wieku wybrano go papieżem - miał wtedy siedemdziesiąt dwa lata - i zdążył już przejść niemal wszystkie możliwe choroby. Nie był to już człowiek, który kiedyś umiał zjednoczyć chrześcijańskich władców przeciwko Turkom; nie był to już ów polityk, który najpierw perswazją, później zaś otwartą przemocą doprowadził do zwołania Soboru Trydenckiego. Nie był to już ów święty i cierpliwy mąż, który przez długie lata znosił kaprysy księcia Mantui, cesarza i protestantów. I oczywiście nie był to już żarliwy rzecznik trybunału Inkwizycji, któremu płonące stosy wydawały się wciąż za małe, żeby wypalić cały grzech na świecie: skoro sędziowie byli zbyt letni lub nieliczni, trzeba ich było rozmnożyć, jak to Chrystus uczynił z chlebem i rybami; trzeba było sądom nadać prawo zbierania się gdziekolwiek, wynieść je do rangi Najwyższego Trybunału w sprawach wiary oraz mianować delegatów w Wenecji, Mediolanie, Neapolu, Toskanii i w każdym miejscu, gdzie byłaby taka potrzeba. Teraz Alessandro Farnese nie był już pierwszym i gorliwym czytelnikiem, który sam decydował, jakie książki umieścić w swoich Indices librorum prohibitorum, a jakie wysłać na stos - oczywiście razem z ich autorami. Alessandro Farnese był już tylko swoim własnym cieniem, zniedołężniałym i umierającym. Jego wyschła ręka, której nepotyczny palec nakazał kiedyś sekularyzację Parmy i Piacenzy, by mogły się stać księstwami pod władzą domu Farnese, spoczywała teraz bezwładnie w dłoniach anatoma z Cremony - przybysza z piekieł, któremu dziś ofiarowano niebo. Jego Świątobliwość powierzył siebie człowiekowi, który jeszcze wczoraj był głosem Lucyfera, dziś natomiast - ręką Boga.

Stan zdrowia Pawła III był naprawdę niepokojący, i to nie tylko dla Jego Świątobliwości, lecz również dla papieskiego lekarza, którego los zależał od postępów w kuracji. Po długim,

wielogodzinnym badaniu Mateusz Kolumb miał nieprzyjemną świadomość, że niewiele jest w stanie uczynić dla pacjenta. Alessandro Farnese nigdy się do końca nie wyleczył z choroby, która pięć lat wcześniej omal go nie wpędziła do grobu. Prawdę mówiąc, trudno było zrozumieć, jakim cudem udało mu się przeżyć całe to pięciolecie. Serce papieża biło bez przekonania; skóra nabrała koloru jak u nieboszczyka, a astmatyczny głos był niemal niesłyszalny; każde zdanie chory wypowiadał z ogromnym wysiłkiem i jeśli mu nawet czasem wracały dawne napady wymowności, nieubłagane przerywał je suchy kaszel, po którym pacjent zaczynał się dusić i cały fioletował. Gdy atak mijał, siność przechodziła znów w trupa zieleń i tak się to powtarzało od ponad sześciu miesięcy. Teraz nieważna już była podagra, która nękała papieża przez prawie całe życie; nieważne były straszliwe liszaje - to z ich powodu Paweł III zapuścił swą semicką brodę - ani dawne bóle głowy, ani nawet epilepsja. Jego Świątobliwość po prostu umierał. Przedtem osobiście jeszcze przegnał nieudolnego lekarza, którego mu przysłał ten opój, kardynał Alvarez de Toledo; zdaniem Jego Świątobliwości hiszpański kardynał jak najszybciej chciał zasiąść na Stolicy Piotrowej. Faktem było, że odkąd ów poprzedni lekarz zajął się zdrowiem papieża, stan Alessandra Farnese zaczął się gwałtownie pogarszać. Mateusz Kolumb zgodził się z opinią pacjenta. Rzeczywiście, dotychczasowa kuracja więcej mogła szkód wyrządzić niż sama nawet choroba. Nowy lekarz papieski przede wszystkim kazał zaprzestać dalszego puszczania krwi, bo jedynym skutkiem tego zabiegu była postępująca anemia. Podobnie potraktował lewatywy, które Ojca Świętego jeszcze bardziej wyniszczały, i kategorycznie zabronił podawania jakichkolwiek ziół na wymioty: Właściwe leczenie nie miało polegać na próbach usunięcia choroby przez któryś z czcigodnych otworów, tak jak to dotąd czyniono. Przypadek papieża był łatwy do zdiagnozowania: Jego Świątobliwość był stary. Poprzedni lekarz tyle tylko osiągnął, że nadwreżył w zgrzybiałym ciele papieża ostatnie już rezerwy życia.

Mateusz Kolumb nakazał zebrać do jednego słoja wszystkie papieskie ekskrementy, do drugiego zaś czcigodny mocz, który Jego Świątobliwość przez cały dzień raczył był wydalić. Wieczorem anatom zbadał zawartość obu słoików. Zapach, kolor, konsystencja - wszystko zostało skrupulatnie przeanalizowane. Nim słońce weszło, Mateusz Kolumb miał już przygotowany plan dalszej kuracji. W rzeczywistości jedyną poważną chorobą Pawła III była po prostu starość.

Ojciec Święty musiał żyć. Mateusz Kolumb byłby gotów oddać zniedołężniałemu Alessandrowi Farnese połowę życia, które mu jeszcze zostało. Istniała jednak inna możliwość.

Pawłowi III potrzebna była młoda krew. Właśnie to anatom chciał mu ofiarować.

Dzień Świętych Młodzianków

W wigilię dnia Świętych Młodzianków Mateusz Kolumb, od niedawna osobisty lekarz papieża Pawła III, kazał wyszukać i przyprowadzić do swego gabinetu w papieskiej rezydencji dziesięć dziewcząt w wieku od pięciu do dziesięciu lat, oczywiście zdrowych. Sam wybrał spośród nich pięć i zawiódł je do sypialni Jego Świętobliwości. Wiekowy papież z osobna każdą z nich pobłogosławił, a one rozpląkały się ze wzruszenia, gdy podał im pierścień do ucałowania. Następnie zamknięto dziewczęta w specjalnie przygotowanej alkwie, która przylegała do gabinetu anatoma. Kolejnym krokiem Mateusza Kolumba było wyszukanie najlepszych i najzdrowszych mamek w całym Rzymie. Anatom znów osobiście wybrał z nich trzy o najbardziej obiecującym wyglądzie; przed każdą z wybranych piętrzyły się dwie wspaniałe i cudownie jędrne piersi. Mateusz Kolumb uznał, że musi sam wypróbować zalety owych mamek; osobiście zbadał smak i gęstość mleka, które wypływało obfitym strumieniem, gdy palce anatoma lekko uciskały sutki.

Trzy razy dziennie Jego Świętobliwość był karmiony pożywnym mlekiem mamek. Jak dziecko przystawiał głowę do piersi kobiety, na którą wypadła kolej, i pił, dopóki nie usnął. Był to wzruszający widok: zgrzybiały, bezzębny i białobrody Alessandro Farnese śpiący spokojnie na łonie swej piastunki. Terapia okazała się nadzwyczaj skuteczna, choć sama w sobie nie mogła wystarczyć. Kobiece mleko zawiera dużo cennych fluidów kinetycznych, lecz w tym wypadku ilość ich była zbyt mała, żeby papieżowi przywrócić trochę utraconej młodości. Tak więc wcześniej, niż zamierzał, Mateusz Kolumb kazał wezwać do swego gabinetu najsprawniejszego w całym Rzymie kata.

Mistrz zachnął się, gdy anatom napomniał go, by rzecz całą przeprowadził w sposób możliwie delikatny: na tym przecież właśnie polegał jego zawód.

Jeszcze przed północą, w uroczystość Świętych Młodzianków, kat dokonał egzekucji pierwszej z pięciu dziewczynek.

Jego Świętobliwość, nim zanurzył wargi w napoju sporządzonym z krwi, pomodlił się za duszę dziewczynki, która zapewne już przed nim znalazła się w Królestwie Niebieskim. Bardzo go uradował ten szczęśliwy los, który tak wcześniej przypadł jej w udziale.

- Amen - wyszeptał i dopiero wtedy wychylił kielich aż do samego dna.

Trzy razy dziennie Paweł III był karmiony piersią i trzy razy dziennie wypijał do ostatniej kropli eliksir, który mu z młodej krwi przygotowywał jego osobisty lekarz. Mateusz Kolumb odetchnął z ulgą, kiedy się przekonał, że już w ciągu pierwszego tygodnia zdrowie papieża wyraźnie się poprawiło. Zastosowana kuracja nie była niczym nowym, może z wyjątkiem paru szczegółów. W podobny sposób leczono Innocentego VIII: papieża, który przyznał się do trójki swych dzieci - Franceschetta, Battistiny i Leonardiny - czym potwierdził swą męskość i zyskał popularność. Co prawda wtedy, gdy zdrowie Innocentego zaczęło na starość szwankować, terapia owa nie przyniosła najlepszych rezultatów, lecz według Mateusza Kolumba przyczyny niepowodzenia były oczywiste. Otóż po pierwsze, mleko mamek podawano papieżowi w kielichach, podczas gdy wiadomo, że fluidy kinetyczne w zetknięciu z powietrzem natychmiast się ulatniają. Mleko kobiece powinno się pić, jak nakazał Stwórca: wprost z piersi. Po drugie, krew używana do sporządzania napojów pochodziła od młodych chłopców, a to przecież krew kobieca jest czystą materią, jak udowodnił Arystoteles w swojej teorii na temat formowania się płodu. Krew męczyzny była w tym przypadku bezużyteczna, bo podobnie jak wino, składa się ona głównie z duchowej substancji, a nie z materii.

Tak czy inaczej - obojętnie, jak to tłumaczyć - zdrowie Pawła III w widoczny sposób zmierzało ku lepszemu.

Wieść o tym dotarła do Padwy. Alessandra di Legnano zalewała żółć.

Alessandro Farnese polubił swojego lekarza. Oczywiście miał po temu powody, bo wśród wielu oznak poprawy, nie najmniejszą był powrót dawnej elokwencji. Między jednym karmieniem a drugim Ojciec Święty wiódł nie kończące się pogawędki z Mateuszem Kolumbem, który stał się dla niego najbardziej zaufanym człowiekiem. Dla kardynała Caraffy ów przybłęda z Padwy, który cudem wykręcił się od stosu, był niczym gwóźdź wbity w piętę.

Niebo na wyciągnięcie ręki

I

Mateusz Kolumb w zasięgu ręki miał niebo. W czasie pobytu w Rzymie anatom stworzył swe największe dzieło malarskie: przepiękne i nie mające sobie równych mapy anatomiczne, namalowane najsubtelniejszymi farbami, oraz setki szkiców tuszem, które powieleły wciąż tę samą obsesję, jaką był Amor Veneris. Również w Rzymie powstał jego najwspanialszy i najbardziej niezwykły obraz: Hermes i Afrodyta. Na tytuł niewątpliwie wpływ miała cenzura, bo postać na płótnie bynajmniej nie przedstawiała obu tych bóstw w jednym ciele, lecz wyobrażała Ines de Torremolinos w momencie, gdy anatom odkrył jej Amor Veneris.

Dla Mateusza Kolumba wszystko było teraz źródłem inspiracji. Nie istniały rzeczy niemożliwe. Dawno już zapomniał o burzliwych dniach swojego procesu. Teraz, ze swego miejsca po prawicy Pawła III, któremu przywrócił życie jak Chrystus Łazarzowi, z góry mógł patrzeć na inkwizytorów. Nie znany przedtem anatom z Cremony stał się nagle ręką Boga, a jego imieniu pisana była sława. Można by powiedzieć, że już na ziemi otworzył się przed nim raj. Swoje dawne lniane lucco zamienił na jedwabne; zamiast wełnianego beretu zaczął nosić obszywany złotem fez, który specjalnie dla niego skroił papieski krawiec. Był bogatym człowiekiem. Jako osobisty lekarz papieża sam sobie wyznaczał honoraria, cały kościelny skarbiec stał dla niego otworem. Ostatecznie, jaka cena nie byłaby słuszną za życie Jego Świątobliwości? Nic go nie mogło wytrącić z równowagi; nikt mu nawet do pięt nie dosięgał. Przechadzał się po Watykanie jak po własnym domu. Był jedyną osobą, która o każdej porze mogła wejść do papieskich apartamentów. Tylko on miał prawo przerywać audjencje i wydawać rozkazy Jego Świątobliwości. On zarządzał, kiedy Ojciec Święty powinien coś zjeść, położyć się albo wstać; od niego zależało, czy Jego Świątobliwość kogoś przyjmie czy odprawi; on wreszcie decydował o papieskim gniewie i o pontyfikalnym spoczynku.

Mimo wszystko jego szczęście nie było jeszcze pełne. Codziennie wieczorem, nim zasnął, myślał o Monie Sofii i marzył, żeby się z nią spotkać. Oczekiwanie na ów upragniony moment potrafił jednak znosić z cierpliwością, jaką mu dawał tytuł wyłącznej własności. Wiedział, że Mona Sofia do niego tylko należy. Nie było ważne, ilu mężczyzn będzie o nią zabiegać i ilu nawet na chwilę posiadzie jej ciało; pewnego dnia on, Mateusz Kolumb, wolny, bogaty i sławny, wejdzie po siedmiu stopniach do atrium bordello del Fauno Rosso i wtedy - niczym zwycięski wódz, przed którym korzy się dawny nieprzyjaciel - obejmie w posiadanie należną mu prawowicie kolonię.

Wiedział też, że na razie musi być ostrożny i przede wszystkim - cierpliwy. Wiedział, że odtąd musi postępować jak polityk.

Wpływ, jaki Mateusz Kolumb miał na Pawła III, dla nikogo w Watykanie nie był tajemnicą. Wiedział o nim również kardynał Alvarez de Toledo, który już się nie cieszył takim jak dawniej zaufaniem Jego Świątobliwości. Postanowił więc pierwszy wyciągnąć rękę do zgody. Kardynał wiedział, jakimi słowami zjednać sobie anatoma i jak mu pochlebić.

Natomiast kardynał Caraffa nie umiał się pozbyć swojej zapiekłej nienawiści i pogardy, jakie czuł wobec Mateusza Kolumba. Nie potrafił ukryć głębokiej urazy ani pogodzić się z faktem, że przed samym nosem zdmuchnięto mu pochodnię, którą zamierzał być rozpalic stos.

W dowód zaufania i na znak ostatecznej zgody kardynał Alvarez de Toledo powierzył papieskiemu lekarzowi swoje własne zdrowie. Mateusz Kolumb dobrze wiedział, że Alvarez de Toledo ma największe szanse na sukcesję po obecnie panującym papieżu. Hiszpański kardynał znał się na interesach.

II

Ufając w swą szczęśliwą gwiazdę, Mateusz Kolumb zdecydował się przedstawić Ojcu Świętemu sytuację swej książki, *De re anatomica*, i prosić, by Jego Świątobliwość zechciał uchylić zakaz publikacji, który na owo dzieło nałożył kardynał Caraffa.

- Może to nie jest odpowiedni moment - tyle tylko usłyszał od Pawła III.

Było to pierwsze wielkie rozczarowanie Mateusza Kolumba. Uzbroił się jednak w cierpliwość i postanowił czekać.

- Na razie jeszcze nie, potem zobaczymy... - taka była druga odpowiedź, gdy sześć miesięcy później anatom przypomniał sprawę papieżowi.

- Synu, powinieneś się wypowiadać, bo popełniłeś wielki grzech - powiedział po ojcowsku Alessandro Farnese. - Złamałeś przysięgę, bo wyjawiałeś mi rzecz, o której nie wolno ci było nikomu opowiadać.

Mateusz Kolumb był równocześnie zdumiony i oburzony - uratował papieżowi życie i oto jak się Jego Świątobliwość odplaca! Nie tylko każe mu się pożegnać z nadzieją, że jego dzieło kiedykolwiek ujrzy światło dzienne, lecz jeszcze pozwala sobie robić mu wymówki!

Doszło w końcu do tego, że Mateusz Kolumb zaczął pragnąć, by zramolały i niewdzięczny Alessandro Farnese wreszcie umarł. Ostatecznie anatom był ręką Boga i skoro mógł ofiarować życie - tak jak to uczynił wobec swego konającego pacjenta - mógł je również odebrać. Czyż nie był już osobistym lekarzem przyszłego papieża?

Z każdym dniem jego przyjaźń z kardynałem Alvarezem de Toledo coraz bardziej się umacniała. Łączyło ich to samo pragnienie i gdy mówili o zdrowiu Jego Świątobliwości, wymieniali zawsze porozumiewawcze spojrzenia. Nigdy swoich życzeń nie ubierali w słowa: nie było takiej potrzeby.

III

Pewnego dżdżystego poranka Paweł III nie obudził się. Mateusz Kolumb osobiście powiadomił Watykan o tym nieszczęsnym wydarzeniu. Jeszcze tego samego dnia zebrało się konklawe. Nic nie zapowiadało niespodzianek. Już niebawem Mateusz Kolumb ujrzy swoje dzieło wydane wreszcie drukiem. Już wkrótce ucałuje pierścień nowego papieża, a tym papieżem będzie jego przyjaciel, kardynał Alvarez de Toledo. Spokojnie - nie było przecież powodu do obaw - zjadł śniadanie w swojej sypialni, po czym wrócił do łóżka, kazawszy się obudzić dopiero koło drugiej.

Po południu wstał i podszedł do okna, by spojrzeć na bazylikę. Białego dymu wciąż jeszcze nie było. Mateusz Kolumb postanowił zostać w swych apartamentach, bo nie chciał słuchać żadnych pałacowych plotek. O zmierzchu znów popatrzył przez okno. Poczuł lekki niepokój, bo na wieczornym niebie nadal nie widział upragnionego znaku. Dlaczego tak długo to trwało, skoro sprawa była właściwie przesądzona? Prędko jednak odpędził złe myśli.

Była ciemna noc, kiedy anatom usiadł przy oknie. Już nie odchodził od niego; czekał na biały dym.

Ostatnia wieczerza

I

Dokładnie o północy z komina bazyliki zaczęła się sączyć wąska smuga białego dymu. Rozkołysały się dzwony w Watykanie, a z bram jęły się wysypywać tłumy ludzi, którzy biegli na plac Świętego Piotra. Gromada spłoszonych gołębi wzniosła się nad kopułą bazyliki. Zapłonęły światła i nagle na placu zrobiło się jasno. Serce anatoma biło z długo powstrzymywaną niecierpliwością. Ze swej sypialni doskonale widział okno, w którym miał się ukazać Ojciec Święty. Z napięcia i emocji Mateusz Kolumb zaczął się śmiać, jak już od wielu lat nie czynił. Ogromny tłum krzykiem domagał się widoku Jego Świątobliwości. Niczym nasiona rozrzucone przez wiatr, wszędzie na ustach pojawiało się imię: Paweł IV. Tak ponoć miał się nazywać nowy papież. Ale kto nim jest? Który z kardynałów będzie Pawłem IV? "Alvarez de Toledo" - dało się odczytać na wargach zgromadzonych ludzi.

Nagle zapadła cisza pełna wzruszenia, szacunku i niecierpliwości. Jego Świątobliwość ukazał się w oknie. Mateusz Kolumb śmiał się jak nigdy dotąd. Dopiero gdy minął moment pierwszego uniesienia, anatom otworzył oczy i ujrzał wyraźnie twarz Pawła IV. Serce przewróciło mu się w piersi. Stał jak skamieniały ze śmiechem zastygłym na ustach. Z okna pozdrowiał tłum nie kto inny, tylko sam kardynał Caraffa.

Mateusz Kolumb przez chwilę miał wrażenie, że nowy papież patrzy wprost na niego.

II

Jeszcze tej samej nocy Mateusz Kolumb spakował wszystkie swoje rzeczy. Nie było na co czekać; na druk swojej książki na pewno nie mógł liczyć, a co gorsza, jego dawny wróg i sędzia nie zawaha się teraz przed wykonaniem wyroku, który dotąd pozostawał jak gdyby w zawieszeniu. Anatom wiedział o chorobliwej wręcz nienawiści, jaką czuł wobec niego Caraffa.

Jednak nie wszystko było jeszcze stracone. Anatom trzeźwo rozważył swoje szanse i podjął błyskawiczną decyzję. W Wenecji wciąż na niego czekało wymarzone schronienie. Mateusz Kolumb nie zapomniał o celu, który kierował całym jego życiem. Teraz nic już nie mogło przeszkodzić, by Mona Sofia poddała się jego woli. Anatom miał klucz, który otworzyłby mu serce każdej kobiety. Dla Mateusza Kolumba istniała tylko jedna kobieta, której pragnął - Mona Sofia.

Poza tym Mateusz Kolumb był teraz bogatym człowiekiem; dysponował fortuną, której do końca życia nie potrafiłby wydać. W końcu nie było tak trudno wyrwać się ze szponów Caraffy. W ciągu dwóch minut anatom zdecydował o całej swojej przyszłości: już zaraz wyruszy do Wenecji,

pójdzie do bordello del Fauno Rosso, zapłaci dziesięć dukatów za godzinę miłości z Moną Sofią, po czym ta ucieknie z nim na drugi brzeg Morza Śródziemnego, a jeśli będzie trzeba - do świeżo odkrytych krajów w Nowym Świecie po drugiej stronie Atlantyku.

Mona Sofia, bez reszty zakochana w anatomie, stanie się oczywiście najwierniejszą żoną i najbardziej oddaną z wszystkich kobiet.

Jeszcze tej samej nocy Mateusz Kolumb spakował kilka swoich ubrań i wszystkie pieniądze, które zarobił w Watykanie. Z foggia nasuniętą na czoło, jak uciekający złodziej zaczął się przeciskać przez tłum, który zewsząd napływał na plac Świętego Piotra. Po chwili zniknął w rzymskich uliczkach.

Za jego plecami Watykan kipiał jednym wielkim świętem.

Część piąta

Czarna msza

I

Gwałtowny rozwój wydarzeń od dnia rozpoczęcia procesu, zdumiewająca kariera anatoma, który został wyniesiony na niebotyczne wyżyny, gdzie zajął miejsce po prawicy papieża Pawła III, a później spadł jak meteor i musiał uciekać przed kardynałem Caraffą - wszystko to spowodowało, że Mateusz Kolumb całkiem zapomniał o rozpaczliwym liście, jaki ze swego więzienia w celi uniwersytetu napisał był do Ines de Torremolinos. Prawdę mówiąc, anatomic w ogóle zapomniał o swojej dawnej protektorce. Myślał wyłącznie o Monie Sofii. Myślał o niej jako o swoim nieuniknionym losie; musiał w końcu nadejść dzień - okazało się, że nadszedł on wcześniej, niż przewidywał anatomic - kiedy opuści Watykan i uda się do Wenecji, do burdelu przy ulicy Bocciari opodal Trójcy Świętej, gdzie spotka się wreszcie ze swoim przeznaczeniem. Myśl ta nie przejmowała go jakimś szczególnym niepokojem lub niecierpliwością; była to jakby pełna rezygnacji świadomość, z jaką człowiek uznaje pewność własnej śmierci i mimo to nie żyje w ustawicznej trwodze. Niemniej jednak przez cały okres swego pobytu w Watykanie Mateusz Kolumb ani razu nie wspominał o dalekim istnieniu Ines de Torremolinos.

Zrządzeniem losu i dzięki usługom messera Vittoria list ów dotarł do Florencji.

II

W pewien kwietniowy poranek 1558 roku do drzwi skromnego domku przy opactwie zapukał posłaniec. Odkąd Mateusz Kolumb wyjechał z Florencji, Ines nie miała już żadnych wiadomości od anatoma. A jednak od tamtego dnia każda jej myśl jemu była poświęcona. Wszystko jej przypominało o Mateuszu Kolumbie. Za każdym razem, gdy przybywał posłaniec, była przekonana, że przynosi upragniony list. Tyle już było tych rozczarowań, że w końcu postanowiła w ogóle nie brać pod uwagę takiej ewentualności. Teraz też nie chciała nawet spojrzeć na podpis, który wzywał spod takowej pieczęci na sznurku owijającym rulon. Poszła z listem do niewielkiego scriptoricenc, gdzie w kominku buzował ogień, a opodal niego bawiły się dziewczynki. Ines usiadła przy pulpicie i dopiero wtedy odważyła się przeczytać podpis. Serce w niej zamarło. Usiłowała zachować spokój, a przynajmniej stworzyć takie pozory. Łagodnie nakazała dziewczynkom, by poszły się bawić do sypialni. Nim zerwała pieczęć z rulonu, przycisnęła list do piersi i wzniosła do Boga modlitwę. Tyle miesięcy czekała na tę chwilę, tyle przeżyła bolesnych rozczarowań! Mimo to teraz, gdy mogła do serca przytulić ów papier, który on,

Mateusz Kolumb, trzymał kiedyś w swych rękach, dręczyła ją jakaś nieokreślona obawa. Coś jej mówiło, że w liście tym nie będzie nic dobrego. Złamała pieczęć i rozwinęła list.

Musiała chwycić się pulpitu, żeby nie upaść, kiedy przeczytała: “Zapewne nie będę już żyć, gdy list ten dotrze do Florencji...” Oczy zaszyły jej łzami, płacz wstrząsnął piersią, lecz czytała dalej:

“Jeśli uważasz, że jest to świętokradztwo - bo przecież przysiągłem milczenie - przerwij lekturę i wrzuc list do ognia...” Wiedziała, że jest to świętokradztwo, lecz mimo to czytała.

“Jeśli postanowiłem złamać ślub milczenia, do którego zostałem zmuszony, i jeśli Tobie wyłącznie wyjawiam tę tajemnicę, czynię tak dlatego, że to właśnie w Twoim ciele, Pani, odkryłem słodką “Amerykę”. W Twoim ciele znalazłem siedzibę miłości i najwyższej kobiecej rozkoszy. Tobie zawdzięczam, że mogłem wyjaśnić tę część Bożego Stworzenia, która dotyczy miłości u kobiet. Mój Amor Veneris w rzeczywistości jest Twoim. Wiem, jak bardzo mnie kochałaś. Być może nadal mnie kochasz. Nie łudź się jednak, Pani, nie ja jestem przedmiotem Twej miłości i nie Ty mnie kochasz. Gdy byłem Twoim lekarzem, wyleczyłem Cię wprawdzie z choroby, lecz równocześnie i niechcący zastąpiłem ją ową miłością, którą wtedy nagle poczułaś. Twoja choroba siedlisko miała w Amor Veneris i teraz właśnie ten Twój Amor Veneris mnie kocha: Nie łudź się. Kimże ja jestem, bym mógł na Twoją miłość zasłużyć?”

Gdy Ines de Torremolinos doczytała ten list do końca, ogarnęła ją nagle chłodna determinacja. Serce w jej piersi uspokoiło się, a w oczach - wciąż jeszcze wilgotnych od łez - załśniła jakby łagodna, lecz wyrachowana przebiegłość. Wstała i poszła do kuchni. Wzięła nóż i kamień do ostrzenia. Jeszcze raz wszystko trzeźwo przemyślała. Bardzo było jej przykro, że Mateusz Kolumb najprawdopodobniej już nie żył; pozwoliła sobie nawet na szczerzy żal i współczucie. Ostrząc nóż na kamieniu, spostrzegła, że jej umysł rozjaśnił się nowym światłem. Wiele razy w przeszłości nawiedzały ją czarne myśli i lęk przed śmiercią lub obłędem, natomiast teraz, gdy przesuwiała ostrzem po kamieniu, naszedł ją moment niezwyklej i krystalicznej jasności. Nie kierowało nią żadne mistyczne uniesienie; nigdy jeszcze nie była równie trzeźwa i chłodna.

- Amor Veneris, vel Dulcedo Appeletur - powtarzała i przeciągała ostrzem po kamieniu.

Ostrzyła nóż z takim samym spokojem, z jakim codziennie rano ciągnęła za sznury od klasztornych dzwonów. Teraz wreszcie będzie panią swego własnego serca, teraz już jej nie przerażał ów oczywisty fakt, że była beznadziejnie zakochana, o czym dobrze wiedział anatom. Tyle udręk mogła sobie zaoszczędzić, gdyby wcześniej знаła odpowiedni sposób! A był on taki prosty!

Kiedy stwierdziła, że nóż jest wystarczająco ostry, podniosła wzrok i napełniła duszę widokiem krajobrazu za oknem. Później jedno krótkie i precyzyjne cięcie. Nie poczuła żadnego bólu i nie było też prawie krwotoku; zaledwie jedna wąska strużka krwi, która spłynęła jej po

udzie. Między kciukiem i palcem wskazującym trzymała teraz przyczynę wszystkich swoich udręk. Spojrzała na ów maleńki narząd i ze świętym uśmiechem rzekła:

- Amor Veneris, vel Dulcedo Appeletur.

Odtąd będzie mogła już zawsze obyć się bez miłości. Teraz ona była wyłączną panią swego serca.

Zmartwychwstanie ciała

I

Od owego czasu nikt już we Florencji nie słyszał o Ines de Torremolinos. Od chwili, gdy w pewien kwietniowy poranek do drzwi małego domku przy opactwie zastukał posłaniec, również i opat nie miał żadnej wiadomości o swej dobrodziejce i o jej trzech córkach. Jedyne na podłodze w kuchni w owym domku opat znalazł parę kropel krwi, nóż, kamień do ostrzenia i cztery niewielkie, identyczne kawałeczki ciała: cztery czerwone perły, których pochodzenia opat nie umiał określić. Ines de Torremolinos i jej trzy córki na zawsze znikły z Florencji.

Ines była o krok od świętości. Lecz również jeden tylko krok dzielił jej cnotę od stosu. Otóż teraz trzeba już to powiedzieć: po krótkim sądzie, który się odbył w jej rodzinnej Kastylii, Ines de Torremolinos zakończyła swe życie w 1559 roku, w ogniu rozpalonym przez Święte Oficjum. Niczego nie miała na swoją obronę.

Dowodem, który przesądził o jej losie, była pewna książka. Do autorstwa zawartych w niej wierszy Ines sama przyznała się przed sądem. Grzech ten był w sumie niewielki, jeśli się go porówna z innymi, o które ją oskarżano i którym ona wcale nie przeczyła. Czarna msza - taki był tytuł, pod którym znano ową książkę - została spalona razem ze swą autorką. W ustnej tradycji przechowało się tylko kilka wierszy - podobny zresztą los spotkał niejasną biografię samej Ines de Torremolinos. Z sześćdziesięciu wierszy, z których składała się Czarna msza, dzisiaj znane są fragmenty zaledwie siedmiu*. (*Z oryginalnej wersji hiszpańskiej nie zachował się ani jeden egzemplarz: prawdopodobnie wszystkie zostały spalone. Ocalałe fragmenty są włoskim tłumaczeniem i znajdują się w Antologia Prohibita.)

Czarna msza

I

Wiersze

1

Niech mnie postawią przed sąd,
niech mnie poddadzą torturom,
niech mnie zawiodą na stos,
powieszą lub poćwiartują.
Ja już wybrałam swój los:
chcę być z kurw największą kurwą.

14

Od dawna w imię miłości
dla niego wszystko być musi:
dla kata pieczemy chleb,
by okruch z niego nam rzucił,
dla kata rodzimy dzieci,
a wszystko w imię miłości.

Zbytnim dla niego wysiłkiem
jest upiec samemu chleb;
dzieci też nie umie rodzić;
jeśli więc ród chce przedłużyć,
niechaj sobie chleb nasz zre:
może wysra dzieci tyłkiem.

22

Dla mnie miłość to tyle:
choroba, ból, tortura,
bezlitosny sztylet.

Czy można miłość opiewać?
Pieśń ta jest zawsze ponura.
Z miłości można umierać.

43

Nam gotować nakazano;
my o kuchnię mamy dbać:
oto przepis wam podaję,
każda z nas winna go znać.

Kiedy słońce wstanie rano,
już powinien na was czekać
dobrowych chłopców tuzin,
którym też, co trzeba, wstało.
Od każdego weźcie mleka,
a najlepsze będzie takie,
które prosto w usta ścieka.

Potem czas na mszę poranną.
Ksiądz wychodzi na ambonę,
lecz nie słucham, o czym nudzi:
widzę niemal pod sutanną
jego gruby, święty członek.

II

Pierwszy wiersz jest syntezą całej tragedii. Jest to manifest, a równocześnie zapowiedź przyszłego losu. Ines była nie tylko “z kurw największą kurwą”; była nie tylko najdroższą i najbardziej pożądaną z wszystkich hiszpańskich kurtyzan. W tym długim roku 1559 - dłuższym niż całe jej życie - Ines de Torremolinos dała początek całej kaście najdoskonalszych śródziemnomorskich kurw. Swoich uczennic Ines nie musiała kształcić jak księżniczek; nie musiała wszczepiać w ich dusze chłodu, a ciała przyzwyczajając do wstrzemięźliwości; jej wychowanki miały nigdy nie cierpieć z miłości ani stać się niewolnicami rozkoszy. Przez cały ten długi rok 1559 Ines de Torremolinos nie tylko sama po mistrzowsku praktykowała prostytutkę, lecz z równą maestrią

umiała jej uczyć. Stała się gorliwą ewangelizatorką, która głosiła pełną emancypację wszystkich serc. W tym długim roku 1559 Ines de Torremolinos zarobiła swym ciałem fortunę, która wielokrotnie przewyższała majątek odziedziczony po ojcu i po mężu. Otworzyła wspaniałe burdele, a ich personel rekrutowała spośród najbardziej udęconych dusz. Od beznadziejnie zakochanych dziewcząt po siostry zakonne w klasztorach, wszystkie te kobiety słuchały płomiennych wezwań, jakie do nich kierowała Ines de Torremolinos. Każda z nich trzymała odtąd w rękach prawdziwy ster swojej woli; każda z nich stała się odtąd wyłączną panią własnego serca.

Ponad tysiąc pięćset kobiet pracowało w burdelach Ines de Torremolinos. Ponad tysiąc pięćset kobiet wybrało drogę wyzwolenia i wyrwało się spod przekleństwa Amor Veneris. Ines de Torremolinos zawsze osobiście dokonywała obrzezania. Żaden mężczyzna nie partycypował w ogromnych zyskach, które płynęły z lupanarów. Była to gigantyczna i niesłychana mobilizacja wyłącznie kobiecej woli.

III

Wiersze z Czarnej mszy stały się groźnym katechizmem. Nie było takiej kobiety, która by w nich nie znalazła czegoś dla siebie. Panny i mężatki, wdowy i zakonnice, zakochane i rozczarowane - wszystkie czuły, że to o nich mowa. Oczywiście sam tytuł, Czarna msza, dotyczył większości kobiet, ponieważ czynił aluzję do sabatów i do mrocznych rytuałów inicjacji. Władze zadbały, by każdy mógł bez omyłki rozpoznać wiedźmę. W oficjalnym Katalogu wiedźm i czarownic znajdują się cenne wskazówki: wiedźmą będzie "kobieta, która źle drugiej czyni lub źle o niej myśli; która patrzy z ukosa lub bezczelnie wprost w oczy; która wychodzi nocą z domu, która w dzień drzemie; która jest smutna lub zbyt często się śmieje; która jest płocha, pobożna, bojaźliwa, śmiała lub poważna; która się często spowiada lub też nigdy tego nie robi; która się broni; która pokazuje palcem; która wie o rzeczach dziejących się daleko; która zna sekrety nauki i sztuki; która mówi wieloma językami".

Prostytucja nie była przestępstwem zagrożonym karą. Czary - wprost przeciwnie. Katalog wiedźm i czarownic do każdego zamka umiał dobrać kluczyk.

Część szósta

Trójkąt

I

W pewien zimowy poranek 1559 roku, nim jeszcze słońce pojawiło się na niebie, garść ludzi spragnionych ciepła - być może z powodu kastylijskiej zimy - stłoczyła się w ciasny krąg na placu wokół miejsca, gdzie kat miał za chwilę rozpalić drwa stosu, na którym stała Ines de Torremolinos przywiązana plecami do słupa. Z tyłu wznosiły się trzy podobne słupy, nieproporcjonalnie wielkie wobec drobnych stojących pod nimi figurek.

- Spalić te wiedźmy! - krzyczały zacne señory i sadzały sobie na ramionach dzieci, by i te mogły popatrzeć na ową budującą ceremonię.

Najpierw kat podpalił drwa pod stopami dziewczynek, których krzyki - zdaniem sędziów - jeszcze bardziej miały zwiększyć cierpienie Wiedźmy Matki. Niestety żadna z dziewczynek nie wydała nawet jęku, gdy spod ich nóg buchnęły płomienie; nim ogień do cna zniekształcił ich niewielkie ciała i wspiął się aż do szczytu słupów, córeczki Ines umarły z uduszenia.

Można by pomyśleć, że wznoszący się z dołu żar dotyka nieczułej skóry salamandry, a nie delikatnych stóp kobiety. Wzrok Ines de Torremolinos był cały czas łagodny i spokojny i wydawało się, że jej wiotka postać, gdyby nie była uwiązana do słupa, uniosłaby się w niebo razem z czarnym dymem płynącym ze spalonego mięsa na kostkach nóg. Jakby wspomagana przez Wszechmogącego, Ines potrafiła znieść bez najmniejszej skargi ów żar, który co najmniej tysiąc razy przewyższał ciepło jej niewieściego ciała.

Nagle żarłoczny płomień, rozniecony przez wiatr, ogarnął i zakrył całą jej postać. Kiedy znów opadł i wrócił do piekła szalejącego pod jej stopami, ciało Ines było już czarne, bezkształtne i nie do rozpoznania. Ines wciąż jeszcze żyła. Kat podsycił ogień i wtedy mógł zobaczyć, że oczy skazanej patrzą na niego z litością. Przez jedną krótką chwilę pomyślał, że jednak jest człowiekiem, a przynajmniej czymś podobnym do człowieka; poczuł jakby ukłucie wstydu. Wtedy Ines - lub raczej to, co z niej pozostało - definitywnie umarła.

Dzwony w bazylice pomału zaczynały milknąć.

II

O tej samej godzinie, ale w Wenecji, jakiś mężczyzna, któremu twarz zakrywała foggia nasunięta głęboko na czoło, szybkim krokiem szedł ulicą Bocciari. Spieszył się, jak gdyby chciał dojść do celu, nim słońce pojawi się między dwiema kolumnami, na których opierał się skrzydlaty lew, i nim mauretańskie automaty na wieży zegarowej wybiją pierwsze z sześciu uderzeń.

Mężczyzna ów zatrzymał się przed schodkami, które prowadziły do niewielkiego atrium w bordello del Fauno Rosso, poprawił foggie i dopiero kiedy upewnił się, że nie widzi go żaden z przechodniów zdążających na pierwszą mszę do Trójcy Świętej, odważył się wejść po stopniach.

Drzwi otworzyła mu madonna Simoneta i od razu wprowadziła go do środka.

- Znacie już, panie, nasze dziewczęta? - zapytała madonna Simoneta, a widząc, że gość nie odpowiada, wzięła go za nieśmiałego cudzoziemca. Podała mu katalog i zaproponowała lampkę wina.

Wyglądało, że przybysz chce zachować pełną anonimowość. Nie odsłonił twarzy i nawet nie spojrzał na ofiarowany mu kieliszek.

- Muszę się zobaczyć z Moną Sofią - powiedział lakonicznie.

Kobieta nic nie rzekła, tylko pochyliła głowę.

- Wiem, że to nie jest odpowiednia pora - zaczął się usprawiedliwiać mężczyzna - ale mam do Mony Sofii bardzo pilną sprawę.

- Kim jesteście, panie? - szepnęła kobieta, nie podnosząc wzroku.

- Dawnym klientem... - tyle tylko wyjaśnił mężczyzna.

- Ona nie może was przyjąć...

- Mogę poczekać, jeśli jest zajęta, lecz, nie mam dużo czasu.

Anatom spostrzegł, że oczy kobiety zwilgotniały. Nic nie rozumiał. Chwycił ją za ramiona i gwałtownie szarpnął.

- Co się tu dzieje? - zawołał i ruszył ku schodom prowadzącym na piętro.

- Na Boga, nie wchodźcie tam, panie! - błagalnie krzyknęła kobieta i próbowała go złapać za lucco.

III

Gdy Mateusz Kolumb wszedł do sypialni Mony Sofii, krew w żyłach ścięła mu się ze zgrozy. Wrażenie, jakie odniósł, było wręcz apokaliptyczne. Czegoś takiego nie umiałby sobie wyobrazić.

W izbie panował straszliwy fetor. Na łóżku leżał jakiś kształt, który ledwie przypominał człowieka: szkielet okryty płatami gnijącej, szarozielonej skóry z potwornymi purpurowymi wrzodami. Chwytnąjąc się rękami ścian, Mateusz Kolumb podszedł bliżej. W owym ludzkim strzępie mógł rozpoznać Monę Sofię tylko dzięki szmaragdowym oczom, które wychodząc na wierzch z zapadłych oczodołów, nadawały wyniszczonyj twarzy wyraz kompletnego szaleństwa.

W całej swojej lekarskiej praktyce Mateusz Kolumb nigdy nie widział syfilisu w tak zaawansowanym stadium. Zdarł koc z leżącej postaci i widok, jaki się przed nim odsłonił, był

prawdziwą makabrą: nogi, których uda były kiedyś mocne jak u dzikiego zwierzęcia i jakby wytoczone z drewna, wyglądały teraz jak dwa butwiejące konary. Ręce, niegdyś tak drobne, że ledwie mogły objąć nabrzmiały członek, były teraz dwiema jesiennymi gałęziami, które zwarzył mróz. Piersi, których czubki średnicą i gładkością przypominały dawniej rozwarte płatki kwiatu, jeśli istniał kiedykolwiek kwiat o równie wielkich i jedwabistych płatkach...

Mateusz Kolumb siadł na brzegu łóżka. Pogładził włosy Mony Sofii - rzadkie i wysuszone - przesunął dłonią po jej czole jak zorana ziemia. Mateusz Kolumb płakał. Nie z żalu. Nie z litości. Mateusz Kolumb płakał, jak płaczą zakochani. Kochał każdą część tego ciała bezlitośnie spustoszonego przez chorobę. Delikatnie chwycił Monę Sofię za kostki u nóg i pomału rozsunął jej uda. Ujrzał suchy i zwiędły srom, który wyglądał jak usta bezzębnej staruchy. Rozchylił go i dotknął Amor Veneris. Łagodnie i z nieskończoną czułością zaczął przesuwać po nim palcem. Płakał, jak płacze zakochany, któremu wzruszenie ścisła gardło.

- Kochanie - mówił z bezbrzeżną miłością.

- Kochanie - powtarzał i pieścił palcem swą słodką "Amerykę".

Anatom poczuł lekkie drżenie pod opuszką palca. Usłyszał szept. Z twarzą zalaną łzami nachylił się jeszcze bardziej i zapytał:

- Czy mnie kochasz?

W jego głosie było nie tyle pytanie, co żarliwa prośba.

Mona Sofia zwróciła oczy ku oknu. Nabrała w płuca powietrza - ile mogła: odrobinę - i nie poruszając wargami, rzekła głosem, który zdawał się dobywać z głębokiej jamy:

- Twój czas się skończył.

Później wydała z siebie głuchy jęk, który był już ostatnim.

Wierzchołek

I

W najwyższym punkcie masywnego łańcucha gór, który oddziela Weronę od Trydentu, na samym szczycie Monte Veldo, przy ciepłym jeszcze mięsie usiadł kruk. Jeszcze nie wbił dzioba w świeże ścierwo; na razie wystarczał mu ten zapach, który najbardziej lubił. Wreszcie trafił na coś, za czym od dawna tęsknił. Zamierzył się dziobem na oko; szarpnął i wyrwał je z oczodołu. Odskoczył w bok i połknął ten pierwszy kęs. Wrócił do trupa. Znalazł na piersi ranę, z której jak wbity w ziemię kołek sterczał nóż. Zaczął z niej wydzierać strzępy mięsa. Jadł; póki się nie nasycił. Za chwilę poleciał do Wenecji, gdzie na Canal Grande odszuka barcę przewożącą zwłoki. Już miał się wzbić w powietrze, lecz przedtem dziobnął jeszcze palec trupa. Zdarł z niego opuszkę i połknął. Po raz pierwszy Leonardino jadł z ręki swego pana.

Odleciał. Jutro wróci po resztę.